

Philip Vandenberg

SPISEK SYKSTYŃSKI

„Sixtinische Verschwörung”

Przełożył: Wawrzyniec Sawicki

TMN

Wydanie oryginalne: 1988

Wydanie polskie: 1992

I. NAJWAŻNIEJSZE OSOBY BIORĄCE UDZIAŁ W OPISANYCH WYDARZENIACH:

Ich Eminencje kardynałowie:

GIULIANO CASCONI	kardynał Sekretarz Stanu
JOSEPH JELLINEK	prefekt Kongregacji Wiary
GIUSEPPE BELLINI	prefekt Kongregacji Sakramentów i kultu Bożego
FRANTISEK KOLLETZKI	podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego

Przewielebni arcybiskupi i biskupi:

MARIO LOPEZ	podsekretarz Kongregacji Wiary i arcybiskup tytularny Cezarei
PHIL CANISIUS	dyrektor Istituto per le Opere Religiose, IOR
DESIDERIO SCAGLIA	arcybiskup tytularny San Carlo

Wielebni prałaci:

WILLIAM STICKLER	kamerdyner papieża
RANERI	pierwszy sekretarz kardynała Sekretarza Stanu

Pozostałe osoby:

AUGUSTYN FELDMANN	dyrektor Archiwum Watykańskiego
PIO SEGONI	benedyktyn z klasztoru na Monte Cassino
PROF. ANTONIO PAVANETTO	dyrektor Dykcji Generalnej Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich
PROF. RICCARDO PARENTI	specjalista w zakresie twórczości Michelangela z Florencji
PROF. GABRIEL MANNING	profesor semiotyki w Ateneum Laterańskim

BRAT BENNO alias

DR HANS HAUSMANN

GIOVANNA

zakonnik

dozorczyńi

II. O ROZKOSZY OPOWIADANIA

Pisząc te słowa, bez przerwy dręcą mnie wątpliwości, czy w ogóle wolno mi opowiedzieć tę historię. Czy nie byłoby lepiej, gdybym ją zachował dla siebie, tak jak uczynili to ci, którzy byli do tej pory wtajemniczeni. Ale czyż milczenie nie jest największym z kłamstw? I czyż nawet błąd nie przyczynia się do poznania prawdy? Nieświadom więc owej prawdy, która przez całe życie pozostaje ukryta nawet przed prawdziwym chrześcijaninem, i ciągle szukający ucieczki w świadectwie wiary długo rozważałem wszystkie za i przeciw do chwili, gdy wzięła górę nieprzeparta, granicząca z rozkoszą chęć opowiedzenia tej historii, tak jak ją usłyszałem w owych osobliwych okolicznościach.

Kocham klasztory, trudny do wyjaśnienia wewnętrzny przymus kieruje me kroki do tych odciętych od świata miejsc, które, co należy od razu na wstępie zaznaczyć, znajdują się w najpiękniejszych zakątkach ziemi. Kocham klasztory, czas bowiem jak się wydaje, zatrzymał się tam w miejscu. Upajam się delikatnym zapachem minionych wieków, wypełniającym szeroko rozgałęzione korytarze ich budowli, ową mieszaniną woni pogrążonych w wiecznym rozpamiętywaniu przeszłości foliastów, wilgocią świeżo umytych krużganków i ulatniającego się kadzidła. Przede wszystkim zaś kocham klasztorne ogrody, zazwyczaj ukryte przed ludźmi z zewnątrz. Dlaczego? Nie wiem; to przecież chyba właśnie one pozwalają nam wyobrazić sobie, jak wygląda raj.

Te moje skłonności powinny wyjaśnić, dlaczego wtargnąłem do raju klasztoru benedyktynów owego pogodnego jesiennego dnia, jaki potrafi wyczarować jedynie niebo południa. Udało mi się wtedy po zwiedzeniu kościoła, krypty i biblioteki oderwać od grupy turystów, po czym odkryłem drogę prowadzącą przez jeden z małych bocznych portali, za którym, jak można było przypuszczać znając plan św. Benedykta, powinien znajdować się klasztorny ogród.

Ogródek ten był wyjątkowo mały, o wiele mniejszy niż można było oczekiwać po klasztorze tej wielkości. Wrażenie to spotęgowane było nisko wiszącym na nieboskłonie słońcem, które po przekątnej dzieliło rajski kwadrat na jaskrawo oświetloną i pogrążoną w głębokim cieniu połowę. Po napełniającym uczuciem niepokoju chłódzie wnętrza klasztoru ciepło słońca sprawiało prawdziwą ulgę. W pełni rozkwitłe wczesnojesienne kwiaty, floksy,

dale, irysy, gladiole i łubiny z ciężkimi pąkami kwiatów, były jak pionowe akcenty, na wąskich grządkach pieniły się wszelkiego rodzaju dziko rosnące zioła, oddzielone od siebie zwykłymi deskami. Nie, ten klasztorny ogród nie miał nic wspólnego z przypominającymi parki zieleńcami innych benedyktyńskich klasztorów, które obramowane ze wszystkich stron falangą napierających budynków i otoczone krążgankiem konkurowały z takimi świeckimi budowlami, jak Wersal czy Schönbrunn. Ten zaś ogród klasztorny wyrósł jakby sam z siebie, a w późniejszym okresie został przekształcony w taras na południowym stoku klasztoru, opierający się na wysokim murze z trasy występującego w tej okolicy. Widoku na południe nie zasłaniała żadna przeszkoda, a w pogodne dni na horyzoncie można było dostrzec łańcuch Alp. W części warzywnej ogrodu słychać było szmer wody wypływającej z żelaznej rury do kamiennego koryta; obok stał próchniejący domek ogrodnika, będący raczej szopą zbudowaną z desek, którą usiłowało naprawić z nader mizernym skutkiem wielu już budowniczych. Od deszczu chronił ją dach z papy, a jedynym miejscem, przez które wpadało do środka światło, było poprzecznie wstawione w ścianę, wysłużone skrzydło okienne. Całość sprawiała osobliwie wesołe wrażenie, zapewne dlatego, że konstrukcja ta w jakiś sposób przypominała owe domki z desek, jakie będąc dziećmi budowaliśmy w czasie wakacji. Z głębokiego cienia dobiegł mnie nagle czyjś głos.

– Jak mnie znalazłeś, mój synu?

Ostoniłem oczy dłonią, aby zlustrować zacienioną część ogrodu. Widok, jaki ujrzałem, sparaliżował mnie na moment. Przedemną siedział w inwalidzkim wózku wyprostowany mnich z twarzą okoloną bujną śnieżnobiłą brodą. Odziany był w szarawy habit, zdecydowanie odbijający od wytwornej czerni benedyktynów. Kiedy przypatrywał mi się przenikliwie patrzącymi oczami, kręcił głową tam i z powrotem jak drewniana marionetka, nie spuszczać przy tym ze mnie wzroku ani na chwilę.

– Co pan ma na myśli? – zapytałem, aby wygrać na czasie, mimo iż doskonale zrozumiałem jego pytanie.

– Jak mnie znalazłeś, mój synu? – powtórzył dziwny mnich wykonując przy tym ten sam ruch głowy. Przez chwilę wydawało mi się, że w jego wzroku widzę pustkę.

Moja odpowiedź była nader niezobowiązująca, i taką też miała być, nie miałem bowiem pojęcia, co począć z tym dziwnym człowiekiem i jego równie dziwnym pytaniem.

– Nie szukałem ojca – odparłem – zwiedzałem klasztor i chciałem rzucić okiem na ogród. Proszę mi wybaczyć – dodałem i już zamierzałem pożegnać się skinieniem głowy i odejść, gdy nagle starzec poruszył rękami, które do tej pory nieruchomo spoczywały na oparciu wózka. Pchnął nimi koła tak mocno, że wózek potoczył się w moją stronę, jakby został wystrzelony z katapulty. Starzec musiał być silny jak niedźwiedź. Zatrzymał się równie szybko, jak jechał. Kiedy przyjrzałem mu się z bliska, oświetlonemu już promieniami słońca, zobaczyłem okoloną kosmykami włosów i brodą pociągniętą bladą twarzą, o wiele młodszą, niż się mogła wydawać na pierwszy rzut oka. To spotkanie zaczęło mnie niepokoić.

– Czy znasz proroka Jeremiasza? – zapytał znieca mnich. Zawahałem się na moment, zastanawiając, czy nie powinienem po prostu odejść, ale jego przenikliwy wzrok i bijące od tego człowieka niezwykle dostojeństwo kazało mi pozostać.

– Tak – odpowiedziałem – znam proroka Jeremiasza, a także Izajasza, Barucha, Ezechiela, Daniela, Amosa, Jonasza, Zachariasza i Malachiasza – wyliczyłem innych, którzy pozostali w mej pamięci z czasów pobytu w internacie prowadzonym przez jeden z klasztorów.

Odpowiedź zaskoczyła mnicha, a nawet, jak się wydawało, wywołała jego zadowolenie, z jego twarzy bowiem nagle zniknęła sztywność, ruchy zaś utraciły dotychczasową marionetkowość.

– W owym czasie, jak powiada Jeremiasz, dobędzie się z grobów kości królów judzkich i kości ich książąt, kości kapłanów, kości proroków i kości mieszkańców Jeruzalem. I rozłoży się je na słońcu i w świetle księżyca, i wszystkich ciał niebieskich, które kochali, które czcili, za którymi chodzili, których się radzili i którym się kłaniali; nie będą zebrane ani pogrzebane, staną się nawozem na polu. Lecz wszyscy, którzy ocaleją z tego rodu złego, wybiorą raczej śmierć niż życie na wszystkich miejscach, dokądkolwiek ich wygnanem, mówi Pan Zastępów.

Spojrzałem pytająco na mnicha, który ujrzawszy bezradność w moim wzroku powiedział: – Jeremiasz osiem, jeden do trzy.

Przytaknąłem. Mnich uniósł głowę, wysuwając brodę nieomal poziomo do przodu, i grzbietem dłoni delikatnie zaczął gładzić od spodu swe wspaniałe uwłosienie.

– Ja jestem Jeremiaszem – powiedział, w tonie zaś jego głosu zabrzmiała swego rodzaju próżność, cnota zupełnie nie kojarząca się z mieszkańcami klasztorów. – Wszyscy tutaj nazywają mnie bratem Jeremiaszem, ale to bardzo długa historia.

– Jesteś, ojcze, benedyktynem?

– Wsadzono mnie do tego klasztoru – odparł czyniąc przeczący ruch dłonią – ponieważ sądzono, że mogę tu wyrządzić najmniej szkód. Tak więc żyję tutaj bez godności, jako konwertyta, według *Ordo Sancti Benedicti*^{*}, spokojny i nieskalany potrzebami doczesnej egzystencji. Gdybym tylko mógł, uciekłbym!

– Od jak dawna jest ojciec w tym klasztorze?

– Od tygodni, miesięcy, a może od lat. Jakie to ma znaczenie!

Skargi brata Jeremiasza wzbudziły moje zainteresowanie, więc z pożądaną w takiej sytuacji ostrożnością zacząłem wypytywać go o wcześniejsze losy.

Wtedy zagadkowy mnich zamilkł, opuścił brodę na piersi i spojrzał w dół na swe sparaliżowane nogi. Poczułem, że zbyt daleko posunąłem się swoim pytaniem, ale zanim zdołałem go przeprosić, Jeremiasz zaczął mówić.

– Cóż możesz wiedzieć, mój synu, o Michelangelo...

A potem zaczął opowiadać, mówiąc urywanym głosem, nie spoglądając przy tym na

* reguła świętego Benedykta

mnie. Widać było, że zastanawia się nad każdym słowem, zanim je wypowie, a mimo to wydały mi się one chaotyczne i pozbawione związku. Nie przypominam sobie już szczegółów, przede wszystkim dlatego, że mnich ciągle poprawiał się, połykał słowa i zaczynał zdania na nowo. Zapamiętałem jednakże z tej opowieści, że za murami Watykanu dzieją się rzeczy, o których praktykujący i głęboko wierzący chrześcijanin nie ma bladego pojęcia oraz, co mnie przeraziło, że Kościół jest *casta meretrix*, niepokalaną ladaczną. Mnich opowiadając używał przy tym wyrażen fachowych i upajał się nieomal takimi słowami, jak teologia kontrowersji, teologia moralności i dogmatyka, co spowodowało, że moje wątpliwości, iż brat Jeremiasz może nie być przy zdrowych zmysłach, zniknęły o wiele szybciej, aniżeli się pojawiły. Wymieniał nazwy i daty soborów, dzieląc je na partykularne, plenarne i prowincjalne, opowiadał o zaletach i wadach episkopalizmu, by nagle przerwać i zapytać: „Czy także i ty uważasz mnie za szalonego?”

Tak, powiedział słowo „także”, co mnie zaskoczyło. Najwyraźniej brat Jeremiasz był traktowany w tym klasztorze jako człowiek niepoczytalny, jak jakiś uciążliwy heretyk. Nie przypominam sobie, co odpowiedziałem na to pytanie. Pamiętam tylko, że moje zainteresowanie tym mężczyzną było coraz większe. Powróciłem więc do mego poprzedniego pytania i poprosiłem, aby opowiedział mi, w jaki sposób znalazł się w tym klasztorze. Jeremiasz jednak zwrócił twarz ku słońcu i milczał z zamkniętymi oczami. Obserwując go zauważyłem po chwili, iż jego broda zaczyna drżeć; trudne z początku do zauważenia ruchy ciała stawały się coraz gwałtowniejsze i naraz konwulsje ogarnęły cały tors mnicha, wargi zaś dygotały niby w gorączce. Cóż za straszliwe wydarzenia musiały przewijać się przed zamkniętymi oczyma tego człowieka!

Z wieży klasztornej kościoła dobiegł nas dźwięk dzwonu zwołującego na modły do prezbiterium. Brat Jeremiasz wyprostował się, jakby obudzony nagle z głębokiego snu.

– Nie opowiadaj nikomu o naszym spotkaniu – rzekł pośpiesznie. – Najlepiej będzie, jeżeli ukryjesz się w altanie i nie zauważony opuścisz klasztor podczas niesporów. Przyjdź jutro o tej samej porze! Będę na ciebie czekał!

Zastosowałem się do zaleceń mnicha i ukryłem w małej drewnianej szopie. Zaraz potem usłyszałem zbliżające się kroki. Wyjrzałem ukradkiem przez na wpół zaślepienie okno i zobaczyłem jednego z benedyktynów popychającego wózek z Jeremiaszem w kierunku kościoła. Obaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Zdawało się, że nie zauważają się nawzajem, jak gdyby jeden dopełniał jakiegoś niezmiennego rytuału, drugi zaś znosił to z całkowitą obojętnością.

Nieco później, usłyszawszy dobiegające z kościoła gregoriańskie pieśni, wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem ku wyjściu, trzymając się jednak cienia rzucanego przez altanę, aby nie zostać odkrytym przez kogoś, kto mógłby patrzeć z jednego z okien otaczających ogród budynków klasztornych, chciałem bowiem koniecznie znowu spotkać się z bratem Jeremiaszem. Wzdłuż wysokiego muru oporowego prowadziły w dół strome kamienne

schody; na ich końcu znajdowała się broniąca wejścia żelazna brama, którą jednak łatwo można było pokonać.

Tą właśnie drogą opuściłem klasztor i rajski ogród, następnego dnia zaś wszedłem doń w taki sam sposób. Nie czekałem zbyt długo i jeden z konfratrów, bez słowa, jak poprzedniego dnia, wtoczył do ogrodu wózek z siedzącym w nim Jeremiaszem.

– Od kiedy tu jestem, nikt nie zainteresował się moim dawnym życiem – zaczął bez ogródek mnich – a nawet wręcz przeciwnie, zadano sobie wiele trudu, aby o nim zapomnieć i odizolować mnie od świata. Chcieli mi tu wmówić, że zwariowałem, tak jak gdybym był zdemoralizowanym spirytualistą czy wyznawcą mahometańskiej sekty Starca z Gór. Być może, pełna prawda o mnie nie dotarła do tego klasztoru; choćbym zaklinał się po tysiackroć, nikt mi nie uwierzy. Nie inaczej musiał czuć się niegdyś i Galileusz.

Zapewniłem uroczyście, że wierzę w każde jego słowo; czułem, iż ma wielką potrzebę zwierzania się komuś.

– Moja opowieść jednak nie uczyni cię szczęśliwym – zaznaczył brat Jeremiasz, ja zaś odpowiedziałem, że potrafię to znieść. Wtedy samotny zakonnik rozpoczął swoje opowiadanie. Mówił spokojnie, chwilami nawet z dużym dystansem do wydarzeń, o jakich opowiadał. Pierwszego dnia dziwiłem się, dlaczego sam nie występuje w tej opowieści, ale już drugiego stało się dla mnie stopniowo jasne, że jego postać pojawia się w niej w trzeciej osobie jako neutralny obserwator. Tak, jedną z osób, o których tak szeroko opowiadał, musiał być on sam – brat Jeremiasz.

Spotykaliśmy się w rajskim ogrodzie klasztoru przez pięć kolejnych dni, ukrywając za dziko wybujałym różanym żywopłotem lub też niekiedy w butwiejącej szopie. Jeremiasz opowiadał, wymieniając nazwiska i fakty, i mimo iż czasami jego historia wydawała się zupełnie fantastyczna, ani przez moment nie wątpiłem w jej prawdziwość. Opowiadając, brat Jeremiasz tylko z rzadka spoglądał na mnie; jego wzrok był utkwiony w jakimś dalekim, wyimaginowanym punkcie, tak jak gdyby odczytywał tekst umieszczony na tablicy. Nie odważyłem się przerwać jego opowieści ani razu, nie zadałem też ani jednego pytania, w obawie, że straci wątek, a także dlatego, iż jego historia całkowicie mnie zafascynowała. Unikałem również jakichkolwiek notatek, które mogłyby powstrzymać potok słów zakonnika, tak więc poniższą historię spisuję z pamięci. Sądzę jednak, że jej treść jest zbliżona do słów, jakie wypowiedział brat Jeremiasz.

III. KSIĘGA JEREMIASZA

1. W dniu święta Trzech Króli

Niechaj będzie przeklęty dzień, w którym Kuria zdecydowała poddać Kaplicę Sykstyńską odnowieniu według najnowszych metod i stanu wiedzy. Niechaj będzie przeklęty florentyńczyk, przeklęta cała sztuka i arogancja niewypowiedziana heretyckich myśli z odwagą prawdziwego kacerza, ale powierzania ich zmielonemu wapniowi, najbardziej odrażającej ze wszystkich skał, wymieszanej *buon fresco** z pełnymi lubieżności farbami.

Kardynał Joseph Jellinek patrzył na wysokie sklepienie, spod którego zwisało zasłonięte płachtami rusztowanie; za nim, obok palca Stwórcy, można było jeszcze dojrzeć postać Adama. Twarz kardynała kilkakrotnie wyraźnie drgnęła, tak jak gdyby obawiał się Boskiej prawicy, tam wysoko bowiem, otulony purpurowymi szatami, unosił się nie łaskawy, pełen miłosierdzia Bóg, ale potężny i piękny, wspaniale umięśniony niczym zapaśnik Stwórca obdarzający życiem; Słowo, które w tej kaplicy stało się ciałem.

Od fatalnej epoki rządów posiadającego zmysł artystyczny papieża Juliusza orgiastyczne malarstwo Buonarrotiego nie cieszyło oka żadnego z najwyższych kapłanów, twórca ten bowiem, co już za czasów jego życia było publiczną tajemnicą, przepełniony był wątpliwościami wobec wiary chrześcijańskiej, jego obrazy wyrażające myśli artysty tworzyły swoistą mieszaninę opierającą się na przekazach ze Starego Testamentu i greckiego antyku, a być może także i wyidealizowanej sztuki rzymskiej, co wtedy uchodziło po prostu za grzech. Papież Juliusz miał jakoby upaść na kolana i modlić się, kiedy artysta po raz pierwszy odsłonił przed nim fresk przedstawiający bezlitosnego Sędziego, wobec wyroków którego drży zarówno Dobro, jak i Zło. Zaledwie jednak ochłonął, natychmiast wdał się w gwałtowną kłótnię z Michelangelem, dotyczącą obcości, zagadkowości i nagości emanującej z malowidła. Skonfundowana trudną do wyjaśnienia symboliką, licznymi aluzjami i nowoplatońskimi elementami, Kuria nie znalazła innego wyjścia, jak tylko skrytykować zbyt wielką liczbę postaci, ukazanie nagości ludzkiej egzystencji, co więcej, zażądano nawet usunięcia całego malowidła. Obstawiał przy tym przede wszystkim papieski mistrz ceremonii, Biagio da Cesena, który zdawał się rozpoznawać na fresku pod postacią Minosa, sędziego piekieł. Jedynie gwałtowny sprzeciw najznamienitszych artystów rzymskich uratował Sąd

* (wł.) – technika malowania na świeżym tynku farbami zmieszany z wodą

Ostateczny przed zniszczeniem.

Teraz zaś groziła zniszczeniem obrazu genialnej myśli Michelangela przeciekająca całymi wiekami woda, wielokrotne przeróbki i osiadła na fresku sadza, unosząca się z płomieni świec. O, gdybyż pleśń przeżarła postaci proroków, a dym pochłonął Sybille! Zaledwie bowiem główny konserwator, Bruno Fedrizzi, rozpoczął swoją pracę, stojąc na wysokim rusztowaniu, zaledwie wraz ze swymi pomocnikami usunął pokrywającą postaci pierwszych proroków ciemną warstwę zanieczyszczeń składającą się z sadzy, króliczego kleju i rozpuszczonych w oliwie pigmentów, zaczęła się wypełniać ostatnia wola florentyńczyka. Wydawało się nawet, że to sam Michelangelo powstał z martwych, groźny niczym Anioł Zemsty.

W przeszłości prorok Joel trzymał w dłoniach zwój pergaminu, który mimo iż rozwinięty między lewą a prawą ręką, nie zawierał w górnej ani dolnej części żadnej litery czy innego znaku. Teraz, po oczyszczeniu, na zwoju widać było wyraźnie literę „A”. „A” i „Ω”, pierwsza i ostatnia litera alfabetu greckiego, są symbolami kościoła pierwszych chrześcijan. Jednakże konserwatorzy na próżno oczyszczali ten fragment fresku, mimo iż namalowany *al fresco** pergamin stał się olśniewająco biały, wapienny tynk nie ukrywał w sobie żadnego znaku przypominającego literę „Ω”. Za to w księdze leżącej na pulpicie przed Sybillą Erytrejską, sąsiadującą z prorokiem Joelem, pojawił się inny, zagadkowy skrót: I – F – A.

To nieoczekiwane odkrycie, nie zauważone przez opinię publiczną, wywołało gwałtowną dyskusję. Poddawali je ekspertom archiwistów i historycy sztuki z Dyrekcji Generalnej Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich pod kierownictwem profesora Antonia Pavanetto, z Florencji przyjechał Ricardo Parenti, specjalista zajmujący się życiem i twórczością Michelangela, a kardynał Sekretarz Stanu, Cascone, po wewnętrznej dyskusji dotyczącej znaczenia liter A – I – F – A, uznał odkrycie za sprawę nie nadającą się do rozpowszechnienia. To właśnie Parenti był tym, który podczas dyskusji jako pierwszy wziął pod uwagę możliwość, iż w trakcie dalszych prac konserwatorskich mogą zostać odkryte kolejne litery, rozszyfrowanie ich znaczenia zaś może pod pewnymi względami nie leżeć w interesie Kurii i Kościoła. W końcu Michelangelo wiele wycierpiał z winy swych zleceńodawców-papieży i nieraz napomykał, że zemści się w sobie tylko wiadomy sposób.

– Czy w przypadku tego florentyńskiego malarza należy się liczyć z filozofią heretycką?
– zapytał kardynał Sekretarz Stanu.

– Nie jest to wykluczone – odparł historyk sztuki.

W związku z tym kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, poprosił o radę prefekta Świętej Kongregacji Wiary, kardynała Josepha Jellinka, który jednakże nie wykazał zbyt wielkiego zainteresowania sprawą i zasugerował, aby tym problemem, o ile w ogóle można o czymś takim mówić, zajęła się Generalna Dyrekcja Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich pod kierownictwem profesora Pavanetto; Święte Oficjum w każdym razie wolało nie

* (wł.) – technika malowania na mokro na świeżym tynku

ingerować w tę sprawę.

Kiedy w następnym roku rozpoczęto prace konserwatorskie związane z postacią proroka Ezechiela, zainteresowanie Kurii skierowane było przede wszystkim na zwój pergaminu, który głosiciel zniszczenia Jeruzalem trzymał w lewej ręce. Jak zameldował wkrótce Fedrizzi, konserwatorzy odnieśli wrażenie, iż fresk jest w tym miejscu szczególnie zakopcony, tak jak gdyby dokonano tego sztucznie przy pomocy płomienia świecy, aby zaciemnić ten fragment malowidła. W końcu spod gąbek konserwatorów pojawiły się w świetle dziennym dwie następne litery: „L” i „U”, professore Pavanetto zaś wyraził przypuszczenie, że również i Sybilla Perska, następująca po Ezechielu, kryje w sobie podobną tajemnicę. Garbata staruszka, mająca najwyraźniej słaby wzrok, trzyma tuż przed oczami oprawną w czerwonej skórę księgę. Z bliska, z rusztowania, jeszcze przed rozpoczęciem prac przez Bruno Fedrizziego, można było zauważyć zarysy jakiejś litery. Kardynał Sekretarz Stanu, Cascone, którego całe odkrycie niepokoiło bardziej niż innych, nakazał oczyścić na próbę księgę trzymaną przez Sybillę. W taki sposób przypuszczenie zamieniło się w pewność i cała kombinacja uzupełniona została o kolejną literę – „B”.

Na tej podstawie należało więc przyjąć, że również i ostatnia postać w szeregu, prorok Jeremiasz, ujawni jeszcze jedną literę; i rzeczywiście, na widniejącym u jego boku zwoju pergaminu pojawiło się następne „A”. Jeremiasz, któremu Michelangelo dał swoją własną, pełną rozpaczny twarz, jak żaden inny z proroków dręczony był wewnętrznymi rozterkami oraz wątpliwościami i otwarcie twierdził, iż naród nigdy nie zostanie nawrócony, pozostał milczący, pełen rezygnacji i bezradny, tak jakby znał tajemnicze znaczenie kombinacji liter: A – I – F – A – L – U – B – A.

Kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, stwierdził więc, iż znaczenie napisu należy wyjaśnić przed podaniem do wiadomości publicznej informacji o odkryciu. Poddał też pod rozagę możliwość zmycia tajemniczego skrótu, gdyby nie można było poznać jego sensu, co według głównego konserwatora, Bruno Fedrizziego, byłoby technicznie możliwe do osiągnięcia, Michelangelo bowiem namalował tę kombinację liter wraz z drobnymi poprawkami *a secco** na gotowym już fresku. Jednakże professore Riccardo Parenti gwałtownie zaprotestował grożąc, iż w takim przypadku zrezygnuje ze swej funkcji doradcy i poinformuje opinię publiczną o zamiarze fałszerstwa i zniszczenia w Kaplicy Sykstyńskiej z pewnością najznamienitszego dzieła sztuki na świecie. W związku z tym Cascone wycofał się ze swojej propozycji i polecił *ex officio** kardynałowi Josephowi Jellinkowi, jako prefektowi Kongregacji Wiary, stworzenie komisji do zbadania znaczenia napisu w Kaplicy Sykstyńskiej i omówienia wyników badań w trakcie zwyczajnego posiedzenia. Jednocześnie sprawę tę przesunięto z kategorii *speciali modo** do kategorii *specialissimo modo**, w konsekwencji

* technika malowania na suchym tynku

* urzędowo

* specjalny

* wyjątkowy

czego każde wykroczenie przeciwko nakazowi utrzymania tajemnicy karane miało być utratą czci. Termin rozpoczęcia prac *consilium* wyznaczono na poniedziałek po drugiej niedzieli po święcie Trzech Króli.

Jellinek opuścił kaplicę i zaczął wchodzić po wąskich kamiennych stopniach, unosząc zgrabnie sutannę, która jak wszystkie inne ubrania kardynała była skrojona przez Annibale Gammarellego, Santa Chiara nr 34, gdzie szyli swoje szaty pozostali członkowie Kurii i papież. Na pierwszym podejściu schodów skręcił w lewo i poszedł dalej w tym kierunku. Jego nerwowe kroki odbijały się echem w długim, pustym, prawie stumetrowym korytarzu. Idąc mijał freski przedstawiające mapy z kosmografii Dantego, dotyczące wybranych osiemdziesięciu wydarzeń z historii Kościoła; kazał je namalować pomiędzy obramowanymi złotem sztukateriami, pokrywającymi nie kończące zda się sklepienie, papież Grzegorz XIII. W końcu kardynał dotarł do owych drzwi, które pozbawione zamka i klamki, niczym nie dające się pokonać drzwi zapadowe, zamykały dojście do Wieży Wiatrów. Kardynał zapukał w umówiony sposób i czekał bez ruchu, wiedząc, iż odźwierny musi pokonać długą drogę, aby uczynić zadość jego wezwaniu.

Znane jest pochodzenie nazwy tej wieży; to tutaj, na poddaszu, miała swój początek gregoriańska reforma kalendarza, kiedy *pontifex* nakazał urządzić tu obserwatorium, w którym chciał badać ruchy Słońca, Księżyca i gwiazd. Jego uwagi nie miała ujść nawet zmienna gra wiatrów. W tym celu na suficie zainstalowano potężną wskazówkę, ukazującą zawsze kierunek powietrznych prądów. Sterowana była ona przez umieszczony na dachu wiatrowskaz. Instrumentarium to dawno już gdzieś zaginęło. To właśnie przy jego pomocy, pamiętnego roku Pańskiego 1582, będącego dziesiątym rokiem pontyfikatu Grzegorza XIII, kraje Zachodu pozbawione zostały całych dziesięciu dni, po 4 października bowiem nastąpił od razu 15 i wprowadzona została bulwersująca reguła mówiąca, iż w przyszłości spośród lat świeckich liczyć należy jako przestępne tylko te, których suma cyfr podzielna jest przez cztery: *Fiat. Gregorius papa tridecimus**.

Z obserwatorium pozostała tylko mozaika na podłodze, przedstawiająca znaki zodiaku oświetlone promieniem słońca padającym przez szczelinę w murze, oraz freski na ścianach ukazujące władające wiatrami boskie postaci w rozwianych szatach. Od najdawniejszych czasów wieża utraconych dni stanowi tabu i otoczona jest głęboką tajemnicą; winy za to nie ponoszą jednak pogańskie bóstwa, Panna, Byk czy Wodnik, ani także fakt, iż ta potężna budowla pozbawiona jest jakiegokolwiek sztucznego oświetlenia. Nie, owa mistyczna aura promieniuje ze stosów akt, regałów pełnych dokumentów, które są tutaj przechowywane, podzielone na *fondi** i posortowane tematycznie i historycznie. Nikt nie wie, ile *fondi* spoczywa pod warstwami nagromadzonego przez wieki kurzu, jest to bowiem *L'Archivio Segreto Vaticano* – Tajne Archiwum Watykańskie.

* Niech się stanie. Papież Grzegorz trzynasty

* (wł.) – podwydział

Składowane w salach i nie kończących się korytarzach tajnego archiwum papieskiego papiery i pergaminy rozlały się w wieży jak wulkaniczna lawa; przez wieki przeszłość była przykrywana terazniejszością, która z kolei znowu stawała się przeszłością i była zasypywana nową terazniejszością. W wieży tej archiwiści składowali owe dokumenty, jakie z woli papieży nie mogły być dostępne nikomu innemu poza ich następcami; była to *Riserva* czyli dział zamknięty.

Usłyszawszy dochodzące z drugiej strony odgłosy kroków, kardynał zapukał ponownie; zaraz potem dobiegł go zgrzyt klucza i ciężkie drzwi otworzyły się bezgłośnie. Jak się wydawało, sposób pukania kardynała był tu znany, a może była to godzina lub też tylne drzwi, przez które wchodził o tej porze; w każdym razie otwierający je prefekt nie zapytał o nic późnego gościa i będąc całkowicie pewnym, że był to sygnał kardynała, nawet nie spojrzął na pukającego przez szparę w drzwiach. Prefekt, oratorianin o imieniu Augustyn, był najstarszym, najwyższym rangą i najbardziej doświadczonym strażnikiem archiwum. Podlegali mu wiceprefekt, trzech archiwistów i czterech *scrittori**; wszyscy wykonywali tę samą pracę, jakkolwiek różniła się ona stopniem trudności. o Augustynie mówiono natomiast, że nie potrafi żyć bez pergaminów i *buste**; tak nazywano teki i segregatory, w których przechowywano listy i dokumenty. Twierdzono, iż sypia pośród swoich papierów i prawdopodobnie nawet się nim przykrywa.

Zazwyczaj do archiwum wchodziło od przodu, głównymi drzwiami, gdzie za szerokim czarnym stołem siedział prefekt lub jeden ze *scrittori*, wszyscy w takiej samej pozycji, z dłońmi ukrytymi w rękawach czarnych habitów, z leżącym na stole otwartym rejestrem, do którego za okazaniem przepustki wpisywano każdego gościa. Owa przepustka zezwalała na dotarcie do określonych regałów, jednakże z wyłączeniem większości z nich. Kustosz nigdy nie zapominał o wpisaniu obok nazwiska gościa liczby godzin i minut, jakie każdy badacz, nie było ich zresztą więcej niż dwóch, trzech tygodniowo, spędził pośród pogrążonych w półmroku regałów.

Przechodząc szybko obok prefekta kardynał mruknął coś, co zabrzmiało jak *Laudetur Jesus Christus** i zakazał wpisania swego nazwiska do rejestru. Znajdujące się po prawej stronie korytarza pomieszczenie, zwane obiecująco *Sala degli Indici**, kryło w sobie zbiór oprawnych ksiąg, rejestrów tytułów i wyciągów, a także spisy inwentarza oraz systemy klasyfikacyjne archiwum, bez których znajomości cały zbiór był równie trudny do ogarnięcia co Apokalipsa św. Jana, i tak samo chyba zagmatwany. Archiwiści i *scrittori* mogliby zapewne spokojnie pozostawić tajne pomieszczenia z regałami otwarte i nikt, nawet najbardziej gorliwy naukowiec, nie byłby w stanie wydobyć z zalegających kilometrami zbiorów najmniejszej choćby tajemnicy. Było tak dlatego, że wszystkie *fondi*, zaszyfrowane

* (wł.) – pisarz

* (wł.) – akta

* niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

* sala katalogów

przy pomocy liter i cyfr, nie dawały nawet najdrobniejszej wskazówki dotyczącej ich zawartości. Już tylko w celu określenia sposobu posługiwania się poszczególnymi rejestrami wypełniającymi całe regały napisano wiele prac naukowych. W archiwum znajdowały się na przykład działy dotępne jedynie z najwyższego piętra Wieży Wiatrów, w których zmagazynowano 9000 *buste*, w większości nigdy nie otwartych, ponieważ obliczono, że dwóch *scrittori*, oglądając każdą, pojedynczą notatkę w celu umieszczenia jej w katalogu, potrzebowałyby osiemdziesięciu lat na wykonanie tej pracy.

Kto by jednak sądził, że posiadając sygnaturę jakiegoś dokumentu bez problemu będzie mógł dotrzeć do niego, jest w błędzie, na przestrzeni wieków bowiem, przede wszystkim od czasów schizmy, miało miejsce wiele zakończonych fiaskiem, a mimo to stale powtarzanych prób stworzenia nowej sygnatury całości zbiorów. W konsekwencji wiele tek z dokumentami nosiło kilka sygnatur – otwarte oznakowanie słowne: *de curia*, *de praebendis vacaturis*, *de diversis formis*, *de exhibitis*, *de plenaria remissione** itd., które można było odczytać jednakże tylko wtedy, gdy segregator – jak to było w zwyczaju w średniowieczu – przechowywano na leżąco (oznakowanie to znajdowało się wtedy na spodzie), lub też sygnaturę liczbową albo kombinowany system liter i cyfr, jak na przykład „Bonif.IX 1392 Anno 3 Lib.28”.

Jeśli idzie o ten ostatni system, to wyraźny ślad pozostawił w nim po sobie pewien *custos registri bullarum apostolicarum** nazwiskiem Giuseppe Garampi, żyjący w połowie XVIII wieku. Stworzył on owo *Schedario Garamii**, zbiór archiwalny, którego schematyczny podział na różne obszary tematyczne dla każdego pontyfikatu spowodował o wiele więcej zamieszania aniżeli przyniósł korzyści. Stało się tak, ponieważ żaden z papieży nie rządził przez tyle samo lat oraz dlatego, że różne rejestry jak *de jubileo** czy *de beneficiis vacantibus** posiadały zróżnicowaną objętość, ale miały do dyspozycji tyle samo miejsca.

Choć brzmi to już wystarczająco zagmatwanie, każda nowa próba uporządkowania przypominała budowę wieży Babel, tak samo bowiem jak wieża ta nigdy nie sięgła niebios, Bóg pomieszał języki jej budowniczych, tak każda nowa konkordancja miałaby w praktyce podobne konsekwencje, jako że będąc obrazem nieskończonego Uniwersum, z góry skazana byłaby na klęskę, choćby dlatego albo właśnie dlatego, iż podług zasad greckiej kosmogonii chaos był stanem pierwotnym, z którego Stwórca zbudował uporządkowany kosmos, a nie odwrotnie. To ostatnie porównanie jest zresztą bardziej sensowne od pierwszego, chaos bowiem jest nie tylko rzeczą podporządkowaną, stanem pozbawionym kształtu, ale także stanem rozziwu, otwarcia, gdzie przed wchodzącym weń badaczem otwierał się nieznany świat, nad którym, podobnie do trzygłowego Cerbera strzegącego bram Hadesu, sprawował pieczę Augustyn.

* O Kurii, odmiennych postawach, różnych formach, poznaniu, ustawach

* archiwista opiekujący się spisem ksiąg apostolskich

* zbiór archiwalny Garampiego

* o jubileuszu

* o nie obsadzonych stanowiskach kościelnych

Oratorianin podał kardynałowi lampę na baterie; przeczuwał, że jego droga wiedzie do *Riserva*, gdzie nie ma żadnego oświetlenia. Kardynał skinął głową nie wypowiadając ani jednego słowa. Milczał także i Augustyn; nie zostawił jednak kardynała samego, tylko poszedł za nim wąskimi krętymi schodami na wyższe piętra wieży. Była to nader uciążliwa i jedyna możliwa droga prowadząca na górę, wyposażona w telefony umieszczone na ścianie na każdym podejściu schodów.

W tym miejscu, na schodach prowadzących do najstarszych i najbardziej tajnych działów *Archivio Segreto*, czuć było duszną stęchliznę. Ten zaduch wzmocniony był dodatkiem nie mniej nieprzyjemnych zapachowo chemikaliów, których ostre opary miały zniszczyć uparty grzyb przywleczony tu przed wiekami. Pokrywał on segregatory i pergaminy purpurową pajęczyną, opierającą się nawet najmądrzejszym formułom chemicznym ery nowożytnej. Prawa badań oraz wglądu do tych akt udzielano jedynie za zezwoleniem papieża. Ponieważ jednak nie miał on w zwyczaju podpisywać niczego, chyba że chodziło o dokumenty o bardzo ważnej treści, zadania tego podjął się kardynał Joseph Jellinek. Oczywiście zdarzało się to bardzo rzadko, jako iż żaden chrześcijanin nie ma prawa żądać uzasadnienia odmowy jego prośby. Akta, których wiek nie przekraczał stu lat, i tak bez wyjątku podlegały całkowitemu utajnieniu, papieskie i dotyczące samego papieża dokumenty zaś były ukrywane przed potomnością nawet przez lat trzysta. Poukładane stosami, zwinięte w rulony i zapieczętowane, spoczywały tutaj prawie dwa tysiące lat historii Kościoła. To tutaj znajdował się zaopatrzony w trzysta pieczęci dokument, w którym protestancka królowa Szwedów, Krystyna, wyznawała swą wiarę w przeistoczenie, Ostatnią Wieczerzę, czyściec, odpuszczenie grzechów, nieomylność papieża, orzeczenia soboru w Trydencie, a tym samym podporządkowywała się władzy Świętego Kościoła Katolickiego. Były tam również instrukcje papieża Aleksandra VII, księgi kontowe, rachunki, listy i drobiazgowe raporty nie pomijające nawet takich szczegółów, jak ubiór konwertytki (czarny jedwab, głęboko wydekoltowana suknia) czy podane na stół słodycze (posągi i kwiaty z marcepanu, galaretki i cukru), a także jej biseksualne skłonności. Wszystkie te dokumenty potwierdzały sławę tego archiwum jako jednego z najlepszych na świecie. Przechowywano w nim między innymi ostatni list do papieża gorliwej katoliczki, Marii Stuart, prawnuczki Henryka VII, jak również decyzję, którą Święta Kongregacja zakazywała rozpowszechniania *Sześciu ksiąg o obrotach ciał niebieskich* Mikołaja Kopernika, jakie ten doktor prawa kanonicznego zadedykował papieżowi Pawłowi III. W oddzielnym dziale archiwum, pod sygnaturą EN XIX, zmagazynowano prawne akta procesowe Galileo Galilei wraz z nieszczęsnym wyrokiem siedmiu kardynałów na stronie 402: „Stwierdzamy, ogłaszamy, osądzamy i wyjaśniamy, po przeprowadzonym procesie i przedstawionych zarzutach jak powyżej, iż ty, wyżej wzmiankowany Galileo, uczyniłeś się w oczach Sant’Ufficio bardzo podejrzanym o herezję, a mianowicie głosząc i wierząc w fałszywą i niezgodną ze Świętymi i Boskimi Pismami naukę, że Słońce jest ostoją Ziemi i nie porusza się ze wschodu na zachód oraz że to Ziemia się

porusza i nie jest ośrodkiem całego świata... Skutkiem tego podlegasz wszelkim karom, jakie nałożone są za takie przestępstwa świętymi prawami Kościoła oraz innymi oficjalnie ogłoszonymi dekretami.” *Verba volant, scripta manent**.

Przechowywano tutaj przepowiednie papieży, prorocтва, jakie oficjalnie nie były przyjmowane do wiadomości, oraz rzekome fałszerstwa, które jednak musiały mieć jakieś znaczenie, ale także i przepowiednie św. Malachiasza. Te ostatnie – co było przyczyną głębokiej konfuzji Kurii – nie mogły być dziełem tego świętego, zostały bowiem napisane dopiero w 440 lat po jego zgonie. Mimo to w owym anonimowym proroctwie z zaskakującą dokładnością wymieniono nazwiska, pochodzenie papieży, a także znaczące wydarzenia z ich pontyfikatów, a co więcej, przewidziany został koniec papiestwa za rządów Rzymianina imieniem Petrus. Podobno według przepowiedni miasto na siedmiu wzgórzach czekała zagłada, a straszliwy sędzia miał ukarać swój lud.

Nic na tym świecie nie jest tak ostateczne jak każde postanowienie Kurii Rzymskiej, a to ostatnie jest w stosunku do przepowiedni papieskich negatywne, aczkolwiek słowa *credo quia absurdum* (wierzę, mimo iż jest to sprzeczne z rozumem) pochodzą nie z ust kacerza, ale doktora Kościoła Anzelm z Canterbury, którego lojalność względem Grzegorza VII i Świętego Kościoła, Matki Naszej, nie może podlegać żadnej wątpliwości. Tak więc słowa fałszywego proroka Malachiasza pozostają tabu, przynajmniej dla świata zewnętrznego. Papież Pius X, któremu według prorocтва przepowiedziano *ignis ardens* (płonący ogień), został wybrany 4 sierpnia, w dniu św. Dominika (jego atrybutem jest pies z płonąca pochodnią), zmarł w kilka tygodni po wybuchu I wojny światowej. Ów pontifex współczuł swemu następcy, którego nie znał, znał bowiem prorocтво, jakie go dotyczyło: *religio depopulata* – religia bez wiernych.

Tymczasem przeprowadzone badania i nauka zdemaskowały jako autora papieskich przepowiedni Filippo Neri, jednego z wielkich świętych katolickiego odrodzenia. Żyjąc za czasów Michelangela, popadał on podobno czasami w ekstazę, ogarniała go wtedy nienaturalna pasja, powodująca, iż jego ciało silnie dygotało, a wraz z nim i domy, w których przebywał. Podczas ofiary mszy jego ciało unosiło się ponad stopniami ołtarza, serce zaś biło tak mocno jak kotły w czasie Sądu Ostatecznego. Sensacyjne uzdrowienia chorych i dowody charyzmatycznych cech Neriego przyczyniły się później do jego kanonizacji.

Gdzie jednak znajdowały się notatki Neriego, założyciela zakonu oratorianów? Nie bez pewnych podstaw, można było mieć nadzieję, że ukryto je w tajnym archiwum Watykanu, aczkolwiek, jak twierdzono, tuż przed śmiercią święty miał spalić swoje wszystkie osobiste papiery. Miałaby to być przypadek? W roku śmierci Neriego, 1595, ukazało się pięciotomowe dzieło benedyktyna Arnolda Wiona pod tytułem *Lignum vitae – ornamentum et decus Ecclesiae**, dotyczące literackich osiągnięć jego zakonu. W tomie drugim, na stronach

* słowa wypowiedziane ulatują, pismo pozostaje

* Drzewo życia – ozdoba i chluba Kościoła

307 do 311, autor cytuje proroctwa założyciela oratorianów jako *Prophetia S. Malachiae Archiepiscopi, de Summis Pontificibus**. Cud jest najukochańszym dzieckiem wiary. Ponieważ nieznanne są powiązania pomiędzy oratorianinem Filippo a benedyktyńcem Arnoldem, wynika z tego, iż benedyktyń, niech Bóg zachowa w opiece jego biedną duszę, dokonał oszustwa, bez względu na motyw, jakie kierowały jego piórem.

W dziele tym napisano, że *Sidus olorum* – ozdoba łabędzi, włoży tiarę na głowę. Słowa te są symboliczne i zagadkowe, ale kiedy w roku 1667 zasiadł na tronie papieskim Klemens IX, nikt nie wątpił już więcej w prawdziwość tej przepowiedni. Klemens (Giulio Rospigliosi) zdobył dużą sławę swoimi wierszami, pozostając do dzisiaj jedynym poetą, który był zarazem papieżem, łabędź zaś jest, jak wiadomo, symbolem poetów. Przez setki lat żaden *Summus Pontifex* nie opuścił murów Watykanu po wyborze dokonany przez konklawe; taki sam los był przeznaczony również i Piusowi VI, kiedy po pięciomiesięcznym konklawe w Pałacu Kwirynalskim został wybrany następcą Klemensa XIV. Nowy papież charakteryzowany był przez ekstatycznego świętego jako *peregrinus apostolicus**, co jednak zostało zapomniane w czasach Oświecenia, do chwili, kiedy nieszczęśnik ten w roku 1798 został uprowadzony przez francuskie oddziały rewolucyjne do Francji, gdzie zmarł jako *peregrinus*, czyli obcy. Zagadką była także kometa w herbie Leona XIII, który każdy arcykapłan, obejmując swój urząd, zobowiązany był przyjąć; wyjaśniona ona została dopiero, kiedy powiązano kometa z słowami z przepowiedni; *lumen in coelo* – światło na niebie. Proroctwa te były dyskutowane jeszcze przed wyborem następcy Piusa XII, Jana XXIII, który miał zostać *pastor et nauta*, czyli pasterzem i żeglarzem. Jednakże owa przepowiednia nie miała sensu w stosunku do żadnego z papabile, nikt bowiem nie dawał szans patriarsze Wenecji, miasta chrześcijańskiej żeglugi. A jednak Roncalli został wybrany, jego pontyfikat zaś uznano za jeden z posiadających najbardziej pastoralny charakter.

Tylko kilka kroków dalej leżało wymęczone torturami przez papieskiego komisarza Remolinesa zeznanie mnicha Girolamo Savonaroli, w którym uznawał się za winnego kacerstwa, głoszenia na kazaniach fałszywej wiary oraz pogardy dla rzymskiego tronu. Były tam także szczegółowe sprawozdania z ostatnich godzin życia budzącego lęk i głoszącego konieczność pokuty kaznodziei oraz przykrych badań przeprowadzanych w jego celi, czy przypadkiem czary któregoś z demonów nie zamieniły go w hermafrodytę, co podejrzewała Święta Inkwizycja, zeznania świadków o jego głębokim śnie, w jaki zapadł przed egzekucją, przerywanym jedynie wielokrotnymi wybuchami głośnego śmiechu, opis pozbawionej sensacji śmierci na szubienicy i spalenia jego martwego ciała, którego popioły zostały wsypane do Arno. Tajne dossier zawierało jednak również informacje o florentryńskich dziewczkach, pod których szatami kryły się szlachetne damy. Zbierały one popioły fra Savonaroli, a nawet, jak zaobserwowano, ukryto jedną rękę i części czaszki, które potem

* Proroctwa św. Malachiasza o papieżach

* obcy apostoł

zostały zachowane jako relikwie. Znajdowały się tutaj także dogmaty papieskie; najnowszy z nich, dotyczący, niepokalanego poczęcia Marii Panny, oprawiony był w jasnoniebieski aksamit.

Kustosz wiedział, że kardynał nie jest zainteresowany żadnym z tych dokumentów, szedł więc szybko w stronę znajdujących się u szczytu schodów czarnych drzwi z dębowego drewna, których nie można było otworzyć bez jego, kustosza, pomocy, tylko on bowiem nosił przy pasie swojej sutanny przymocowany łańcuszkiem klucz o dwóch piórach, i nikt inny, tylko on posiadał klucz do tego najtajniejszego pomieszczenia tajnego archiwum. Nie oznaczało to jednak w żadnym wypadku, że miał pojęcie o tajemnicach zawartych w tym pomieszczeniu, znał znajdujące się w nim księgi i dokumenty, i musiał milczeć o rzeczach, o których nie wolno było mówić. Wiedział tylko tyle, że za tymi ciężkimi dębowymi drzwiami złożone były największe tajemnice Kościoła, dostępne jedynie każdemu kolejnemu papieżowi; w każdym razie w taki sposób postępowali poprzednicy Jana Pawła II. Jednakże polski papież przeniósł ten przywilej na kardynała; z tego więc powodu kustosz minął Jellinka i w świetle trzymanej przezeń lampy otworzył zamek. Jego podniecenie zdradzało drżenie rąk. Kardynał zniknął za drzwiami, Augustyn zaś pozostał w ciemnościach, jakie zalegały korytarz przed nimi. Prefekt pośpiesznie zamknął drzwi na klucz; taki był bowiem przepis.

Za każdym razem podczas otwierania drzwi kustosz rzucał okiem do wnętrza, co, na Najświętszą Dziewicę Marię, było grzechem. W ten sposób poznał wyposażenie sali znajdującej się za czarnymi drzwiami. Widział umieszczone jedne nad drugimi, ciężkie drzwiczki skrytek, podobne do tych, jakie znajdują się w piwnicach banku państwowego; klucze do nich nosił przy sobie jednak nie on, ale kardynał. Augustyn nieczęsto otwierał te drzwi, aczkolwiek w ostatnich czasach kardynał coraz częściej korzystał ze swego przywileju. Jeden jedyny raz, w roku 1960, kustosz dowiedział się, jaką sensacyjną treść posiadają zamknięte tu dokumenty. Wtedy wpuścił do tego pomieszczenia Jana XXIII, zamknął za nim drzwi i czekał na pukanie papieża, tak jak teraz na znak kardynała; jednakże bardzo długo, ponad godzinę, wewnątrz panowała cisza. Ale po upływie godziny usłyszał nagle głucho uderzenia pięścią w drzwi i kiedy przekręcił klucz w zamku, papież wybiegł mu naprzeciw zataczając się i drżąc na całym ciele, jak gdyby ogarnęła go gorączka. Tak przynajmniej sądził w owym czasie kustosz. W końcu jednak na światło dzienne wyszła przynajmniej część prawdy. Święta Dziewica, która ukazała się w roku 1917 w Fatimie trojgu portugalskim pastuszkom i przepowiedziała rezultat światowych wojen, owa „Nasza kochana Pani z Fatimy” ogłosiła również i trzecie prorocstwo, którego treść, po zapisaniu, mogła być przekazana dopiero papieżowi panującemu w roku 1960. Prawdziwa treść owego dokumentu, który był przechowywany za tymi drzwiami, stała się przyczyną krążących po Watykanie najstraszliwszych i najprzeróżniejszych spekulacji. Jak mówiono, w prorocztwie tym przepowiedziano apokaliptyczną wojnę światową, która zniszczy całe życie na Ziemi, inna pogłoska twierdziła zaś z kolei, iż jeden z następnych papieży zostanie zamordowany. Z tego

też powodu następcy Pawła VI zmuszony był po swoim wyborze udać się po informacje na ten temat do źródła znajdującego się za owymi ciężkimi, dębowymi drzwiami. Nie jest żadną tajemnicą, iż od tego czasu cierpiał na ciężką depresję i miał kłopoty z podjęciem jakiegokolwiek decyzji.

Jednakże tego wieczoru zainteresowanie kardynała dotyczyło stalowej skrzyni, w której przechowywane były wszystkie dokumenty związane z Michelangelo Buonarrotim. Kardynał miał uzasadnione podejrzenia, iż za Michelangelem i jego sztuką ukrywa się jakaś straszliwa tajemnica. Potwierdzał to fakt, że największemu utajnieniu podlegały takie właśnie dokumenty jak korespondencja Michelangela z papieżami, przede wszystkim z Juliuszem II i Klemensem VII, dossier o stosunkach towarzyskich artysty, jako iż wiedziano zarówno o jego ascetycznej namiętności do księżnej Vittorii Colony, jak i kontaktach z neoplatonikami i kabalistami. Tak, nie mogło być nawet inaczej; nie bez powodu życie Michelangelo było w Watykanie tabu od 450 lat!

Ignorancja boi się wiedzy, tak więc kardynał coraz pośpieszniej sięgał po kolejne pergaminy, wielokrotnie składane karty papieru, po związane tasiemkami teczki z aktami. W świetle swej lampy widział drobne, piękne pismo; przebiegał oczyma słowa listów, których nie sposób było zrozumieć, nie znając ich kontekstu. Przeważnie rozpoczynały się one włoskim zwrotem „*io Michelangelo scultore*” ... – ja, rzeźbiarz Michelangelo...” – który był wyrazem jego dumy z języka Dantego oraz dowodem, iż nie rozumiał używanej przez Kościół łaciny. Z drugiej jednak strony słowa te miały być złośliwym przytykiem do gwałtu zadawanego jego sztuce przez Watykan.

Papież Juliusz II zwabił Michelangela do Rzymu pod fałszywym pretekstem wykucia z kararyjskiego marmuru gigantycznego grobowca dla siebie; miał on tego dokonać za dziesięć tysięcy skudów – ludzkiego życia nie starczyłoby na wykonanie tej pracy. Jednakże kiedy wyrąbane w Carrarze bloki marmuru dotarły do Rzymu, papieżowi projekt ten przestał się już podobać, odmawiał nawet wypłacenia kamieniarzom wynagrodzenia. Wtedy to Michelangelo na łeb na szyję uciekł z Rzymu i udał się w kierunku Florencji. Powrócił dopiero w dwa lata potem na usilne nalegania papieskiego wysłannika. Juliusz zaskoczył go wtedy wyznaniem, iż budowanie własnego grobowca jeszcze za życia musi przynieść nieszczęście. On, artysta, powinien zaś raczej zająć się pomalowaniem sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej, w owych czasach całkowicie pozbawionej ozdób budowli – której swe imię nadał Sykstus IV della Rovere. Nie pomogły wszelkie zaklinania i zapewnienia artysty, iż urodził się jako *scultore*, a nie *pittore* * – Jego Świątobliwość upierał się przy realizacji tego planu.

Trzymany w dłoni przez kardynała niepozorny kawałek pergaminu, którego pismo było już trudne do odczytania, ogłaszał zwycięstwo papieża nad Michelangelo: „Dzisiaj, 30 maja

* (wł.) – rzeźbiarz

* (wł.) – malarz

roku 1508, ja, Michelagnelo scultore, otrzymałem od Jego Świątobliwości papieża Juliusza II pięćset dukatów, które wypłacili mi na poczet mego malarskiego dzieła podskarbi messer Carlino i messer Carlo Albizzi. Dzieło to rozpoczynam z dniem dzisiejszym w kaplicy papieża Sykstusa, a to pod zagwarantowanymi kontraktem warunkami, które spisał i własnoręcznie podpisał biskup Pawii”.

Kardynał lubił woń, jaką wydzielały stare manuskrypty, ów niewidoczny, drobniuteński pył osiadający niezauważalnie na błonach śluzowych nosa, i który w taki sposób rozstrajał zmysły, iż tą okreśną drogą przez nos czytana treść przyjmowała postać człowieka z tamtych lat. Nagle więc pojawił się przed nim niski muskularny florentyńczyk, odziany w wąskie cienkie spodnie i stebnowany, mocno ściśnięty pasem półdługi kaftan z aksamitu. Kardynał ujrzał jego trójkątną czaszkę, długi nos i wąsko rozstawione oczy. Zapewne nie był to wzór pięknego mężczyzny, a jeszcze mniej pełnego energii *scultore*. Z porozumiewawczym uśmiechem – a może gest ten był wyrazem radości z cudzego nieszczęścia? – florentyńczyk podawał kardynałowi pergamin za pergaminem, które ten czytał z pełną żądzy ciekawością. Połykał oczami trudne chwilami do odcyfrowania dokumenty, natrafiając na dowody niezrozumiałej gwałtowności Jego Świątobliwości Juliusza II, przedziwnego skąpstwa, powtarzające się bez przerwy próby oszukania artysty, aby nie wypłacić mu jego w pełni zasłużonego honorarium. Musiało to w końcu doprowadzić do kłótni między papieżem a Michelangelo. Jego Świątobliwość chętnie widziałby na suficie Sykstyny dwunastu apostołów; florentyńczyk dostarczył projekty (sztuka jako służka teologii). Artysta uznał je jednak szybko za żalosne; opuszczone ginęły pośród wielkiej przestrzeni sklepienia. Podczas kłótni papież pochodzący z rodu Rovere stwierdził, iż Michelangelo może malować co mu się żywnie podoba; jeśli idzie o niego, to może nawet zamalować całą kaplicę od okien po sklepienie, *in nomine Jesu Christi**.

W wyniku tej wymiany zdań Michelangelo zdecydował się na Genesis, stworzenie Ziemi, Boga Ojca unoszącego się ponad wodami, aż po potop, z którego uratowała się tylko Arka Noego. Na niebie-sklepieniu ukazać się miała historia stworzenia świata; artysta zignorował dach i sklepienie, całą architekturę kaplicy. W tym wszystkim nie było nawet najmniejszego znaku czy też wskazówki o istnieniu Świętego Kościoła. Wręcz przeciwnie, Michelangelo unikał jakiegokolwiek aluzji, tak, nawet tam, gdzie powiązania nasuwały się same przez się. Przy wypełnianiu dwunastu uwarunkowanych oknami płaszczyzn sklepienia zrezygnował z przedstawienia dwunastu apostołów; namalował tam za to pięć Sybilli i siedmiu proroków, tak jak gdyby chciał dać do zrozumienia, iż istnieje tajemna wiedza, którą owe postacie ukrywają w sobie, wywierająca wielkie wrażenie siłą swego wyrazu, inkarnacją tytanów. Ich potęga zdawała się królować nawet nad Starym Testamentem; ich postacie były zagadkowe w swej symbolice, jaką można było jedynie przeczuwać, ale nigdy pojąć do końca.

Z jednej z notatek kardynał dowiedział się, że Michelangelo nie malował rękami, ale

* w imię Jezusa Chrystusa

głową; rzucił na sklepienie całą swoją wściekłość i wiedzę, trzysta czterdzieści trzy postaci o homeryckiej różnorodności, opanowane przez dwanaście Sybilli i proroków w ich niemal boskiej grozie. Oczywiście mówi się, że Balzak wymyślił trzy tysiące postaci, ale potrzebował na to całego życia, Michelangelo zaś namalował swoją część w ciągu tylko czterech lat – z niechęcią, niezadowolaniem, pełen żądz zemsty, tak jak gdyby chciał się odplącić papieżowi. To wszystko wynikało z dokumentów. Gdzie jednakże znajdował się klucz do poznania całego problemu? Co wiedział Michelangelo Buonarroti? Jakież to doniosłe i ważne doświadczenia chciał florentyńczyk wyrazić swoim niezrozumiałym obrazem świata?

Czterdziestu ośmiu papieży – tyłu bowiem do tej pory było następców Juliusza II – zastanawiało się poważnie nad tym, dlaczego stworzonemu właśnie Adamowi, któremu Bóg Ojciec unosząc się w powietrzu podaje swój życiodajny palec wskazujący, Michelangelo namalował pępek, skoro nigdy nie musiano mu odcinać pępownicy, o ile można wierzyć Pismu, w którym powiedziano: „Ukształtował Pan Bóg człowieka z prochu ziemi i tchnął w nozdrza jego dech życia” (Genesis 2,7). Wielokrotnie podejmowano poważne starania, aby usunąć ów pępek. Jeszcze za czasów życia mistrza – Michelangelo musiał mieć wtedy osiemdziesiąt sześć lat – papież Paweł IV polecił Danielowi da Volterra ukryć pod opaską na biodrach nazbyt wyraźne cechy płciowe namalowanych przez Michelangela gigantów. Przyniosło to godnemu współczucia malarzowi przezwisko *brachettone*, co oznacza mniej więcej krawca szyjącego klapy do spodni. Fakt, że w owym czasie, a także później pępek Adama pozostał nietknięty, związany jest z rozważaniami Kurii rzymskiej, która doszła do wniosku, iż zamalowanie tego fragmentu ciała bardziej zastanowi obserwatora aniżeli anatomicznie prawidłowo umiejscowiony pępek, aczkolwiek jest on egzegetycznie nader wątpliwy.

Zapach książkowego pyłu i pergaminów, które kardynał tak bardzo lubił, uznając go za równie podniosły co obłoki kadzidła podczas wystawienia Najświętszego Sakramentu, ten właśnie zapach wprowadził kardynała w stan przepojonej głęboką czcią kontemplacji. Tak, im więcej zagłębiał się w tych dokumentach, tym bardziej rosło jego współczucie dla florentyńczyka, który, co wyraźnie wynikało z jego listów, zdawał się nienawidzić papieży w takim samym stopniu, jak oni dawali mu się we znaki. Tu oto skarży się, że nie otrzymał już od roku ani grosza od Juliusza II, twierdzi, że ta praca malarska przekracza jego siły („Od razu powiedziałem Waszej Świątobliwości, że malarstwo nie jest moim rzemiosłem”), i siedząc na chybottliwym rusztowaniu przeklina papieską niecierpliwość. Dzień pod dniem, kiedy leżał na plecach, farba kapiała mu do oczu, cierpiał na sztywność karku, która przeszkadzała mu w czytaniu w normalnej pozycji, tak że przez wiele lat potem musiał trzymać pisma nad głową, gdy chciał je przeczytać.

Pochodzący z rodu Medyceuszy, następca Juliusza, papież, Leon nie krył się ze swą niechęcią do florentyńczyka; nazywał go dzikim i twierdził, iż z Michelangelo nie da się

przestawać. Faworyzował – o ile w ogóle popierał jakiegokolwiek malarza – Rafaela, przede wszystkim jednak jego miłością była muzyka. Następca Leona, Hadrian, o mały włos nie nakazał odbicia tynku sklepienia wraz z malowidłem Michelangela, ale dosięgła go przedwczesna śmierć. Także i z jego następcą, Klemensem, stosunki malarza nie były wiele lepsze. Z pełną odwagą złośliwością Michelangelo oświadczył Jego Świątobliwości w jednym z listów, co sądzi o jego projekcie zbudowania kolosa o wysokości osiemdziesięciu stóp; mianowicie nic. Jakże musiał florentyńczyka wzburzyć brak smaku u tego papieża, skoro zdecydował się aż na taką drwinę: można by włączyć do owego projektu stojący mu na drodze sklep balwierza, pod warunkiem, że kolos zostanie zbudowany w pozycji siedzącej; trzymany przez niego róg obfitości mógłby wtedy służyć jako komin dla balwierskiego pieca. Zaś najbardziej podobał się artyście pomysł wbudowania w głowę kolosa gołębnika; podpisane Michelagnio lo scultore.

Kardynał odkładał każdy list na swoje miejsce. Bezradnie potrząsnął głową w pewnej chwili: żaden z tych dokumentów nie wydawał mu się skandalizujący czy gorszący, nie posiadały one również takiej wagi, aby podlegać najwyższemu stopniu utajnienia. W tym momencie jego wzrok padł na zwój pergaminów, pozornie nie posiadających żadnej wartości, przewiązanych pociemniałymi, skórzanymi paskami. Zapewne nie zwróciłby uwagi na te dokumenty – mogło ich być około tuzina – gdyby nie wpadły mu w oko dwie duże pieczęcie koloru krwistej czerwieni, na których z łatwością można było dojrzeć papieski herb z trzema poprzecznymi paskami. Był to herb Piusa V. Czyż Michelangelo nie zmarł właśnie w czasie pontyfikatu jego poprzednika?

Jesu, Domine nostrum *! Świadomość, iż od ponad czterysu lat oko żadnego człowieka nie poznało tajemniczej treści tych pergaminów, a także fakt, że papież zataił ważne dokumenty, ukrywając je przed potomnością bez względu na przyczyny, jakie nim kierowały, wywołały drżenie palców kardynała. Poczuł, jak po plecach spływa mu pot, a powietrze, które jeszcze przed chwilą wciągał do płuc jak słodycz majowego poranka na Wzgórzach Albańskich, kiedy tysiące kasztanów pokrywa pyłkiem swoich kwiatów całą ziemię, powietrze to nagle stało się duszne, pozbawiając go możliwości oddychania. Było ostre; miał nawet wrażenie, że dusi się w tej atmosferze niepewności i strachu. Ale właśnie to owa niepewność i strach pokierowały jego drżącymi palcami, każąc im złamać pieczęć i rozerwać taśmy. Spod pofałdowanej okładki ze skóry ukazały się ściśnięte, poskładane pergaminy różnej wielkości – *terra incognita* *.

„Do Giorgio Vasariego”. Kardynał od razu rozpoznał charakter pisma Michelangela. Dlaczego ten list artysty do florenckiego przyjaciela znalazł się właśnie tutaj, w Archiwum Watykańskim? Pośpiesznie, ciągle gubiąc się w drobnych zawijasach pisma Michelangela, co

* Jezu, Panie nasz

* nieznaną ląd, niezbadany obszar

powodowało, że musiał co chwilę rozpoczynać jego czytanie od początku, kardynał przebiegał oczyma słowa listu: „Drogi młody przyjacielu. Sercem jestem przy Tobie, i będę nawet, jeśli ten list nie dotrze do Ciebie, co przy obyczajach naszych czasów nie byłoby wcale takie nieprawdopodobne. Znasz zapewne dyspozycję Jego Świątobliwości (już przy samym tym słowie z mego pióra zaczyna tryskać żółć), według której listy i pakunki wszelkiego rodzaju można w interesie Inkwizycji otwierać i zatrzymywać, a nawet używać jako środków dowodowych. Ten fanatyczny starzec, który usiłuje się zdobić imieniem Pawła IV, jak gdyby imię mogło ukryć diabelskie cechy jakiegoś człowieka, odebrał mi moją wynoszącą tysiąc dwieście skudów rentę, co na szczęście nie wpływa jednak na pogorszenie moich warunków. Wierz mi, żaden z Buonarrotich nie zapomina swoich krzywd. Wymalowałem kaplicę Sykstusa nie farbami, tak jakby się to mogło wydawać pobożnemu oku, ale proszkiem, którego straszliwe działanie opisał w swoim wprowadzeniu do *Szczęśliwego życia* Francesco Petrarca, uwieńczony wawrzynem poeta z Arezzo. Pod *intonaco** znajduje się wystarczająco dużo siarki i saletry, aby tego Carafę wraz z jego odzianymi w purpurę lokajami wysłać do piekła, co tak wybornie opisał Alighieri w swoim boskim poemacie. Jak mówią poeci, słowa są najostrzejszą bronią. Ja zaś mówię ci, mój drogi młody przyjacielu, że freski Sykstyny są bardziej niebezpieczne niż lance i miecze Hiszpanów, którzy zagrażają Rzymowi. Ten papież z rodu Carafów usiłuje zabarykadować się przed Hiszpanami, a mnisi muszą po tysiącokroć nosić w swoich habitach ziemię. Gdyby Paweł nie był jedynie słabym szkieletem, stałby nad nimi i wywijał batem, aby przyspieszyć prace. Mimo, a może właśnie dlatego, iż jestem tak stary, że śmierć pociąga mnie już za skraj kaftana, wcale nie obawiam się Hiszpanów. Polecam się Twojej pamięci. Michelagnolo Bounarroti. Postscriptum: Czy to prawda, że we Florencji musi się każdego dnia składać raport o liczbie rozdzielonych hostii?”

Kardynał opuścił rękę z listem. Oparł się łokciem o jeden z pulpity stojących pomiędzy stalowymi szafkami i służących do przechowywania foliów i różnego rodzaju pism. Prawą dłonią otarł twarz, jak gdyby chciał w ten sposób wymazać widziane przed sobą mamidło. Próbował uporządkować myśli, zrozumieć to, co przeczytał przed chwilą, odnaleźć sens listu, ale na próżno. Zaczął od początku: wydawało się pewne, że list ten nie dotarł do adresata. Został przechwycony przez inkwizycję, nie zrozumiany, ale zachowany jako ewentualny dowód przeciwko Michelangelo. Co miał na myśli florentyńczyk, gdy pisał, iż siarka i saletra są zmieszane z tynkiem, na którym artysta naniósł farby *al fresco**, czyli na mokro? Nienawidził Pawła IV i wszystkich papieży, którzy jemu, geniuszowi, co trzeba przyznać, patrząc na sprawę w sposób obiektywny, dali się bardzo we znaki. A kiedy pisał, iż żaden Bounarroti nie zapomina swoich krzywd, obmyślał zemstę, a nawet więcej, miał już w zanadrzu straszliwy plan, wystarczająco niebezpieczny, aby usunąć papieża. Jakież to niebezpieczeństwo czai się za freskami Kaplicy Sykstyńskiej?

* (wł.) – tynk

* (wł.) – technika malowania na mokro na świeżym tynku

Drugi list, skierowany do rzymskiego kardynała di Carpi, był także pełen podobnych aluzji. Michelangelo, wtedy już w nader podeszłym wieku, atakował kardynała brutalnymi słowami, pisząc, iż doszło do jego uszu, w jaki sposób świętej pamięci Jego Świątobliwość wyrażał się o jego dziele. Przy czym on sam, Michelangelo, nie musi już teraz, po śmierci Carafy, dąć w ten róg, a wręcz przeciwnie, powstanie w Rzymie, szturm na więzienia inkwizycji, rozbicie pełnego pychy posągu Jego Świątobliwości na Kapitolu, wszystko to dowodzi niepopularności papieża i bezradności jego następcy, zwącego się Medicim, mimo iż każde dziecko wie, iż pochodzi z Mediolanu i jego prawdziwe nazwisko brzmi Medichi. Jego Świątobliwość jest pochlebcą, przywracając mu wstrzymane przez jego poprzednika dochody. On, Michelangelo, nie jest od nich uzależniony, człowiek w jego wieku nie potrzebuje już wiele. Zaproponował, że zaprzestanie już pracy, ale ta prośba pozostała bez odpowiedzi, tak więc teraz prosi jego, kardynała di Carpi, aby wstawił się u Jego Świątobliwości za jego dymisją; jeśli zaś idzie o pracę, na pewno nie będzie mu jej brakowało. Jemu, Michelangelo, nie przystoi oceniać swojej pracy dla papieża, ale jeżeli Ojciec Święty sądzi, iż owo dzieło przyczyni się do wiecznego spokoju jego duszy, to nachodzą go wątpliwości, czy ów wieczysty spokój będzie tak łatwy do osiągnięcia, choćby tylko dlatego, że jakiś artysta przez siedemnaście lat nie otrzymał sprawiedliwej zapłaty. Na temat wieczystego spokoju mógłby wiele powiedzieć, jednakże jego rozum zmusza go do milczenia. To co należało powiedzieć, zawierzył swoim freskom w Sykstyńce. Kto ma oczy, ten zobaczy. Całuję bardzo uniżenie dłoń Waszej Wysokości. Michelangelo.

*In nomine Domini**! W Kaplicy Sykstyńskiej ukryta była tajemnica, którą Michelangelo przekazywał nikczemnie dalej, i to było niepojęte! Wszystkie tajemnice pochodzą od szatana, przemknęło przez głowę kardynałowi. Przeraził się na tę myśl. Z trudem udało mu się zrozumieć przeczytany przed chwilą list. Pewne było jedynie, że powodem ukrycia tych dokumentów w Tajnym Archiwum nie były zarzuty przeciwko papieżom. Inne, o wiele większe, znajdujące się w dokumentach składowanych w głównych pomieszczeniach archiwum, nie podlegały żadnemu utajnieniu. Nie, prawdziwa przyczyna wydawała się kryć w aluzjach Michelangela. Któż jednak znał tajemnicę artysty? Tym człowiekiem musiał być Pius V, czyż mógł bowiem istnieć inny powód, aby zapieczętować te dokumenty? Czy oznaczało to, że wszystkich pozostałych trzydziestu dziewięciu papieża po nim nie znało tej tajemnicy? Czy istniał związek pomiędzy zagadką sykstyńskich fresków i trzecią przepowiednią Dziewicy Marii? Kardynał ciągle myślał o napisie na sklepieniu Kaplicy. Pośpiesznie skreślił kilka słów na kartce, prawie nie zdając sobie z tego sprawy...

– Eminencjo? – dobiegł go zza drzwi pytający głos kustosza. – Eminencjo?!

Jellinek nie wiedział, ile czasu spędził w tym Sanctissimum; kardynałowi było to i tak obojętne w obliczu tego niesamowitego odkrycia.

– Powiedziałem, że ojciec ma czekać, dopóki nie zapukam! – zawołał władcym głosem,

* w imię Pana

podszedłszy do drzwi. – Czy ojciec zrozumiał?

– Oczywiście – rozległ się z drugiej strony pokorny głos. – Oczywiście, Eminencjo.

Uwagę kardynała przykuł list odznaczający się szczególnie pięknym charakterem pisma. Jego górne i dolne linijki były dowodem przemożnej radości piszącego, podobnej do powiewających na majowym wietrze jedwabnych chustek. „Signora Marchesa!” – brzmiały pierwsze słowa listu, z „S” zaczynającym się u góry falistą linią, taką jak w „In dulci iubilo”^{*}, przeskakującą w połowie całą linijkę i zawijającą się na końcu jak wąż wokół jaja: „Signora Marchesa!” Kardynał był całkowicie świadom pikanterii tego zwrotu, doskonale bowiem znał osobę, która się za nim ukrywała. Była nią Vittoria Colonna, marchesa di Pescara, owdowiała od czasów bitwy pod Pawią, pobożnisia, a nawet bigotka do tego stopnia, że papież Klemens VII usilnie starał się powstrzymać ją od noszenia welonu w czasie, gdy rzymska i florencka arystokracja prześcigała się w zaręczynach i zawieraniu ślubów. Uważana była za jedną z najpiękniejszych i najmądrzejszych kobiet swej epoki. Łacinę znała jak kardynał, sztukę retoryki zaś jak filozof. Owa markiza była wielką, jedyną i – co stanowiło dla wielu zagadkę – platoniczną miłością Michelangelo. Miłością, która zamieniła tego malarza i rzeźbiarza w poetę, nierozważnego *scolare*^{*} piszącego ekstrawaganckie, pełne żaru sonety. „Signora Marchesa!” Taki list, w tym miejscu? Nie trzeba było się zbytnio zastanawiać, by zrozumieć, dlaczego ten list także nie opuścił murów Watykanu. Wolno, prawie z obawą kardynał zagłębił się w ten pełen ulotnych treści list:

„Szczęśliwszy od żrebięcia na łące przyjąłem wielką łaskę, jaką był Wasz list, Pani, z Viterbo, litościwie spisany kunsztownymi słowy przeznaczonymi dla Waszego, Pani, oddanego sługi. Szczęśliwy Michelangelo, zawołałem, szczęśliwszy od wszystkich książąt tego świata! Oczywiście mój zachwyt zmacony został, gdy usłyszałem, iż zraniłem także i Wasze, Pani, uczucia i wiarę w świętą religię Świętego Kościoła, Matki Naszej. Weźcie to jednak, Pani, za gadaninę artysty błąkającego się między Dobrem, a Złem i ugniatającego raz dobrą, raz złą glinę, z której rzadko powstaje oczekiwana forma. Z pokorą podziwiam mocną wiarę Waszej Wysokości i Jej dewizę *omnia sunt possibilia credenti*^{*}, którą Wy, Pani, tak doskonale przełożyliście dla mnie, niewykształconego człowieka; podług tej dewizy człowiek musi tylko wierzyć, a rzeczy stają się same. Teraz zapewne uważacie mnie, Pani, za niewiernego głupca i pytacie się, gnębiona troską, skąd wzięła się ta wątpliwość. Wątpliwość owa, o której Wam, Pani, wspominam, nie leży ukryta w mrocznych obłokach niebieskich dali, wątpliwość ta tkwi w pomyłce, jaką jest ta sytuacja życiowa. Daleki jestem od eksplikowania Wam tego, Pani, mimo iż dla Waszej Wysokości uczyniłbym więcej niż dla kogo innego, kogo znam na tym świecie. Wasza Wysokość zna owo powiedzenie *amore non vuol maestro*^{*} – kochające serce nie może być popędzane. A jednak narzucono mi, bym zabrał

^{*} „W słodkiej radości...”; początek kolędy z XIV w.

^{*} (wł.) – uczeń

^{*} dla wierzącego wszystko jest możliwe

^{*} miłość nie potrzebuje nauczyciela

tę tajemnicę ze sobą do grobu; nawet Wam, Pani, nie mogę jej zdradzić, bowiem – nie mówiąc już o wszystkich występkach i przedwczesnym *inferno** – wydałaby się ona Wam, Pani, i Waszej duszy jako trucizna, Wam, Pani, która wybudowałaś klasztor żeński w połowie wysokości Monte Cavallo, skąd niegdyś Neron spoglądał z góry na płonące miasto. Wybudowałaś go, Pani, po to, aby stopy tych pobożnych niewiast zatarły ślady Zła. Rzec mogę tylko tyle: we freskach Sykstyńskich uwieczniona została cała moja wiedza. Wy, Pani, od dawna już to odgadnęliście i bolesnym jest wiedzieć – aczkolwiek potwierdza to przyczynę moich wątpliwości – jak niewiele ci, na których spoczywa obowiązek krzewienia wiary, znają jej nauki. Jak do tej pory, siedmiu papieży dzień w dzień, patrząc w niebo, spoglądało na sklepienie tej kaplicy, ale żaden wykształcony przez sztukę umysł nie odczytał tego straszego testamentu. Oślepieni własną wspaniałością trzymają dumnie i prosto swe zaciętrzewione głowy, zamiast przechylić je do tyłu, by patrzeć i dojrzeć. Tymi słowami omal nie powiedziałem jednak za dużo i mógłbym Was, Pani, nimi zaniepokoić.

Czy mniejszej łaski doznają grzesznicy,
Tysiąca win pokorni pokutnicy,
Niż owi, co z dumą swego dokonania,
Z nadmiarem dobrych czynów idą przed twarz Pana?
Sługa Waszej Wysokości, Michelangelo Buonarroti w Rzymie!”

Kardynał pośpiesznie złożył trzeszczący pergamin i położywszy na stosie innych, umieścił w stalowej szafce na tym samym miejscu, skąd go wzięł. Czy kiedykolwiek ktoś zrozumie tego Michelangelo? Co ten artysta ukrył na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej? I jak to się stało, że dopiero on, kardynał i teolog, po więcej niż czterystu latach wpadł na trop tej tajemnicy?

Jellinek zamknął skrytkę, wzięł lampę i poszedł w stronę drzwi. Rozpostartą na płask dłońią uderzał o nie z niecierpliwością tak długo, dopóki nie usłyszał, że kustosz obraca klucz w zamku. Popchnął drzwi, odsunął zaspanego strażnika na bok i ruszył szybko – podczas gdy ten pośpiesznie zamykał drzwi – w kierunku schodów. Trzymana przez kardynała lampa rzucała niespokojne cienie. Przed jego oczyma tańczyły dziwne postaci, Sybille, piękne w swej młodości i starsze wiekiem, brodaci prorocy, potężnie, muskularnie zbudowany Adam i podniecająca Ewa, którą kochał, tak jak jakiś student kocha występującą na scenie primadonnę – beznadziejnie i tylko z oddali. W ten korowód wskoczył nagle również i Noe, otoczony przez Sema, Chama i Jafeta, Judyta zasłaniająca swą twarz i pewny siebie Dawid wymachujący mieczem. Święta Dziewico Mario! Co wpisał w swoje freski niewidzialnym atramentem Michelangelo, ten geniusz i diabeł zarazem? Czy za tymi alegorycznymi figurami czai się antychryst? Co oznacza „A” na pergaminie, który czyta Joel, prorok tak doskonale przypominający swym wyglądem Bramante? Jakie znaczenie ma ów anioł, zapalający oliwną lampkę Sybilli Erytrejskiej, która miała przepowiedzieć Sąd Ostateczny? Pograżona w

* piekło

myślach, piękna i bogato odziana, przerzuca karty księgi, dokładnie tak samo jak Sybilla z Cumae, która stara i koścista, a mimo to potężniejszej budowy od wszystkich pozostałych, szuka prawdy w swoich pozieleniałych foliałach. I prorok Ezechiel, w turbanie, ze zwojem papirusu; jaką tajemnicę kryją w sobie „L” i „U” wypisane na nim? Albo Daniel; czy w jego zwoju zawarta jest owa boska prawda? Jakiż piękny sen ukrywa się pod postacią Sybilli Delfickiej, dokąd biegnie jej pełne lęku spojrzenie?

Kardynał szedł słabo oświetlonymi korytarzami w stronę Kaplicy Sykstyńskiej; przed jego oczami pojawił się w końcu prorok Jeremiasz, postać tragiczna i smutna zarazem, której Michelangelo bez wątpienia badał rysy swej własnej, szorstkiej fizjonomii. Czarne kanciaste brwi, długi chrząstkowaty nos, kwadratowy podbródek i poprzeczna kreska ust – prorok z wymalowanym na twarzy smutkiem człowieka znającego prawdę. Tak, tam powyżej Sądu Ostatecznego musi znajdować się klucz do całej tajemnicy. Kardynał przyśpieszył kroku.

Siedział tam wysoko, przedwcześnie podstarzały, rozmyślający nad sytuacją bez wyjścia, w jakiej się znalazł, zakrywający szerokimi plecami dwóch dziwacznych geniuszy; jednego, stojącego po lewej stronie, starzejącego się, zaskakująco podobnego do Sybilli Delfickiej, jak gdyby za jednym zamachem postarzał się o cały wiek, z odwróconą w bok twarzą zdradzającą ból, i drugiego, po prawej stronie, geniusza młodzieńczo pełnego siły, z nakrycia głowy i profilu przypominającego Savonarolę. Wskazówka? Do czego prowadząca?

Kardynał, ciężko dysząc, pośpiesznie zszedł po wąskich kamiennych schodach i ostrożnie, jakby nie chciał przeszkadzać w dziele stworzenia, otworzył prawe skrzydło drzwi prowadzących do uświęconego miejsca. Listopadowe światło wpadało do środka przez wysoko umieszczone okna, nadając blask geometrii wspaniałej posadzki. Dzieło Michelangela skryło się w miękkim półmroku i tylko tu i ówdzie z ciemności wyłaniało się czyjeś wyprostowane ramię czy trudne do rozpoznania oblicze. Kardynała ogarnęły nieomal skrupuły, gdy miał dotknąć kontaktu, by włączając reflektory bezgłośnie nadać pełny blask kolorom malowidła. Reflektory te umieszczone były na dolnych krawędziach okien i skierowane na posadzkę. Odbite od niej sztucznie światło padało na sklepienie, pokonując tę samą, okrężną drogę co światło dzienne.

Błysk zapalających się reflektorów podobny był niemal do aktu stworzenia z Genesis, kiedy to Bóg rzekł: Niech się stanie światłość. I stała się światłość. I widział Bóg, że światłość była dobra. Oddzielił tedy Bóg światłość od ciemności.

Od marmurowej balustrady chóru wzrok kardynała powędrował mimo woli w górę, by po raz tysięczny obejrzyć dzieło stworzenia, zwiastuna Wybawiciela – proroka Jonasza, oddzielenie światła od ciemności, Boga tworzącego gwiazdy i życie roślinne, oddzielenie wody od lądu i wyprostowany palec Boga Ojca przydającego Adamowi duszę, ukrytą z tyłu Ewę obudzoną do życia, i w końcu tę parę zwiedzioną przez węża. Podczas oglądania tych scen rozboleł go kark; kardynał cofnął się wolno o kilka kroków, nie spuszczać jednakże wzroku ze sklepienia, przez jego głowę zaś przemknęło zdanie z listu Michelangela o siedmiu

papieżach zaślepionych własną wspaniałością, trzymających z pychą prosto swe zaciętrzewione głowy, zamiast przechylić je do tyłu, by patrzeć i dojrzeć. Nagle w jego polu widzenia pojawił się Noe składający ofiarę po przetrwanym szczęśliwie potopie, i w końcu sam potop, pływająca po wodach świątynia, sobkowie i egoiści na przeludnionej wyspie, która nie daje szansy przeżycia nawet ludziom wielkodusznym i pełnym miłości.

Kardynał zatrzymał się; jakże często uważnie przyglądał się temu dziełu stworzenia, patrząc nań ze zdumieniem i usiłując odczytać jego sens. Nigdy jednak do tej pory nie zauważył, że została tu przestawiona chronologia. Dlaczego Michelangelo namalował scenę ofiary dziękczynnej przed potopem? Genesis 8,20: „Wtedy zbudował Noe ołtarz Panu i wziął z każdego bydła czystego i z każdego ptactwa czystego, i złożył je na ofiarę”. Za to w Genesis 7,7 napisano: „Wszedł więc Noe z synami swymi i żoną swoją i żonami synów swoich do arki przed wodami potopu”. Scena ta kończyła się gwałtownie obrazem pijaństwa Noego; upojony winem śpi nago w swoim namiocie, wyśmiewany przez swego syna Chama i przykrywany przez Sema i Jafeta, stojących obok ojca z odwróconymi twarzami.

Mówi się, że Michelangelo zaczął malować swój cykl po tej właśnie stronie, odwracając przebieg aktu stworzenia, i wydaje się, iż rozmyślnie popełnił kilka błędów. Florentyńczyk znał dobrze Stary Testament, za to Nowy spotykał się u niego z niezrozumiałą rezerwą, graniczącą nieomal z negacją. Uważny obserwator sykstyńskich fresków mógł zauważyć z rozczarowaniem, że Michelangelo pozostawił sceny z Nowego Testamentu innym: Perugino namalował chrzest Chrystusa, Ghirlandaio powołanie apostołów, Rosselili „Ostatnią Wieczerzę” i „Kazanie na Górze”, Botticelli zaś „Kuszenie Chrystusa”. Michelangelo natomiast, niech Bóg ma w opiece jego duszę, niemal całkowicie zignorował Jezusa Chrystusa.

W Kaplicy Sykstyńskiej istniało tylko jedno przedstawienie Chrystusa pochodzące z ręki Michelangela; był to obraz Jezusa jako sędziego na Sądzie Ostatecznym. Kardynał z pokorą podszedł do wysokiej ściany, której niebieski kolor oddziaływał na widza jak ciąg powietrza, wir, jaki każdego, kto zbliża się do Apokalipsy wciąga do środka, obraca we wszystkie strony, każe unosić się z prądem coraz większego strachu, gdy człowiek usiłuje dłużej opierać się temu widokowi z oddali. Z każdym krokiem kardynała zbliżającym go do ściany ów lęk się zmniejszał, podobnie jak traciły swój pełen napiętności niepokój postaci Michelangela, im bardziej zbliżały się do rozgniewanego Sędziego Świata. Czyżby ten muskularny tytan, którego podniesiona prawica mogła rzucić na ziemię każdego Goliata, był owym zmartwychwstałym Chrystusem, tak jak poucza o tym Kościół? A może ten bohater był obrazem owego mężczyzny, który podczas Kazania na Górze powiedział: „Błogosławieni ubodzy w duchu! Albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą! Albowiem oni pocieszeni będą. Błogosławieni cisi! Albowiem oni posiadą ziemię. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości! Albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni! Albowiem oni miłosierdzia dostąpią”.

Setki lat przed Michelangelo, i wiele pokoleń po nim, Jezus Chrystus przedstawiany był zawsze jako uosobienie łagodności i dobroci; ponadczasowa, szlachetna postać, dostojna, brodata i święta. Ale nawet jedwabiste, sztuczne światło nie mogło nadać temu Chrystusowi – kardynał zatrzymał się na najniższym stopniu ołtarza – choćby pozoru pełnego łaskawości Boga. Ten tutaj spoglądał nieruchomo, pełen surowości na Ziemię, nie pozwalając zajrzeć w swe oczy patrzącemu do góry człowiekowi, potężny, nagi i piękny w sile swych mięśni jak grecki bóg. Już samo zewnętrzne piękno zdradzało jego boskie pochodzenie – był niczym Zeus, potężny Herkules, przymilny Apollo. Apollo? Czyż ten Jezus Chrystus nie był zaskakująco podobny do Apollina z Belwederu, owego antycznego marmurowego boga, niegdyś ożywionego w brązie na ateńskiej agorze, który później niewiadomymi drogami dotarł do Rzymu, gdzie papież Juliusz ustawił go na dziedzińcu pośród innych posągów? Jezus Apollinem? Cóż to za straszliwego figla spletał tutaj Michelangelo Buonarroti?

Kardynał opuścił kaplicę tą samą drogą, jaką przyszedł. Wbiegał tak szybko po schodach do góry, iż w pewnej chwili dostał zawrotu głowy. Właściwie mógł iść tędy nawet we śnie, ale nigdy ta droga nie wydała mu się taka długa, tak trudna i pełna tajemniczych przeszkód. W jego głowie rozbrzmiewał huk przypominający dźwięk chcących nawzajem zagłuszyć się puzonów. Bez jego woli, jak gdyby wdzierał się w jego myśli czyjś obcy głos, usłyszał słowa Apokalipsy: „I widziałem innego potężnego anioła zstępującego z nieba, odzianego w obłok, z tęczą wokół głowy, którego oblicze jaśniało jak słońce, nogi zaś jego były jak słupy ognia. A w rękę swoim miał otwartą księżeczkę. I postawił prawą nogę swoją na morzu, lewą zaś na lądzie. I krzyknął głosem donośnym jak ryk lwa. A na jego krzyk odezwało się głośnie siedem grzmotów. A gdy przebrzmiało siedem grzmotów, chciałem pisać; lecz usłyszałem głos z nieba mówiący: Zapieczętuj to, co powiedziało owych siedem grzmotów, a nie spisuj tego!”

I kiedy tak z napięciem wsłuchiwał się w siebie, czekając, czy głos odezwie się znowu, kardynał dotarł do czarnych drzwi prowadzących do archiwum. Były zamknięte. Uderzał w nie łokciami tak długo, aż poczuł ból. Przestał w końcu wyczerpany i zaczął nadśłuchiwać. Głos pojawił się znowu, głos z Apokalipsy Jana, czysty i prawdziwie nieludzki w swej nierealności: „Idź, weź księgę otwartą, którą ma w rękę anioł stojący na morzu i lądzie”. Na co anioł rzekł: „Weź i zjedz ją; gorzkością napełni żołądek twój, lecz w ustach twoich będzie słodka jak miód”. Więcej nic już nie usłyszał.

Brygadzysta grupy sprzątaczek znalazł kardynała rano, około godziny czwartej trzydzięci, leżącego przed drzwiami Tajnego Archiwum Watykanu. Kardynał oddychał jeszcze.

2. Nazajutrz po święcie Trzech Króli

Pierwszą rzeczą, jaką kardynał dostrzegł w mlecznobiałej mgłę, były wielkie skrzydła jakiegoś fantastycznego ptaka, poruszające się bezszelestnie. Stopniowo mgła przed jego oczami zaczęła się rozwiewać, usłyszał zbliżające się głosy.

– Eminencjo, czy ksiądz mnie słyszy? – do uszu Jellinka zaczęły docierać z naciskiem powtarzane słowa. – Czy ksiądz mnie słyszy, Eminencjo?

– Tak – odpowiedział kardynał, rozpoznając teraz wyraźnie biały kornet siostry szpitalnej, sztywne płótno otaczające nieco poczerwieniałą twarz.

– Wszystko w porządku, Wasza Eminencjo! – odezwała się uprzedzając jego pytanie zakonnica. – Wasza Eminencja tylko zemdłał.

– Zemdlałem?

– Znalaziono Waszą Eminencję nieprzytomnego przed wejściem do Tajnego Archiwum. Teraz jest Wasza Eminencja w *Fondo Assistenza Sanitaria**. O zdrowie Waszej Eminencji troszczy się osobiście professore Montana. Wszystko jest już w porządku.

Wzrok kardynała przesunął się wzdłuż cienkiej rurki wychodzącej spod opatrunku na łokciu i biegnącej do szklanego pojemnika wiszącego na lśniącym chromem statywie. Druga rurka wychodziła spod bandaża na przedramieniu i kończyła się w biało pomalowanym aparacie ze świecącym zielonkawo ekranem, na którym ukazywały się ostre zygzaki rytmu bicia jego serca; towarzyszył im pikający sygnał dźwiękowy. Poczynając od siostry zakonnej, z przyklejonym do twarzy uśmiechem i ciągle kiwającej głową, kardynał zaczął dokładniej przyglądać się pomieszczeniu. Wszystko było w nim białe: ściany, sufit, skromne umeblowanie, a nawet lampy na ścianach i staromodny telefon stojący na białym nocnym stoliku. Dotychczas nigdy jeszcze bezbarwność jakiegoś pomieszczenia nie przygnębiała kardynała tak bardzo jak w tym momencie, kiedy zaczął sobie przypominać, co się właściwie wydarzyło. Obok telefonu leżała zmięta poźółkła kartka.

Kiedy siostra zakonna zauważyła wzrok kardynała spoczywający na kartce, dotknęła jej ostrożnie nie biorąc do ręki i zawile zaczęła wyjaśniać pacjentowi, iż kiedy go znalaziono, miał ten zgnieciony kawałek papieru w ustach.

* oddział szpitalny

– Sytuacja była nader niebezpieczna, Wasza Eminencja bowiem mógł się tym papierem udusić – powiedziała. – Czy jest on aż tak bardzo ważny?

Kardynał milczał. Widać było, że zastanawia się intensywnie. W końcu wziął kartkę do ręki nie przyglądając się jej i zaczął wygładzać dłońmi, tak by można było dojrzeć litery, jakie na niej niewyraźnie napisano.

– *Atramento ibi feci argumentum* – przeczytał bezdźwięcznie kardynał, podczas gdy zakonnica, która nie rozumiała jego słów, zawstydzona spuściła oczy i pozornie obojętnie wygładzała fałdy swego białego fartucha.

„*Atramento ibi feci argumentum...* – czarną farbą nakreśliłem dowód...” Kardynał znał te słowa, mimo że nie wiedział dokładnie, komu je przypisać; był pewien, że jest to wskazówka, prawdziwy ślad.

– Nie wolno się Waszej Eminencji denerwować! – zakonnica zamierzała wyjąć kartkę z ręki Jellinka, ale ten szybko zacisnął dłoń. Zza białych drzwi szpitalnego pokoju dobiegły go czyjeś głosy. Drzwi otworzyły się i do środka weszła dziwna procesja: professore Montana, za nim kardynał Sekretarz Stanu Cascone, dwóch lekarzy asystentów, potem pierwszy sekretarz kardynała Sekretarza Stanu, jego sekretarz pomocniczy i jako ostatni William Stickler, kamerdyner papieża. Zakonnica podniosła się z krzesła.

– Eminencjo! – zawołał kardynał Sekretarz Stanu i wyciągnął do Jellinka obie ręce. Jellinek próbował wyprostować się na łóżku, ale Cascone przycisnął go do poduszki. W tym momencie podszedł do nich profesor, uchwycił dłoń kardynała i zaczął badać jego puls.

– Jak się Wasza Eminencja czuje? – zapytał kiwając głową.

– Chyba jestem trochę słaby, professore, ale w żadnym wypadku chory.

– Powinien Wasza Eminencja wiedzieć, że miał zapaść; nie zagraża ona życiu, ale powinien Wasza Eminencja na siebie uważać. Mniej pracować, więcej chodzić na spacer.

– Jak do tego doszło, Eminencjo? – zapytał Cascone. – Znaleziono Waszą Eminencję, z Boską pomocą, przed wejściem do Tajnego Archiwum. Nie znam miejsca, gdzie powietrze mogłoby być gorsze niż w archiwum. Nic dziwnego, że Wasza Eminencja stracił tam przytomność.

– Czy mógłbym porozmawiać z Waszą Eminencją w cztery oczy? – Jellinek spojrzał na kardynała Sekretarza Stanu twardym wzrokiem. Pozostali goście, jeden za drugim, opuścili pokój chorego. Stickler jeszcze tylko przekazał kardynałowi błogosławieństwo papieża. Jellinek przeżegnał się.

– To wzburzenie – zaczął kardynał Joseph Jellinek. – To była wina wzburzenia. Otóż poszukując wyjaśnienia sensu napisu Michelangela dokonałem pewnego odkrycia...

– Nie powinien Wasza Eminencja brać sobie tej sprawy tak bardzo do serca – przerwał szorstko choremu Cascone. – Michelangelo nie żyje już od czterystu lat. Był wielkim artystą, ale nie teologiem. Jakaż więc tajemnicę mógł ukryć w swoim dziele?

– Był człowiekiem urodzonym w czasach renesansu. Przed tą epoką cała sztuka służyła

Kościółowi, tego, co nastąpiło potem, nie muszę chyba Waszej Eminencji wyjaśniać. I jeszcze jedno... Michelangelo pochodził z Florencji, a Florencja zawsze była miastem grzechu.

– Fedrizzi powinien był zmyć te litery, kiedy tylko ukazały się pierwsze z nich. Teraz wie o tym już zbyt wielu ludzi. Ale znajdziemy wyjaśnienie i wówczas Watykan będzie na ustach całego świata.

– Ale wiesz równie dobrze jak ja, bracie w Chrystusie, że budowla naszego Kościoła postawiona jest nie tylko na fundamentach z granitu. W niektórych miejscach wyraźnie można zauważyć ślady osypującego się piasku...

– A więc Wasza Eminencja myśli poważnie – udał oburzonego kardynała Sekretarza Stanu – że nieżyjący już od czterystu lat malarz, który, co trzeba przyznać, nie był najlepiej traktowany przez najwyższą władzę, poprzez umieszczenie liter na jakichś tam freskach mógł narazić na niebezpieczeństwo Święty Kościół, Matkę Naszą?

– Po pierwsze, w przypadku naszego problemu nie chodzi o jakieś tam freski – powiedział siadając na łóżku Jellinek – ale o freski w Kaplicy Sykstyńskiej, bracie w Chrystusie. Po drugie, ten Michelangelo Buonarroti co prawda nie żyje, ale dla świata nie umarł. Michelangelo żyje, jest dzisiaj w pamięci ludzkiej o wiele bardziej żywy aniżeli za czasów swej egzystencji na tym padole. A po trzecie sądzę, że w swej nienawiści do papieży i Świętego Kościoła, Matki Naszej, użył wszelkich środków, jakie taki człowiek jak on mógł mieć do dyspozycji, aby się zemścić. Mówię to po przeprowadzeniu wyczerpujących badań.

– Wydaje mi się, że Wasza Eminencja spędza całe noce w Tajnym Archiwum. Jak ksiądz widzi, nie wyszło to księdzu na zdrowie.

– Było to twoje poruczenie, bracie w Chrystusie, to Wasza Eminencja polecił zająć mi się tą sprawą. A poza tym, zainteresowała mnie ona tak bardzo, że chętnie poświęciłem dla niej kilka godzin snu. Dlaczego ksiądz się śmieje, księżo kardynale Sekretarzu Stanu?

– Nie chce mi się po prostu wierzyć – potrząsnął głową Gascone – aby osiem zwykłych liter, które na nasze nieszczęście ukazały się podczas oczyszczania jakiegoś fresku, mogły wywołać takie wzburzenie w Kurii Rzymskiej.

– Były już błahsze powody, bracie w Chrystusie, i znajdowały się daleko poza murami Watykanu.

– Spróbujmy sobie jednak wyobrazić rzecz następującą. Co się stanie, jeżeli Fedrizzi potraktuje jutro rano owe litery specjalnym środkiem, dzięki któremu one po prostu znikną?

– Mogę to Waszej Eminencji wyjaśnić. Informacje o tym fakcie pojawią się we wszystkich gazetach, a nas oskarży się o niszczenie dzieł sztuki. Co więcej, pojawią się domysły na temat znaczenia napisu oraz spekulacje, cóż takiego skłoniło Kurię do zniszczenia tych liter. Pojawią się fałszywi prorocy i będą głosić fałszywą wiarę, a szkody okażą się większe aniżeli korzyści.

Mówiąc to Jellinek otworzył dłoń i pokazał zgnieciony papier.

– Zająłem się już wyjaśnieniem znaczenia tych liter.

Cascone podszedł bliżej i spojrzął na kartkę.

– I co?

– A – I – F – A: *Atramento ibi feci argumentum...* Ten początek nie jest zbyt obiecujący.

Cascone był wyraźnie zakłopotany. Do tej pory nie przykładał do sprawy zbyt dużej wagi, ale teraz kardynał Sekretarz Stanu poważnie musiał zadać sobie pytanie, czy jednak Michelangelo na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej nie zdradził jakiejś tajemnicy Kościoła.

– A w jaki sposób chce Wasza Eminencja dowiedzieć prawdziwości tej interpretacji? – zapytał Cascone po chwili zastanowienia.

– Jak na razie nie mogę niczego dowiedzieć, chociażby już z tego powodu, że znana jest mi jedynie połowa tekstu, ale już pierwsza próba interpretacji wykazuje, jak niebezpieczny dla Kościoła może być ten napis.

– Co więc należy uczynić, Eminencjo?

– Co należy uczynić? Między nami mówiąc, bracie w Chrystusie, zostaliśmy skazani na zastosowanie środków, przy pomocy których pracował florentyńczyk. I jeżeli był w przymierzu z Szatanem, to również i my musimy skorzystać z jego usług.

Cascone przeżegnał się.

3. W dniu święta papieża Marcelego

Pod wieczór tego dnia ciemnoniebieski fiat kardynała Jellinka zatrzymał się przed Palazzo Chigi. Podniszczona budowla, której nazwa pochodziła od bankiera Agostino Chigi, albowiem jej barokowy budowniczy popadł w zapomnienie podobnie jak wielu innych w tym mieście, miała nader burzliwą historię, na której aktualnym końcu znajdowała się skłócona wspólnota mieszkaniowa spadkobierców. Podzieliła ona budynek na mieszkania i wynajmowała je za bardzo wysokim czynszem. Ubrany prawie jak duchowny, szofer otworzył tylne drzwi samochodu. Kardynał wysiadł i skierował się w stronę małego bocznego wejścia, nadzorowanego przez kamerę umieszczoną nad drzwiami. Ze znajdującej się z boku hallu łoży dozorca domu pozdrowił kardynała przyjaźnie siedzący w niej Annibale. Przed dwoma laty, witając kardynała, przedstawił się od razu jako ateista i mrugając okiem dodał: Bogu niech będą dzięki! Kardynał wiedział, że Annibale oprócz swojej funkcji dozorca domu zajmował się jeszcze wymianą pieniędzy, był motocyklistą jeżdżącym w crossach oraz członkiem KPI.

Jeszcze bardziej godna uwagi była żona Annibale, Giovanna, babsko w średnim wieku, która całkowicie zasługiwała na to miano. Jej głównym miejscem pobytu wydawała się być klatka schodowa; w każdym razie kardynał natychmiast zauważał, kiedy w drodze powrotnej nie spotykał Giovanny na schodach. Dawniej używał staromodnej windy, wokół której owijały się jak wąż w rajcu, obramowane kutą z żelaza balustradą szerokie schody. Pewnego razu jadąc windą spostrzegł, że Giovanna myje schody. Wydawało mu się, że czyniła to codziennie wiele razy. Od tyłu, przez szlifowane szybki wykładanej mahoniem windy, zauważył też jej mięsiste uda, które – *miserere Domine** – tkwiły w o wiele za krótkich pończochach, grzesznie obszytych kolorowymi wstążkami na ciemno obramowanych końcach. Wstrząśnięty tym zmysłowym zbłądzeniem kardynał wypowiedział się następnego dnia u kamilianów w pobliżu Panteonu i zwierzył się zakonnikowi z hańby, jaką przyniósł swemu stanowi. Przed udzieleniem rozgrzeszenia poprosił spowiednika o odpowiednio surową pokutę. Jednakże kamilianin z Santa Maddalena potraktował go dobrotliwie i dając rozgrzeszenie kazał zmówić dwa Ojcze Nasz, dwa Ave Maria i dwie Glorie, dodając przy tym

* Panie, ulituj się

życzliwą radę, by obwiązał się w pasie sznurkiem świętej Teresy od Dzieciątka Jezus i w ten sposób odwrócił od siebie wszelkie nieskromne myśli. A poza tym taki widok sam w sobie nie jest grzeszny, dopiero owa pełna rozkoszy myśl, jaka się na skutek niego pojawia. Gdyby więc rzeczywiście delektował się w niskich celach owym widokiem, to i tak stoi przed nim otwarte wielkie serce świętego Kamila z Lellis^{*}, pomagającego wszystkim chorym.

Wzmocniony tą duszpasterską otuchą i jeszcze raz upewniwszy w zasadach, jakie Encyclopaedia Catholica zamieszcza pod hasłem „czystość”, w dzień później wszedł do windy, nacisnął guzik czwartego piętra i zamknął oczy, aby uniknąć jakiegokolwiek pokusy, wzywając na dodatek świętej Agnieszki. Jednakże jazda trwała krótko, zbyt krótko, aby osiągnąć swój cel na czwartym piętrze. Kiedy szarpnięcie wywołane nieoczekiwanym hamowaniem i hałas otwieranych drzwi zmusiły kardynała do otwarcia oczu, ujrzał przed sobą Giovannę i mimo iż na pewno nie pojawiła się przed nim jako uosobienie grzechu, czego dowodem mogłoby być trzymane przez nią w prawej ręce szare wiadro z cynkowanej blachy z brudną wodą oraz w lewej mokra szmata, i mimo że spojrzał na wchodzącą bardzo surowo, zaczął go znowu dręczyć podniecający widok, jaki ujrzał poprzedniego dnia. W pośpiechu i nie odpowiadając na przyjazne powitanie dozorczyńni chciał od razu wyjść z windy. Jednakże, jak gdyby za poduszczeniem maczającego w tym swoje palce szatana, Giovanna zastąpiła mu drogę kołyszając bujnymi piersiami i wykrzyknęła, wywołując u kardynała przerażenie podobne do tego, jakie diabeł odczuwa na widok egzorcysty:

– To przecież dopiero drugie piętro, Eminencjo!

– Drugie piętro? – wyjąkał kardynał zmieszany jak Izajasz w obliczu Pana, i jak Izajasz odwrócił się. Jednakże bliskość Giovanny, którą czuł za sobą, jej grzeszne ciepło, wywołały u niego zawroty głowy. Chwila, jaka minęła między automatycznym zamknięciem drzwi i nagłym szarpnięciem, gdy staromodna winda podjęła swą podróż w górę, wydała mu się trwać wiecznie. Przeklinał myśl, jaka kazała mu wejść do windy; tak, poczuł się nawet ofiarą uwiedzenia, tak jak Adam w raju, którego spotkał szatan pod postacią węża. Z zawziętą twarzą uchwycił się kurczowo mosiężnej poręczy, jaka biegła wokół całej windy w połowie jej wysokości. Udawana obojętność kazała kardynałowi przez chwilę nieruchomo spoglądać na klatkę schodową, gdy nagle jak piorun trafiło go odbicie postaci Giovanny w szybkach windy. Zobaczył jej ciemne oczy, wystające kości policzkowe i wydęte wargi. Kiedy Giovanna zauważyła jego spojrzenie, gwałtownym ruchem odrzuciła swe bujne włosy na kark i skierowała wzrok ku górze, wpatrując się w mlecznobiałą, okrągłą lampę umieszczoną pośrodku sufitu. Aby wypełnić przykre milczenie panujące w windzie między drugim a czwartym piętrem, nie zmieniając swej postawy zaczęła cicho nucić: *funicoli, funicola, funicoli, funicolaaa!* Był to refren niewinnej neapolitańskiej piosenki, ale śpiewany cichym, niskim głosem Giovanny brzmiał zupełnie inaczej: nieprzyzwoicie i grzesznie. Tak go w każdym razie, jeden Bóg wie dlaczego, odbierał kardynał nie przestając okrężną drogą

* założyciel zakonu kamilianów

wpatrywać się przez odbijającą wewnątrz windy szybę w wargi Giovanny. W tym momencie przypomniał sobie słowa kamilianina, iż nie sam widok jest grzeszny, ale rozkoszowanie się nim w niskich celach. No cóż, kardynał na pewno rozkoszował się widokiem Giovanny, bez względu na to, czy robił to w niskich, czy też w innych celach.

– Czwarte piętro, Eminencjo!

Kardynał, dla którego nagle ta jazda skończyła się zbyt szybko, pośpiesznie wyszedł z windy natychmiast po otwarciu się automatycznych drzwi, omijając przy tym dozorczynię możliwie największym łukiem.

– Dziękuję, signora Giovanna, dziękuję! – zawołał jeszcze umykając z windy.

Owo wydarzenie miało miejsce dwa lata wcześniej i od tego czasu spotkania na klatce stały się dla kardynała chwilami, których codziennie oczekiwał. Kiedy bowiem wchodził po szerokich schodach, mógł być całkowicie pewny, że spotka dozorczynię w drodze na czwarte piętro. Jakimś boskim zrządzeniem kardynał spotykał Giovannę także i wtedy, gdy wjeżdżał na górę windą lub też wracał do domu o niezwykłej porze.

Tego wieczoru wybrał drogę schodami. Dręczony jak święty Paweł katuszami ciała, spoglądał tęsknie w górę, a nawet złapał się na tym, iż specjalnie głośno stawia stopy, zwalniając na dodatek kroku, aby dać czas dozorczyńi, by wyszła mu naprzeciw. Jednakże do wysokości pierwszego piętra nie dane mu było jej spotkać i kardynał poczuł objawy owej choroby odwykowej, jaka zawsze jest dowodem istnienia nałogu. Idąc bowiem za radą swego spowiednika pozwolił toczyć się biegowi tych przykrych wydarzeń na tyle, iż nie starał się stłumić swoich refleksji na widok Giovanny, ile postanowił raczej pogardzać tą emanującą żądzą kobietą. W ten sposób, tak brzmiała rada kamilianina, pewnego dnia stanie się na tyle mocny, iż będzie mógł przeciwstawić się kuszeniu szatana.

Historia Kościoła uczy jednak, że wizje ascetów są o wiele straszliwsze od tych, jakie miewają grzesznicy; nie ominęły one zarówno uczonego w Piśmie doktora Kościoła, świętego Hieronima, jak i umartwiającego się jezuitę Rodrigueza. Ten pierwszy – głoszący w czasie kazań „Praktykę chrześcijańskiej doskonałości” – przez całe życie cierpiał na pełne udręki wizje nagich kobiet, które nocami, gdy śnił, kołysały swymi piersiami przed jego oczyma. Drugi zaś, brodaty pokutnik, nawet na pustyni spotykał tańczące rzymskie dziewice i nie były mu w stanie pomóc szorstkie, kłujące maty z kukurydzianej słomy ani też biczowanie się do krwi. Jeżeli jednak ci, którzy żyli w stanie świętości, ulegali pokusie ciała, to w jaki sposób on, kardynał, mógł się im przeciwstawić? Rozczarowany minął drugie i trzecie piętro. Z obrazem odzianych w pończochy ud Giovanny, o wiele bardziej nagich, niż mu je kiedykolwiek ukazała w rzeczywistości, wyjął z kieszeni swej czarnej sutanny klucz od mieszkania.

Kardynał mieszkał sam; jego gospodarstwo domowe prowadziła pewna franciszkanka wracająca pod wieczór do swego klasztoru na Awentynie. Był więc przyzwyczajony przychodzić do pustego mieszkania. Wysoki, ciemny korytarz obity czerwonymi,

jedwabnymi tapetami dzielił mieszkanie na dwie części: dwuskrzydłe drzwi po lewej stronie prowadziły do salonu, w którym pyszniły się czarne meble w stylu *novecento Italiano**. Za nim, oddzielona oszklonymi, rozsuwanymi drzwiami znajdowała się biblioteka. Sypialnia, łazienka i kuchnia były po drugiej stronie korytarza.

Zmieszany i wzburzony zarazem kardynał wszedł do biblioteki. Stojące przy przeciwległych ścianach półki wypełnione były od podłogi po sufit książkami, na trzeciej ścianie wyłożonej drewnem wisiał krzyż, przed którym stał klęcznik obity purpurą. Kardynał opadł nań i zasłonił twarz dłońmi. Jednakże odmawiany szeptem różaniec nie odniósł swego skutku, nawet bowiem żarliwe *Ave Maria* zakłócał pełnym lubieżności mirażem Giovanny. Kardynał, wzburzony, poderwał się i zaczął gwałtownie chodzić tam i z powrotem, by w chwilę potem zdecydowanym krokiem udać się do pogrążonej w półmroku sypialni. Pośpiesznie zaczął przerzucać rzeczy w starej, nędznej komodzie, aż znalazł to, czego szukał – rzemienny pas. Rozpiął sutannę, zsunął ją na biodra i zaczął chłostać plecy, by przywrócić swą dyscyplinę wewnętrzną, tak jak to czynił święty Dominik. Początkowo nieśmiało, poczuwszy jednak rozkosz takiej pokuty, zwiększał stopniowo intensywność uderzeń. Pas głośno klaskał o skórę i, Bóg to tylko wie, być może zachłostałby się tego wieczoru do utraty przytomności, gdyby nie wyrwał go z transu dzwonek do drzwi mieszkania. Kardynał ubrał się pośpiesznie.

– Kto tam? – zawołał przez korytarz.

Zza drzwi dobiegł go głos Giovanny.

– *Domine nostrum**! – wyrwało się kardynałowi, który szybko przeżegnał się, a potem otworzył drzwi.

– Oddał to jakiś *padre** – Giovanna podała kardynałowi owiniętą w brudny brązowy papier i owiazaną zwykłym sznurkiem paczuszkę.

Kardynał spojrział na Giovannę. Był prawie sparaliżowany ze strachu.

– Jakiś *padre*? – wymruczał zmieszany.

– Tak, zakonnik, dominikanin albo palotyn czy też jak oni się tam nazywają; w każdym razie był ubrany na czarno. Powiedział, że to dla Waszej Eminencji. To było wszystko.

Kardynał sięgnął po paczuszkę i skinąwszy głową w podzięcie, pośpiesznie zamknął drzwi. Usłyszał jeszcze echo kroków Giovanny na klatce schodowej, a potem poszedł do salonu i upadł na pokryty kwiecistym płótnem fotel. Ta kobieta była grzechem, węzłem z rajskiego ogrodu, pokusą na pustyni. *Domine nostrum!* Co powinien uczynić? Sięgnął po brewiarz, jako że jego studiowanie jest balsamem przeciw namiętnościom, i drżącymi, niespokojnymi palcami zaczął przewracać strony. Zatrzymał się przy fragmencie ewangelii św. Łukasza, przeznaczonej na trzecią niedzielę po Zielonych Świątkach: „A zbliżali się do niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby go słuchać. Faryzeusze zaś i uczeni w Piśmie

* włoski wiek dziewiętnasty

* Panie nasz

* ojciec

szemrali i mówili: Ten grzeszników przyjmuje i jada z nimi. Powiedział im więc taką przypowieść: Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie pozostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją odnajdzie? A odnalazłszy, kładzie ją na ramiona swoje i raduje się. I przyszedłszy do domu, zwołuje przyjaciół i sąsiadów, mówiąc do nich: Weselcie się ze mną, gdyż odnalazłem moją zgubioną owcę! Powiadam wam: Większa będzie radość w niebie z jednego grzesznika, który się opamięta, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują opamiętania.”

Słowa ewangelisty podziałały nań uspokajająco, jak lekarstwo uśmierzające gorączkę. W obawie jednak, iż gorączka grzechu może się znowu podnieść, kardynał uniósł się z fotela i poszedł do biblioteki, aby uklęknąć pod krzyżem. Zaczął szukać pomocy w psalmach, z których najbardziej bliskie jego sercu były Psalmi Dawidowe.

– Zechciej, Panie, ocalić mnie, pośpiesz mi, Panie z pomocą! – Kardynał czytał pieśni błagalnym półgłosem. – Niech się zawstydzą i zarumienią wszyscy ci, którzy godzą na życie moje, by je zgubić. Niech cofną się okryci hańbą ci, co pragną mej zguby. Niech osłupieją z powodu mej hańby ci, którzy mówią do mnie: Ha, ha!... Niech się rozweselą i rozradują w Tobie wszyscy, którzy Cię szukają. Niechaj ci, którzy miłują zbawienie Twoje, mówią zawsze: Wielki jest Pan! Ja wprawdzie jestem ubogi i biedny, lecz Boże mój, nie zwlekaj...

Gdy tak medytował, jego wzrok padł na paczuszkę, którą w pomieszeniu odłożył niedbale na bok. Obmacał ją najpierw rękoma, jakby obawiając się tajemniczej zawartości, a potem zaczął ostrożnie rozpakowywać. Na Świętą Dziewicę i wszystkich Świętych, ciekawość była daleka każdej chrześcijańskiej cnocie, a w tej chwili ta przywara zdobyła przewagę nad pobożnymi modlitwami, podobnie jak widok żony dozorca kierował jego myśli w stronę rozpusty. I znowu stanęła przed nim Giovanna, w jego głowie zabrzmiała *Pieśń nad Pieśniami* Dawida (nigdy nie czytał czegoś bardziej zmysłowego): „Twoje włosy jak stado kóz, które schodzą z gór Gileadu... twoje wargi są jak wstążka karmazynowa... Twoja szyja jak wieża Dawidowa... Dwoje twoich piersi jest jak dwoje sarniąt, bliźniąt gazeli...”

Skończywszy rozpakowywać paczuszkę kardynał zamarł; jej zawartość uczyniła go bezradnym, podobnie jak w przypadku Saula widok niebiańskiego światła przed bramami Damaszku. W środku znajdowały się złoto oprawione okulary i dwa czerwone pantofle z wyhaftowanym na nich krzyżem.

4. W dwa dni później

Po odwołaniu się do Ducha Świętego o opiekę nad pracami nadzwyczajnego consilium, kardynał Joseph Jellinek stwierdził, iż w Świętym Oficjum przy Piazza del Sant'Uffizio nr 11 w sali na drugim piętrze tej budowli znajdują się następujące osoby: Ich Eminencje i Wielebności kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, będący jednocześnie prefektem Rady do Spraw Publicznych Kościoła; kardynał Mario Lopez, podsekretarz Kongregacji Wiary i arcybiskup tytularny Cezarei: kardynał Giuseppe Bellini, prefekt Kongregacji Sakramentów i Kultu Bożego, odpowiedzialny szczególnie za sprawy liturgii w kwestiach rytualnych i duszpasterskich, będący także tytularnym biskupem Eli, i Frantisek Kolletzki, podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego, odpowiedzialny za szkoły wyższe i uniwersytety, będący jednocześnie rektorem Collegium Teutonicum Santa Maria dell' Anima. Dalej obecni byli przewielebni monsignori i patres Augustyn Feldmann, kierownik Archiwum Watykańskiego i pierwszy tajny archiwariusz jego Świątobliwości, oratorianin z klasztoru na Awentynie i Pio Grolewski, kurator muzeów watykańskich i członek zakonu Braci Kaznodziejów; konsultanci i kwalifikatorzy: Bruno Fedrizzi, główny Konserwator Kaplicy Sykstyńskiej; prof. Antonio Pavaranello, generalny dyrektor Dyrekcji Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich, oraz Riccardo Parenti, profesor historii sztuki na uniwersytecie we Florencji oraz ekspert w dziedzinie fresków późnego renesansu i pierwszego okresu baroku, szczególnie specjalizujący się w twórczości Michelangelo Buonarrotiego, jak również Adam Melcer z Towarzystwa Jezusowego, Ugo Pironio z zakonu Eremitów św. Augustyna, Pier Luigi Zalba z zakonu Służebników Marii, fra Felice Centino, kanonik z San Carlo i Laudivio Zacchia, kanonik z San Pietro w Vincoli. Odpowiedzialnymi za protokół archiwariuszami byli notariusz, monsignore Antonio Barberino, protokolant Eugenio Berlingero i pisarz, Francesco Sales.

Z protokołu Świętego Oficjum:

Eminentissimus i *reverendissimus* Joseph kardynał Jellinek wezwał wyżej wymienionych obecnych o potraktowanie przedmiotu obrad podług erazmijskiego przykładu *ex paucis multa, ex minimis maxima** i nielekceważenia problemu, albowiem sztuka i nauka, nie wyłączając

* z drobiazgow liczne, z małych wielkie (powstają sprawy)

teologii, zaszkodziły Świętemu Kościołowi, Matce Naszej, na przestrzeni dwóch tysięcy lat więcej aniżeli prześladowania chrześcijan przez Rzymian. W pierwszym rzędzie idzie w tym przypadku nie tyle o interpretację zagadkowych liter w Kaplicy Sykstyńskiej, których twórcę określić można by było jako chorobliwego antypapistę, ile o to, że zebrane gremium musi uprzedzić odbiegające od reguły spekulacje i jednocześnie, wraz z podaniem do publicznej wiadomości informacji o odkryciu, zaproponować niepodważalne wyjaśnienie całej sprawy.

Zastrzeżenie jego Eminencji, Frantiska Kolletzkiego:

– To *consilium* przypomina mi podobny przypadek z nie tak dawnej jeszcze przeszłości, a dotyczy podobnie błahej sprawy, który tylko dlatego zamienił się w prawie nierozwiązalny dla Kościoła problem, że był dyskutowany przed Świętym Oficjum.

Pytanie Adama Melcera z Towarzystwa Jezusowego dotyczyło przypadku, o jakim mówił Jego Eminencja, kardynał Kolletzki. Prośba Adama Melcera, aby Jego Eminencja był uprzejmy wyrażać się w ten sposób ogólnie zrozumiały dla wszystkich obecnych.

Odpowiedź Jego Eminencji, kardynała Kolletzkiego (nie pozbawiona ironii):

– Dorosłym należy wyjaśnić, zakładając zgodę Jego Eminencji Josepha kardynała Jellinka jako prefekta Kongregacji Wiary (zgoda została udzielona przez wymienionego skinieniem głowy), że tamto równie tajne, co i bezowocne *consilium* dyskutowało na temat napletka naszego Pana Jezusa. Aczkolwiek Święte Oficjum podeszło do tego problemu w całkowicie pobożnych zamiarach i mając na uwadze czystość obyczajów, mimo to stał się on całkowicie nierozwiązalny.

Oburzenie Pier Luigiego Zalby z zakonu Służebników Marii. Jego Eminencja kardynał Kolletzki nadal obstaje przy swoim zdaniu:

– Lawinę spowodował wtedy pewien jezuita, pytając o sens adoracji świętego napletka, który przechowywany jest w jednym z klasztorów. W końcu to ewangelista Łukasz wyraził się jasno, iż Jezus w ósmym dniu po narodzinach został obrzezany i jego *praeputium** przechowywane było w olejku narodowym. Prowadzona przez Święte Oficjum dyskusja miała jednak nieoczekiwane skutki. Nie tylko dlatego, iż okazało się, że w różnych miejscach przechowywane jest wiele *praeputiorum*; dostojne gremium zostało także skonfrontowane z problemem, czy nasz Pan Jezus podczas swego Zmartwychwstania i Wniebowstąpienia nie musiał zabrać ze sobą owej nieczystej części swego własnego ciała. Czcigodni członkowie *consilium* wdali się w spór do tego stopnia gwałtowny, że musiała interweniować zwana tak wówczas Papieska Komisja Wykładni Prawa Kanonicznego, która problem ten potrafiła również rozwiązać jedynie częściowo, odmawiając jednoznacznie świętemu *praeputium* rangi relikwii, gdyż według kanonu 1281, rozdział 2, za relikwie mogą być uważane jedynie te części ciała, które doznały uszczerbku na skutek męczarni. Święte Oficjum uznało wtedy za jedyne wyjście ukaranie ekskomuniką *specjali modo* każdej dyskusji na temat świętego *praeputium*, prowadzonej w słowie i na piśmie.

* napletek

Joseph kardynał Jellinek przerywa to przemówienie stukaniem w stół i słowami: – Do rzeczy, księżę kardynale!

Jego Eminencja Kolletzki: – Chciałem jedynie wykazać, iż Kuria ze swymi dykasteriami wydaje się predestynowana do robienia z muchy słonia i że niekiedy pierwszeństwo należy dawać milczeniu. Słowa są w stanie otworzyć zasklepione rany, milczenie natomiast przyspiesza proces gojenia.

Kardynał Sekretarz Stanu i prefekt Rady do Spraw Publicznych Kościoła, Giuliano Cascone, bardzo wzburzonym głosem: – Zadaniem Kurii nie jest milczenie! My mamy przy tym stole podjąć decyzje, *quoquomodo possumus*!

Jego Eminencja, kardynał Jellinek, próbuje uspokoić zebranych: – Bracia w Chrystusie, pokora jest najdoskonalszą ze wszystkich cnót chrześcijańskich! Chciałbym wyjaśnić, dlaczego powyższa *causa** jest tak ważna, a nawet niebezpieczna. Właśnie w tym miejscu, przy tym stole, obradowano przed trzystu pięćdziesięciu laty nad sprawą, która – niech Pan będzie łaskawy dla nas grzeszników – przyczyniła Świątemu Kościołowi, Matce Naszej, ciężkich szkód. Myślę o *causa* Galilei, która stała się blamażem Świątego Oficjum. Chciałbym przypomnieć, iż przypadek Galileusza zrodził się z pozornie błahej sprawy, mianowicie pytania, czy zmiana istoty niebios jest zgodna z Pismem. Ostrzegam zatem usilnie przed popełnieniem takiego samego błędu po raz drugi.

Pełen wzburzenia okrzyk Ugo Pironiego z zakonu Eremitów św. Augustyna: – Sobór w Trydencie zakazał wykładni Pisma sprzeciwiającej się interpretacji Ojców Kościoła! Galileusz został skazany słusznie!

Kardynał Jellinek, coraz bardziej zdenerwowany: – W tym przypadku nie mówimy o prawie kanonicznym. Mówimy o szkodach, jakie przyniosło Świątemu Kościołowi postępowanie Świątego Oficjum, a także o tym, jak to z powodu nieostrożności odpowiedzialnych osób *quisquilliae* zamienić się mogą w *causa causarum*!

Również wzburzony monsignore, Ugo Pironio: – Zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy sądzono, że to Słońce porusza się na niebie wokół Ziemi, Ziemia zaś stoi nieruchomo w centrum uniwersum. Każdy wykształcony człowiek mógł to przeczytać w dziełach Ojców Kościoła, w psalmach, u Salomona czy Jozuego. Czy Świąty Kościół miał tolerować stawianie wiarygodności tych pism pod znakiem zapytania? Nie trwałoby długo i niebawem znalazłby się inny heretyk głoszący, że nie Bóg, nasz Pan, wypędził Adama i Ewę z raj, ale Adam i Ewa wyprosilili stamtąd Boga, naszego Pana, ponieważ chcieli zostać sami, i można by było tego dowieść przy pomocy astronomii i matematyki! – Pironio przeżegnał się pośpiesznie.

– Wydajecie się zapominać, bracia w Chrystusie, że to nie Galileo Galilei nie miał racji, ale Świąte Oficjum i że nie myliła się astronomia czy geometria, ale teologia. A może u

* w jaki sposób tylko potrafimy

* sprawa

* powód nad powody; w przen. z igły widły

Eremitów św. Augustyna Słońce jeszcze do dzisiaj kręci się wokół Ziemi? (słowa Jego Eminencji Josepha kardynała Jellinka wywołały wyraźny niepokój pośród obecnych).

Kardynał Jellinek, kontynuując swoją wypowiedź: – Galileusz bezwzględnie dawał pierwszeństwo teologii przed innymi naukami, jeśli idzie o cudowne pouczenia, boskie objawienia czy wieczne zbawienie. Nazwał nawet teologię królową wszelkich nauk, jednocześnie żądając, aby nie zniżała się do niskich, mniejszej rangi spekulacji nauk wewnętrznych, nie wnoszą one bowiem nic do kwestii zbawienia, ich słudzy zaś nie mogą sobie rościć prawa do autorytetu i decydowania w dziedzinach naukowych, o których nie mają pojęcia.

W tym momencie monsignore Ugo Pironio z wściekłością zacytował fragment z *Genesis ad litteram* św. Augustyna w taki sposób, że żaden inny nawołujący do pokuty kaznodzieja nie potrafiłby uczynić tego gwałtowniej: – *Hoc indubitanter tenendum est, ut quidquid sapientes huius mundi de natura rerum demonstrare potuerint, ostendamus nostris libris non esse contrarium; quidquid autem illi in suis voluminibus contrarium Sacris Literis docent, sine ulla dubitatione credamus id falsissimum esse, et, quoquomodo possumus, etiam ostendamus**.

Przedmówcy odpowiedział Jego Eminencja Mario Lopez, podsekretarz Kongregacji Wiary i arcybiskup tytularny Cezarei: – Monsignore Pironio, wyjaśnianie problemów kosmicznych nie jest sprawą Pisma, podobnie jak nie jest sprawą wiedzy świeckiej objaśnianie nauki o zbawieniu głoszonej przez Święty Kościół Katolicki. To nie są moje słowa, bracie w Chrystusie, ale te, jakie wypowiedział Galileo Galilei.

– Zadaniem Pisma nie jest uczenie o właściwościach rzeczy, nie wnoszą one bowiem nic do zbawienia człowieka. Znacie te słowa z encykliki *Providentissimus Deus** Jego Świątobliwości Leona XIII! (okrzyk Jego Eminencji kardynała Jellinka).

Podsekretarz Kongregacji Wiary, kontynuując swoje wystąpienie: – Czyżbyście chcieli znowu wprowadzić średniowieczne obyczaje i twierdzić, iż geometria, astronomia, muzyka i medycyna są w Piśmie Świętym traktowane z większą powagą aniżeli u Archimedesza, Boethiusa i Galeny? Galileusz nie powiedział nic innego, jak tylko to, że świeccy uczeni jego epoki potrafili naukowo wyjaśnić niektóre naturalne zjawiska, podczas gdy inni zajmują się nimi jedynie w sposób hipotetyczny. Słusznie odrzucał dyskusję o zgodności z rzeczywistością wyników badań tych pierwszych, dowiedzione one bowiem zostały przy pomocy nauki. Jednocześnie szukał dowodów na zdemaskowanie tych drugich jako ludzi błędzących. Czyż może istnieć inny, bardziej rzetelny uczonec? Mnie w każdym razie argumentacja florentyńczyka wydaje się uczciwa, szczególnie kiedy mówi, że jeżeli dowody

* To w sposób nie budzący wątpliwości należy zrozumieć, że cokolwiek uczeni mogli wyjawić na temat rzeczywistości, w naszych księgach pokazujemy, że nie jest inaczej, o czymkolwiek, zaś oni w swych dziełach uczą wbrew Świętemu Kościołowi, bez najmniejszej wątpliwości wierzymy, że jest kłamstwem, i jak tylko możemy, również ukazujemy

* wszystko przewidujący Bóg

nauk przyrodniczych nie mogą być podporządkowane Pismu, a jedynie uznać je można za nie sprzeciwiające się jego kanonom, to wtedy należy dowieść, zanim jakaś teza zostanie potępiona, iż brakuje na nią naukowych dowodów. Dotyczy to jednak nie tych, którzy uważają ją za prawdziwą, ile tych, którzy w nią wątpią.

– *Accessorium sequitur principale**! – kardynał Jellinek po raz kolejny uderzył dłonią w stół Świętego Oficjum przypominając, iż należy trzymać się tematu. Oświadczył też, że wspomniał sprawę Galileusza dlatego, aby pokazać, iż nauka Świętego Kościoła odniesie mniej szkód mając oświeconych przeciwników niżeli poprzez niedbalstwo i niezręczność we własnych szeregach. W tym też kontekście Jego Eminencja wspomniał o wieloletnim sporze między dominikanami i jezuitami, dotyczącym nauki o przeznaczeniu św. Augustyna, który zaszkodził zarówno jednemu, jak i drugiemu bractwu.

Słowa te wywołały jednak gwałtowną i w sumie niezrozumiałą burzę okrzyków następujących obecnych: Adama Melcera z Towarzystwa Jezusowego, fra Desiderio Scagliego, kanonika z San Carlo, fra Felice Centiniego, kanonika z Santa Anastasia, i Jego Eminencji, Giuseppe Belliniego, prefekta Kongregacji Sakramentów i Kultu Bożego, szczególnie odpowiedzialnego za sprawy liturgii w kwestiach rytualnych i duszpasterskich.

Wymieniony powyżej mówca miał kłopoty, by znaleźć posłuch i sprowadzić dyskusję do właściwego tematu, czyli interpretacji napisu w Kaplicy Sykstyńskiej, a potem udzielił głosu głównemu konserwatorowi, Bruno Fedrizziemu.

Główny konserwator, Bruno Fedrizzi, obszernie omówił, wskazując przy tym na technikę malowania fresków i chemiczną analizę odkrycia, osiem liter występujących na księgach i zwojach manuskryptów u proroka Joela, Sybilli Erytrejskiej oraz pozostałych postaci w kolejności odkrywania: A – IFA – LU – B – A. Wszystkie zostały wykonane *a secco**, wraz z korektami, jakie Michelangelo naniósł po ukończeniu właściwych fresków zresztą w małym wymiarze, jak na przykład poprawki konturów, proporcji czy perspektywy.

Pytanie kardynała Sekretarza Stanu, Giuliano Cascone: – Czy można wykluczyć, iż będące tematem dyskusji litery zostały wykonane później inną ręką aniżeli Michelangela?

Fedrizzi zaprzeczył istnieniu takiej możliwości dowodząc, iż nieorganiczne pigmenty zawarte w farbach odkrytych liter odnaleźć można także w partiach cieni w scenach ze Starego Testamentu. Jeżeli w tej sytuacji ktoś powątpiewa w autentyczność owych liter, musi jednocześnie podać w wątpliwość autorstwo Michelangela jako twórcy całości fresków na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej.

– Czy w innych dziełach florentczyka można odnaleźć jakiegokolwiek sygnatury? (pytanie Jego Eminencji kardynała Sekretarza Stanu).

Odpowiedź udzielona przez Riccardo Parentiego, profesora historii sztuki na uniwersytecie we Florencji: – Michelangelo, jak to było w zwyczaju w jego czasach, nie

* rzecz uboczna idzie za rzeczą pierwotną

* technika malowania na suchym tynku

sygnował swych prac, pomijając fakt, że w namalowanych dziełach portretował także i samego siebie. Trudno zakwestionować podobieństwo rysów Michelangela do oblicza proroka Jeremiasza czy udęczonego ciała Bartłomieja w scenie Sądu Ostatecznego. Jednakże ostateczne wyjaśnienie tej właściwości florentyńczyka, poza czystą formą przedstawienia, nie nastąpiło do dnia dzisiejszego.

– Tak więc odkryte tajemnicze znaki mogą być całkowicie zgodne z charakterem twórczości florentyńczyka! (okrzyk Jego Eminencji kardynała Jellinka).

Odpowiedź profesora Parentiego: – Jest to zupełnie możliwe, tym bardziej że Michelangelo, poza freskami Kaplicy w Sykstyńskiej, nie namalował niczego godnego uwagi. Jak każdy wie, freski w Kaplicy Sykstyńskiej powstały na skutek kłopotów materialnych, nienawiści do papieża i Kurii oraz różnego rodzaju upokorzeń artysty; w każdym razie podejrzenia, iż jest to próba zemsty, bez względu na sposób jej wyrażenia, nie wydają się chybione. Już sama tematyka wybrana przez artystę dla papieskiej kaplicy domowej może być potraktowana jako prowokacja, o ile nie skandal. Proszę sobie wyobrazić, że współczesny artysta wymalowałby prywatną kaplicę Jego Świątobliwości postaciami ujmującymi, co należy przyznać, nagich dam i panów, odpowiadającymi współczesnym ideałom piękności, i zamiast chrześcijańskich symboli połączył je z prowokacyjnymi scenami przedstawiającymi problematykę narkomanii, masonerii czy muzyki młodzieżowej. Skandal dzisiaj nie mógłby być większy niż wtedy.

Pośród członków Świętego Oficjum zapanował niepokój.

– Z kłótni z papieżem – kontynuował Parenti – florentyńczyk wyszedł jako zwycięzca, jednocześnie pogardliwie wyrażając się w rewanżu o każdym malarstwie przedstawiającym sceny z Nowego Testamentu, czy w ogóle o malarstwie religijnym. Przywrócił nawet do życia posłańców ze świata rzymskiej i greckiej filozofii i duchów, złożył hołd Dantemu, neoplatonizmowi i sztuce antycznej, która przez Kościół jest potępiana publicznie jako pogańska. Do dnia dzisiejszego nie jest do końca jasne, dlaczego Jego Świątobliwość nie zaprotestował wtedy przeciwko tego rodzaju interpretacji artystycznej.

Okrzyk kardynała Jellinka, prefekta Kongregacji Wiary: – Jego Świątobliwość, Juliusz II, nie tylko protestował, ale wszczął nawet z upartym artystą gwałtowną kłótnię!

– Co to znaczy upartym! Wszyscy artyści, którzy zasłużyli na to miano, są uparci! (okrzyk ojca Augustyna Feldmanna, kierownika Archiwum Watykańskiego i pierwszego tajnego archiwariusza Jego Świątobliwości).

Pytanie Jego Eminencji kardynała Jellinka: – Jak mamy to rozumieć, bracie w Chrystusie?

Odpowiedź zapytanego: – Całkiem po prostu. Sztuka, która zasługuje na to określenie, nie jest przekupna, lub też mówiąc inaczej: byłoby nierozsądnym myśleć, że sztukę da się przekupić. Powyższa *causa* jest tego najlepszym dowodem. Jego Świątobliwość sądził co prawda, że Michelangelo wypełnia jego zlecenie, i pozornie też na to wyglądało. W

rzeczywistości jednak artysta zemścił się na upokarzającym go zleceniodawcy i dokonał tej zemsty w taki sposób, iż Jego Świątobliwość nawet tego nie zauważył. Bądźmy szczerzy, konfiguracja owego wielkiego teatru świata, jaki Michelangelo namalował na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, pozwala na dowolny sposób interpretacji, pogląd zaś, iż artysta przedstawił symbolicznie trzy stany bytu stworzonego przez Boga człowieka, a więc formę cielesną, duchową i intelektualną, nie zadowala mnie. W każdym razie, nie w tej konfiguracji symboli. Dzień powszedni, życie człowieka wypełnione są symbolami, jakie ostrzegają, przypominają, nakazują i zakazują, które się wzajemnie krzyżują i zwalczają. Nie ma symbolu absolutnego, symbolu, jaki w każdej epoce, we wszystkich kulturach miałby to samo znaczenie. Nawet krzyż, pozornie prachrześcijański symbol wielkanocnego zmartwychwstania i wiary, miał w innych kulturach zupełnie odmienne znaczenie. Z drugiej strony, istnieje dla wszystkich rzeczy i dla każdej z nich kilka, a czasami nawet wiele symboli. Chcę przez to powiedzieć, że aby w sposób tajemniczy wyrazić to, co miał zamiar przekazać Michelangelo, artysta nie potrzebował w żadnym wypadku posługiwać się pogańskimi wrózkami. I choćby Sybille miały w sobie coś boskiego, nie jest to część owego wszechmocnego Boga, którego wielbi Święty Kościół, a raczej któregoś z tych mieszkających na zboczach Olimpu.

Jego Eminencja kardynał Jellinek: – Padre, mówisz jak heretyk.

Padre Augustyn: – Powtarzam jedynie to, co musi być widoczne dla każdego wykształconego chrześcijanina, o ile posiada taką zdolność. Wspominam o tym tylko dlatego, aby to consilium podeszło do najnowszego odkrycia z taką ostrożnością, z jaką należy je traktować w omówionej przeze mnie sytuacji, byśmy któregoś dnia nie stanęli wobec tego problemu równie bezradni co Jego Świątobliwość Juliusz.

– A jakie znaczenie przypisuje ojciec instrypcji, którą zaskoczył nas Fedrizzi? (pytanie Jego Eminencji kardynała Sekretarza Stanu, Giuliano Cascone).

– Do dnia dzisiejszego – zaczął z wahaniem padre Augustyn Feldmann – nie potrafię zdecydowanie zinterpretować znaczenia tych ośmiu liter. Choć są ludzie bardziej ode mnie powołani do tego, jednak chciałbym przedstawić swoje osobiste stanowisko wobec powyższego problemu, sądzę bowiem, że w tym celu zebraliśmy się tutaj.

Szmer aprobaty pośród wszystkich obecnych.

– Przypuszczam, że mamy tu do czynienia z ekscentryczną formą synkretyzmu, to znaczy pewnego rodzaju połączeniem myśli religijnych różnego pochodzenia w całość, która pozwala zapomnieć o wewnętrznych podobieństwach i sprzecznościach.

Stanowisko Jego Eminencji Mario Lopeza, podsekretarza Kongregacji Wiary i tytularnego arcybiskupa Cezarei: – Ta idea nie jest nowa i była już bardzo wyczerpująco dyskutowana. Synkretystami nazywano w szesnastym wieku tych filozofów, którzy chcieli pośredniczyć między Platonem a Arystotelesem, co, jak wiadomo, po prostu nie jest możliwe. Ale twoja wskazówka, bracie w Chrystusie, dotyczy zapewne raczej tematyki malarstwa

aniżeli znaczenia napisu!

Ojciec Augustyn: – Tak jest w rzeczywistości, i wypowiedziałem tę uwagę jedynie dlatego, że należy przypuszczać, iż w tych znakach zawarty jest jakiś perfidny rodzaj synkretyzmu.

– Jeżeli więc dobrze cię zrozumiałem, bracie w Chrystusie, powinniśmy być przygotowani na to, że do odszyfrowania tej tajemnicy musieliby być dopuszczeni nie tylko teologowie naszej wiary, ale również...

Pytanie padre Pio Grolewskiego z zakonu Braci Kazalników i kuratora Muzeów Watykańskich zostało gwałtownie przerwane przez kardynała Sekretarza Stanu, Cascone: – Nie muszę chyba przypominać zebranemu tu consilium, że prace nasze prowadzone są *specialissimo modo*. Naszym zadaniem jest zapobieżenie temu, aby Kościoła nie wystawiono na pośmiewisko. Gdybyśmy więc poprzez to odkrycie mieli być skonfrontowani z jakimś problemem teologicznym, naszym zadaniem byłoby rozwiązanie tej kwestii – *specialissimo modo*!

Milczenie pośród zebranych.

Eminencja kardynał Sekretarz Stanu: – Chciałbym wyrazić się jasno. Żadne słowo, jakie padnie na tym consilium, nie może dotrzeć do opinii publicznej, dopóki consilium tej sprawy nie wyjaśni. I pamiętajmy przy okazji, że jako najwyższa zasada powinno nam przyświecać hasło – doktryna wiary stoi ponad sztuką.

Fra Desiderio Scaglia – kanonik z San Carlo, poddał pod rozwagę zebranych fakt, że od setek lat freski Michelangelo były dla milionów chrześcijan źródłem wiary oraz, że sceny ze Starego Testamentu przedstawiające Stworzenie Świata stały się dla wielu generacji źródłem nawrócenia. Powyższa *causa* jest więc nie tyle problemem natury teologicznej, ile kwestią, w jakim stopniu należy o tej sprawie poinformować opinię publiczną.

Adam Melcer z Towarzystwa Jezusowego wyjaśnił, iż podczas badania stanu rzeczy w Kaplicy Sykstyńskiej nie dostrzegł omawianych znaków, w najlepszym wypadku jedynie przeczuwał ich istnienie, i wzdraga się przed prowadzeniem tak poważnej dyskusji na temat przeczuć.

Professore Pavanetto, dyrektor Generalnej Dyrekcji Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich, bez słowa przesunął na drugą stronę stołu stos fotografii, które Adam Melcer zaczął oglądać przez trzymane w ręku, złożone okulary.

– To o niczym nie świadczy – powtarzał przy każdym zdjęciu, po dokładnym jego obejrzeniu – to o niczym nie świadczy. Wiara chrześcijańska żąda zachowania istoty tego, co nie jest poparte postrzeganiem i rozumem koniecznym, ciągłym świadectwem istoty zachowanego. Dlaczego więc nie może ona wymagać zachowania istoty rzeczy nie popartej postrzeganiem i rozumem?

Słowa wzburzonego Jego Eminencji Mario Lopeza, podsekretarza Kongregacji Wiary i tytularnego arcybiskupa Cezarei: – Jezuickie gadanie! Wy, ludzie Jezusa, zawsze potrafiliście

tak dopasować się do każdej sytuacji, że waszym wymaganiom można było zadośćuczynić z najmniejszym nakładem energii. *Et omnia ad maiorem Dei gloriam**!

Jego Eminencja kardynał Jellinek uspokajająco: – Uspokójcie się, bracia w Chrystusie! Bądźcie wstrzemięźliwi w swych słowach przez pamięć na Pana Naszego, Chrystusa!

Adam Melcer do Jego Eminencji kardynała Lopeza: – Powinien Jego Eminencja przeprosić, ale nie mnie, moja godność bowiem jest zbyt niska, lecz *Societas Jesu**, które nie może pozwalać sobie na to, aby być obrażone przez azjatyckiego arcybiskupa tytularnego.

W tym momencie Melcer miał zamiar opuścić salę obrad.

– Bracia w Chrystusie! – Jego Eminencja kardynał Jellinek zaczął nawoływać do zachowania spokoju i opanowania, wzywając *ex officio** Adama Melcera, aby powrócił na swoje miejsce. Melcer zapytał, czy kardynał wypowiedział te słowa rzeczywiście *ex officio*, w przeciwnym bowiem przypadku nie mógłby zastosować się do tego wezwania z powodu uchybienia dużej wagi, jakiego dopuścił się Jego Eminencja arcybiskup tytularny. Dopiero po wyraźnym stwierdzeniu, iż żądanie to nastąpiło *ex officio*, Melcer zajął ponownie swoje miejsce. Oświadczył jednakże, ze wzburzeniem szukając swych okularów, iż będzie zmuszony zadzwonić do Penitencjarii Apostolskiej, aby uzyskać od kardynała Wielkiego Penitencjariusza satysfakcję.

Po uspokojeniu skłóconych stron kardynał Jellinek zadał pytanie, czy istnieje wewnętrzne powiązanie pomiędzy literami a sposobem przedstawienia proroków i Sybilli; czy litera „A” pozwala na jakąś interpretację w połączeniu z prorokami Joelem i Jeremiaszem, czy litera „B” mogłaby być pisemną wskazówką dotyczącą Sybilli Perskiej oraz czy taka sama sytuacja może mieć miejsce w przypadku LU w kontekście proroka Ezechiela i IFA w stosunku do Sybilli Erytrejskiej.

Głos zabrał padre Augustyn Feldmann, kierownik Archiwum Watykańskiego, zwracając na wstępie uwagę na hebrajski przekład imienia Joel, które oznacza mniej więcej tyle, co „Jahwe jest Bogiem”. Jego prorocтва powołują się na dzień Jahwe wraz z rozprzestrzenianiem się ducha proroczego na cały naród Izraela i sąd nad pogańskimi ludami. Są one nadzwyczaj krótkie, w przeciwieństwie do rozwlekłych przepowiedni Ezechiela, które zapełniały jego księgę skargami nad umarłymi, westchnieniami i biadaniami; pieśni miłosne o rubasznej, jędrnej treści zostały przeniesione na płaszczyznę religijno-obyczajową. Ale nawet przy pomocy podejrzanych nauk, jak mistyka liter i liczb, trudno będzie znaleźć sensowne powiązanie między owymi znakami i prorokami. To samo dotyczy również Sybilli.

Zastrzeżenie profesora Antonia Pavanetto: – Czy nie należałoby przywiązywać większego znaczenia do faktu, iż literami sygnowani są prorocy Ezechiel i Joel, podczas gdy przy postaciach Jeremiasza, Daniela i Izajasza nie występują żadne oznakowania? Pytanie to dotyczy naturalnie również i Sybilli, z których oznaczone są akurat jedynie Erytrejska i

* I wszystko na większą chwałę Boga

* Towarzystwo Jezusowe (zakon jezuitów)

* urzędowo

Perska, podczas gdy Sybille z Delf i Cumae pozostały z pustymi rękami.

Pytanie to uzyskało ogólną aprobatę, pozostało jednakże bez odpowiedzi, stając się kolejną zagadką w tej sprawie.

Jego Eminencja Frantisek Kolletzki, podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego, zwrócił uwagę na to, że magią liter i liczb posługuje się tajemna nauka żydowska, a także na fakt, iż w kabale litery posiadały określoną wartość liczbową, przy pomocy której można było dokonywać okultystycznych obliczeń.

– Bracie w Chrystusie! – przerwał gwałtownie mówcy fra Desiderio Scaglia, kanonik z San Carlo – w jakież to sposób kabalistyczne znaki mogły się dostać na sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej? Czyżbyś twierdził, bracie, że Michelangelo był kabalistą i kacerzem? Sądzę, że powinniśmy się raczej zająć bliższymi interpretacjami, jak na przykład średniowiecznymi formami błogosławieństwa, które, czego nie potrzebuję podkreślać, zostały przez Kościół uznane za zabobon. Formuły zaklęcia są w nich odtwarzane w pierwszych literach pojedynczych słów. Najbardziej znane jest błogosławieństwo Zachariasza, chroniące przed dżumą, którego początkowe litery pojawiają się na karteczkach amuletowych, szkaplerzach i krzyżach Zachariasza. Chrześcijańska wiara zabrania mi powtórzenia tego szeregu liter, jednakże nie ma on żadnego związku z zestawieniem, nad którym dyskutujemy.

Pytanie kardynała Giuseppe Belliniego, prefekta Kongregacji Sakramentów i Służby Bożej: – Czy rozpoczęto już badania tego napisu pod kątem literowego zapisu tonalnego? Najstarszy sposób pisemnego utrwalania muzyki używał liter alfabetu do zapisu dźwięków. Notacja nutowa weszła do użytku dopiero na przełomie tysiącleci. Na przykład Odo z opactwa w Cluny zapisywał swoje wzruszające chorały gregoriańskie jedynie przy pomocy liter.

– O ile dobrze księdza zrozumiałem, kardynale (pytanie Jego Eminencji kardynała Jellinka), to przypuszcza ksiądz, iż za literami Michelangela ukrywa się muzyka, która z kolei związana jest z konkretnym tekstem w pewnej określonej wymowie?

Jego Eminencja kardynał Giuseppe Bellini potwierdza przypuszczenie pytającego.

Okrzyki protestu ze strony braci zakonnych, Pier Luigi Zalby z zakonu Służebników Marii, Ugo Pironiego z zakonu Eremitów św. Augustyna i fra Felice Centino. Ten ostatni stwierdza wzburzony: – Bracia w Chrystusie, jesteśmy na najlepszej drodze, aby utracić kontakt z rzeczywistością! Dyskutujemy o pogańskich formach zaklęć i tekstach obcych nam pieśni, zamiast szukać poznania w pobożnych modlitwach. Niech Pan będzie z nami.

Odpowiedź oratorianina, Augustyna Feldmanna: – Chrześcijańska wiara, bracie w Chrystusie, codziennie traci kontakt z rzeczywistością. Tak, można by nawet rzec, iż wiara jest wrogiem rzeczywistości i faktów. Rzeczy pozornie niezrozumiałe stają się zrozumiałe tylko w przypadku posłużenia się wiarą. Żaden wierzący chrześcijanin nie będzie wątpił w Apokalipsę św. Jana, która pomijając sprawy współczesne, jest niosącym pociechę przesłaniem dla każdego chrześcijańskiego pokolenia. A mimo to Apokalipsa zawiera w sobie

wiele tajemnic, które do dnia dzisiejszego nie zostały wyjaśnione. Czyżbyś chciał, bracie w Chrystusie, z tego powodu wątpić w prawdę i przesłanie zawarte w Apokalipsie? Czyżbyś miał zamiar zaprzeczyć, iż Apokalipsa św. Jana co do istoty rzeczy zgodna jest z owym objawieniem naszego Pana Jezusa, które obwieścił nam pod koniec swej działalności, tylko dlatego że Jan był niezrozumiały i stał się przedmiotem pogańskiej interpretacji?

Kardynał Jellinek żąda dokładniejszego sprecyzowania tej wypowiedzi.

– W jaki sposób chciałbyś, bracie, wyjaśnić fragment Apokalipsy św. Jana 13, 11-18, jeżeli nie za pomocą magii liczb: „I widziałem zwierzę”, powiedział Jan, „wychodzące z ziemi, które miało dwa rogi podobne do baranich, i mówiło jak smok. I kto ma rozum, niech obliczy liczbę zwierzęcia; jest to bowiem liczba człowieka. A liczba jego jest sześćset sześćdziesiąt sześć”. Tak brzmi tekst Apokalipsy, wszyscy go znacie.

Kolejne pytanie (prawdopodobnie zadane przez fra Felice Centino): – Czy każdy tekst wymaga jakiejś interpretacji?

– Oczywiście, że nie. Chrześcijanin może wierzyć dla samej tylko wiary; ale w przykazaniu nauczania, jakie pozostawił nam nasz Pan Jezus, zawarte jest też polecenie wyjaśniania. Kim więc jest owo zwierzę, którego liczbą jest liczba człowieka, sześćset sześćdziesiąt sześć? W sto lat po śmierci Jana nie znaleziono odpowiedzi na to pytanie i chrześcijańska teologia nie zna jej do dzisiaj, chyba że...

– Chyba że... – słowa te zostały powtórzone przez wielu obecnych.

– Chyba że przywołamy na pomoc magię liczb grecko-orientalnej gnozy.

Okrzyki protestu ze wszystkich stron. Fra Felice Centino, kanonik z Santa Anastasia, żegnając się: – Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Jego Eminencja kardynał Jellinek: – Proszę kontynuować, bracie!

– To, o czym teraz powiem, każdy może sam przeczytać w Archiwum Watykańskim – mówił dalej Augustyn, rzucając niepewne spojrzenie. – Sekta późnoantycznego gnostyka, Basilidesa, uprawiała swój nieczny proceder w 130 lat po narodzeniu naszego Pana. Jej wyznawcy używali do rozpoznawania się magicznego słowa ABRAXAS. Było ono również magiczną formułą. Słowo to jest prawdopodobnie złożone z początkowych liter hebrajskich imion Boga i oprócz liczby siedem, to jest liczby swych liter, wykazuje i inne osobliwe cechy. Według magii liter uprawianej przez tę sektę, formuła ABRAXAS zawiera także wartość liczbową 365 i jako liczba dni w roku symbolizuje obejmującą wszystko całość i boskość: A – 1, B – 2, R – 100, A – 1, X – 60, A – 1, S – 200. Także i słowo „Meithras”, którego dyftong „ei” wywodzi się z języka greckiego, według tej samej magii liter daje liczbę 365; „Jesus”, znowu zawierające w sobie greckie dyftong, daje liczbę 888. Powracając jednak do Apokalipsy św. Jana i zagadkowej liczby 666, w wymienionym wyżej systemie liter i liczb sumę 666 dałby następujący szereg: AKAI·DOMET·SEB·GE. Wychodząc jednak z założenia, iż Jan zapisał swą Apokalipsę w języku greckim, słowo to należałoby zapisać w sposób następujący A·KAI·DOMET·SEB·GE. – poprawny skrót wszystkich tytułów cesarza

Domicjana: Autokrator Kaiser Dometianos Sebastos Germanikos. Jan napisał Apokalipsę na opanowanej przez Rzymian greckiej wyspie Patmos i należy się zastanowić, czy nie chciał przy pomocy tej liczbowej wskazówki napiętnować ówczesnego kultu cesarza, polegającego na oddawaniu czci boskiej ziemskiemu władcy.

Po przemówieniu ojca Augustyna nastąpiła długa pauza, którą przerwał dopiero kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone.

– I sądzisz, bracie w Chrystusie, że inskrypcja Michelangela mogłaby mieć podobny charakter? Wierzysz w to, że florentyńczyk użył literowej magii jednej z pogańskich sekt, aby skompromitować papieża i Kościół?

– A czy Jego Eminencja zna jakieś lepsze wyjaśnienie?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi. W końcu głos zabrał prefekt consilium, kardynał Jellinek. Stwierdził, iż dyskusja wykazała, że nie należy lekceważyć omawianego problemu i *ex officio* polecił padre Augustynowi Feldmanowi, kierownikowi Archiwum Watykańskiego i Pierwszemu Tajnemu Archiwariuszowi Jego Świątobliwości, przygotowanie dokumentacji na temat tajnych nauk i kultów za czasów pontyfikatów następujących papieży: Juliusza II, Leona X, Hadriana VI, Klemensa VII, Pawła III, Juliusza III, Marcelego II, Pawła IV i Piusa IV. Antonio Parentiemu, profesorowi historii sztuki na uniwersytecie we Florencji, nakazano zaś znalezienie w biografii Michelangela powodów i punktów stychnych z wrogimi Kościołowi filozofiami. Jego Eminencji Frantiskowi Kolletzkemu, podsekretarzowi Kongregacji Wychowania Katolickiego i rektorowi Collegium Teutonicum, polecono *specialissimo modo* zasięgnięcia rady semiotyka w sprawie dotyczącej interpretacji napisu. Jako termin następnego zebrania consilium wyznaczono poniedziałek po święcie Matki Boskiej Gromnicznej.

Za zgodność powyższego protokołu:

Monsignore Antonio Barberino, notariusz

Monsignore Eugenio Berlingero, protokolant

Monsignore Francesco Sales, pisarz.

5. *Pomiędzy drugą a trzecią niedzielą po Trzech Królach*

Oratorianin, ojciec Augustyn, nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek był wzywany przez kardynała Sekretarza Stanu, Giuliano Cascone, mimo iż pracował w Watykanie od prawie trzydziestu lat. Bez wątpienia archiwista stał w hierarchii rzymskiej Kurii całkiem na dole. Augustyn był przyzwyczajony do przyjmowania poleceń na piśmie i skrupulatnie je wypełniał. Kuria była swoistego rodzaju mechanizmem zegarowym, w którym on stanowił najmniejszy trybik. Tym większe więc ogarnęło go zdziwienie, gdy monsignore Raneri, Pierwszy Sekretarz kardynała Sekretarza Stanu, poprosił go do swego biura. Augustyn pośpiesznie podążył na wezwanie. Przeszedłszy przez Cortile della Pigna, podał swoje nazwisko przy Cortile di San Damaso oraz cel swojej wizyty; po telefonicznym sprawdzeniu został wpuszczony do wnętrza gmachu.

Kardynał Sekretarz Stanu zalicza się do grupy niewielu kardynałów, którzy nie tylko pracują w Watykanie, ale także tam mieszkają. Na pierwszym piętrze uszu gościa doszło dźwięczne trajkotanie fagotu. Dla chwały Boga, swej własnej, trzeba przyznać, oryginalnej przyjemności oraz przyjemności Kurii monsignore Raneri, Pierwszy Sekretarz kardynała Sekretarza Stanu, Giuliano Cascone, grał w każdej wolnej minucie na tym instrumencie z podwójnym stroikiem.

Idąc przez cały rząd połączonych ze sobą przedpokoi, z którym jeden pozostał mu szczególnie w pamięci, ozdobiony był bowiem czerwonym baldachimem, z wiszącym pod nim herbem kardynała, inny zaś dlatego, że jedynym jego umeblowaniem był stojący pod ścianą stół z krucyfiksem i leżącym przed nim trójkątnym biretem kardynała, Augustyn dotarł na drugim piętrze do *Anticamera nobile*. Umeblowanie tej sali było także skromne, w każdym razie stojący pośrodku stół z tuzinem krzesel o wysokich oparciach gubił się niemal w wielkiej przestrzeni pomieszczenia. Sekretarz, który towarzyszył Augustynowi aż do tego miejsca, wskazał mu krzesło i bez słowa zniknął za jednymi z drzwi znajdujących się na frontowej ścianie. Wysokie ściany sali obite były czerwonym adamaszkiem; wielkie okna zasłonięte brokatem przetykanym złotem wpuszczały do wnętrza jedynie niewiele przytłumionego światła.

Po chwili otwarto się z hałasem jedne z dwojga drzwi i do sali wszedł z wyciągniętymi

ramionami, niby Zbawiciel, kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, z postępującymi za nim Pierwszym Sekretarzem i Sekretarzem Pomocniczym, którego Augustyn nie znał.

– *Laudetur Jesus Christus!* – powiedział głośno kardynał Sekretarz Stanu, nakazując gościowi krótkim ruchem ręki, aby zajął miejsce, sam zaś usiadł po przeciwnej stronie stołu. Zamierzającym zająć miejsce za jego plecami Cascone rzucił krótkie spojrzenie; obaj natychmiast oddalili się bez słowa pożegnania. Przez chwilę kardynał i zakonnik siedzieli pogrążeni w milczeniu.

– Padre – zaczął ceremonialnie kardynał Sekretarz Stanu – wezwałem ciebie, ponieważ doceniam twoją roztropność i mądrość w obchodzeniu się z dokumentami. Oboje, padre, jesteście członkami tego samego, bardzo ważnego organizmu, jakim jest Kuria. Jeżeli mnie przydano siłę jako jej ramieniu, to ty, padre, jesteś jej pamięcią, w której nic nie ginie, zarówno to, co złe, jak i dobre.

Siedzący z opuszczonymi oczyma Augustyn nie był pewien, co odpowiedzieć kardynałowi Sekretarzowi Stanu.

– Czynień to dla chwały Boga i Kościoła, Eminencjo – odezwał się w końcu, by po krótkiej pauzie dodać: – Służyłem pięciu papieżom, Eminencjo, dla czterech z nich przygotowywałem i zapieczętowywałem protokół zgonu, sporządziłem i umieściłem w archiwum pół tuzina encyklik, opisałem tysiące *buste*. Myślę, iż zgodnie z prawdą mógłbym powiedzieć, że pozostawiłem po sobie trwałe ślad.

– Sądzę – powiedział kardynał Sekretarz Stanu – że to wystarczy jak na jedno ludzkie życie...

– Nie! – przerwał mu archiwariusz.

– Jak to?

– Wiem, co Wasza Eminencja chce powiedzieć. Wasza Eminencja chce powiedzieć, że napracowałem się już wystarczająco i powinienem teraz wrócić do klasztoru mego zakonu, by dokończyć życia na modlitwach dla chwały Boga. Eminencjo, tego nie mogę zrobić! Potrzebuję moich *buste* i *fondi*, jak powietrza potrzebuję archiwalnego kurzu. Czy ktokolwiek może mi zarzucić niedbalstwo lub nieporządek? Czy kiedykolwiek zaginął dokument oddany mojej pieczy? – słowa archiwariusza były coraz głośniejsze, a głos jego drżał.

– Ależ nie, ojcze Augustynie. Właśnie dlatego, że wypełniałeś swoje zadanie tak bezbłędnie, wydaje mi się pożądanym, byś przestał pracować, zanim pojawią się pierwsze skargi, zanim wkradną się pierwsze błędy, zanim ktokolwiek mógłby powiedzieć, że padre Augustyn jest już po prostu za stary, a jego pamięć już nie tak dobra.

– Ale moja pamięć jest całkowicie w porządku, Wasza Eminencjo, jest lepsza niż za młodych lat. Mam w głowie sygnatury wszystkich działów, a to archiwum ma ich więcej aniżeli jakiegokolwiek inne archiwum chrześcijańskiego świata. Proszę mi podać nazwę któregoś z ważnych rękopisów z historii Kościoła, kodeksu czy bulli, a ja powiem Eminencji z pamięci jego sygnaturę, każdy z moich *scrittori* zaś odnajdzie i przyniesie ten dokument w

ciągu kilku minut!

– Padre! – zawołał kardynał Sekretarz Stanu unosząc dłonie. – Wierzę ci, padre, wierzę nawet, iż w tej chwili nie ma nikogo, kto byłby bardziej upoważniony do pełnienia tego urzędu. Ale uważam za brak odpowiedzialności pozostawienie ciebie do końca twoich dni w archiwum i zabieranie szansy komuś młodemu. Rozejrzałem się już i natknąłem na zdolnego benedyktyna, padre Pio Segoniego, z klasztoru na Monte Cassino; z wykształcenia jest filologiem klasycznym. Poza tym reguła św. Benedykta z Nursii jest najlepszą rekomendacją dla archiwisty.

– Ach, więc to tak – Augustyn speszony spojrział w bok. W tym momencie miał wrażenie, że wali się budowla całego jego życia. – Ach, więc to tak – powtórzył prawie bezdźwięcznie.

Kardynał Sekretarz Stanu uniósł się, nie odrywając dłoni od stołu.

– Pokora – powiedział kończąc audiencję – jest najlepszą drogą do osiągnięcia poznania istoty niebios. *In nomine Domini*.

W tym momencie, jakby za sprawą duchów, otworzyły się drzwi, przez które Cascone wszedł do sali, i pojawili się w nich Pierwszy Sekretarz i Sekretarz Pomocniczy, aby odprowadzić kardynała Sekretarza Stanu.

Pogrążony w myślach Augustyn wracał do domu tą samą drogą, którą przyszedł do pałacu kardynała. Nieruchomo patrzył przed siebie, jego myśli zaś krążyły wokół słowa „pokora”; zadawał sobie również pytanie, czy Filippo Neri, założyciel jego zakonu, określiłby ten rodzaj posłuszeństwa jako pokorę, czy nie nazwałby raczej tej postawy samoponiżeniem się lub też niewolniczym sposobem myślenia, czy nie zbuntowałby się przeciwko takiej sobiepańskości, takiemu cynizmowi. Przez całe życie Augustyn nigdy nie poczuł w sobie chęci zostania pasterzem, był członkiem stada, odbiorcą rozkazów; przyzwyczajony do pracy traktował słowo „władza” jako sobie obce. Ale jeszcze nigdy w swoim życiu oratorianin nie był tak bezsilny i w jego sercu począł narastać gniew, uczucie, jakie do tej pory było mu tak obce jak wiara w Mahometa.

6. W rocznicę nawrócenia św. Pawia

Raz w tygodniu kardynał Jellinek miał w zwyczaju grywać w szachy. Słowo „grywać” nie jest być może najwłaściwszym określeniem na owo pełne nabożeństwa i rytualnego charakteru wydarzenie, ceremonie otwarcia i *pièce touchée**, gdy wszystkie figury są dotykane przed następnym posunięciem. Tak, kardynał na pewno zaliczał się do owego gatunku ludzi, którzy w szachy nie grają, ale ich potrzebują, którzy także wtedy, gdy warunki na to nie pozwalają, oddają się swej pasji w skrytości. Nieraz podczas pełnego nabożeństwa czytania brewiarza wpadał na pomysł nowego gambitu, czyli otwarcia partii, przy którym poświęca się jedną lub więcej figur, aby przygotować drogę dla własnego ataku. Ponieważ między szachistami jest w zwyczaju opisywać tego rodzaju odkrycia w sposób nader kwiecisty, Jellinek nazywał je za każdym razem tytułem fragmentu Pisma, który go natchnął tą ideą. Naturalnie, wszyscy znali gambit „Rzymianie – 13”, jaki wymyślił w pierwszą niedzielę adwentu, czy też „Efezjanie – 3”, na który wpadł w dniu święta Serca Jezusowego. Określenia te znano oczywiście tylko w Watykanie; jednakże tam, w najwyższych kręgach, były one tolerowane z uśmiechem, dla obcych zaś prawdziwa ich geneza pozostawała nieznaną.

Pierwszym przeciwnikiem kardynała był Ottani, który zazwyczaj otwierał partię bardzo niewinnie: e2 – e4 (na co Jellinek odpowiadał w sposób równie powszedni: e7 – e5), ale w trakcie każdej gry rozkręcał się i nierzadko dawał Jellinkowi mata. Po śmierci kardynała Sekretarza Stanu Jellinek zaczął grać z biskupem Philem Canisiusem, dyrektorem Istituto per le Opere Religiose, którego działalność dla laików miała mniej wspólnego z religią aniżeli z pieniędzmi. Jednakże przymierze to trwało krótko, ponieważ Jellinek pogardzał pozbawioną finezji, pełną bezwzględności wymianą figur, która jak się wydawało, sprawiała biskupowi największą przyjemność, podczas gdy on sam, Jellinek, preferował grę pozycyjną i rozwijanie zaskakujących strategii. Od tego czasu grał z monsignorem Williamem Sticklerem, kamerdynerem Jego Świątobliwości, przeważnie w piątki, przy butelce Frascati. Stickler był znakomitym partnerem szachowym, nie tylko dlatego, iż grał rozważnie i z godną zazdrości elegancją, potrafił bowiem również podać nazwę, a także znał historię powstania prawie

* (franc.) – zasada przy grze w szachy, że dotkniętą figurą należy wykonać ruch

każdego wariantu. Wtedy świat kurczył się dla nich do małego kręgu światła, jaki rzucała na sześćdziesiąt cztery pola szachownicy staromodna lampa stojąca w salonie Jellinka, i tylko regularne tykanie barokowego zegara przypominało o terażniejszości.

W Sala di merce, swojego rodzaju skarbcu Archiwum Watykańskiego, w którym przechowywane były kosztowne podarunki, jakie otrzymywali papieże, znajdowała się wspaniała złota szachownica pokryta fioletową emalią; należące do niej figury wielkości dłoni wykonane były ze złota i srebra. Był to podarunek przekazany Jego Świątobliwości przez księcia Orsini. Te szachy stały gotowe do gry pomiędzy zegarami, pucharami i wspaniałymi księgami, ale nigdy nie były używane. Jednakże od czasu, kiedy Stickler opowiedział o tych wspaniałych szachach, co miało miejsce bądź co bądź już przed dwoma laty, rozpoczęła się pomiędzy nim a Jellinkiem pozornie nie kończąca się partia, o której każdy z nich zachowywał milczenie, nie mówiąc na jej temat ani jednego słowa, mimo iż obaj mogli po reakcji drugiego, albo tak im się przynajmniej wydawało, zorientować się, w jaki sposób przyjęte zostało ostatnie posunięcie przeciwnika. Czasami, zanim stan partii na szachownicy w skarbcu uległ zmianie, mijał tydzień a niekiedy i dwa; przeciwnik, na którego przyszła kolej następnego posunięcia, wycofywał się z archiwum, co także należało do milczącej umowy, jeżeli nie nastąpiło jeszcze posunięcie partnera. Poszczególne ruchy wskazywały, że istniała między nimi spora odległość w czasie, pozwalająca na długie zastanowienie się. Były one na najwyższym poziomie, a nawet stawały się tym bardziej wyrafinowane, im więcej czasu upływało pomiędzy nimi. Pewnego razu, kiedy Jellinek pozostawił sobie całe trzy tygodnie do namysłu, aby przetransportować swoją wieżę z a4 na e4, co początkowo wyglądało na godny pożałowania, prosty ruch, który potem okazał się świetnym posunięciem, Stickler przy następnym spotkaniu pozwolił sobie na raczej przypadkową uwagę, że właściwie szachy nie są grą dla mężczyzn w ich wieku; w końcu najdłuższe mistrzostwa świata w tej grze trwały dwadzieścia siedem lat. Więcej nie powiedział na ten temat ani słowa. Tego wieczoru, w salonie kardynała w Palazzo Chigi, Jellinek napełnił kieliszki winem, jak to zwykle czynił każdego piątku, kiedy się spotykali, i przesunął białego piona z e2 na e4.

– Piony są duszą gry w szachy – powiedział Stickler przestawiając swojego piona z e7 na e5.

Jellinek przytaknął, przesuwając prawego laufra na c4.

– To nie ja to wymyśliłem – skomentował wypowiedziane przed chwilą przez siebie słowa monsignore. – Stwierdził to przed dwustu laty Philidor, szachowy geniusz i kompozytor na dodatek; był Francuzem, lecz umarł, w Londynie.

Kardynał usilnie starał się nie słuchać wyjaśnień Sticklera; w głębi duszy uważał je w tej początkowej fazie gry za prostą próbę odwrócenia jego uwagi; nie było to niczym innym jak wyrazem chęci wyprowadzenia go z równowagi, co oznaczałoby już połowę sukcesu. Oczywiście znał Philidora; który z szachistów, zasługujących na to miano, mógł go nie znać!

Tymczasem Stickler postawił swojego lewego gońca, którego z pewnego rodzaju uporem określał jako biskupa, na c5, na co kardynał niezwłocznie schwycił białą damę i przesunął ją na h5, zagrażając tym samym czarnemu królowi.

- Szach! – powiedział Jellinek, podczas gdy monsignore kilkakrotnie powtórzył:
- Damy kosztują, damy kosztują.

Teraz musiało się okazać, jaką naprawdę wartość miało to pozornie agresywne posunięcie Jellinka. Wiedział doskonale, że ten ruch przy odpowiedniej reakcji przeciwnika mógł być nawet błędem i że Stickler może mu sprawić przykrą niespodziankę, zmuszając do obrony. Jednakże Stickler postanowił wykonać sprytny, rozważny ruch i odpowiadając z pewnością Philidora, przesunął swoją damę na e7.

Nie, pomyślał Jellinek dotykając prawego skoczka, to chyba nie jest jego sposób gry. Monsignore zauważył niepewność partnera i uśmiechnął się. Pokażcie mi silniejszą broń od uśmiechu przeciwnika! W zasadzie Stickler nie chciał zdenerwować kardynała.

- Ta historia z freskami w Kaplicy Sykstyńskiej jest dziwna – powiedział jakby na usprawiedliwienie. – Nawet bardzo dziwna!

Jednakże tymi słowami Stickler zupełnie niechcący całkowicie wyprowadził kardynała z równowagi.

Jellinek milcząc nieruchomo wpatrywał się w swego skoczka.

- Chcę być szczery, księżo kardynale – powiedział Stickler, aby przerwać to przykre milczenie. – Początkowo wcale nie zwracałem uwagi na tę sprawę. Po prostu wzdragałem się uznać za ważny dla Kościoła problem ośmiu niezrozumiałych liter umieszczonych na jakimś tam fresku. Jednakże później...

- Tak? – zapytał Jellinek w pełnym napięcia oczekiwaniu. – Co później? – powtórzył stawiając w końcu swego skoczka na f3.

– Później usłyszałem wyjaśnienia padre Augustyna o Apokalipsie św. Jana i jego interpretację liczby 666, za którą ukrywają się imiona i tytuły cesarza Domicjana. Muszę przyznać, że nie mogłem spać tamtej nocy i od tej pory te litery mnie prześladują.

– Kolej na czarne! – zauważył kardynał, siląc się na obojętny ton. W gruncie rzeczy bardzo się jednak obawiał, obawiał się następnego posunięcia przeciwnika. Zdążył już bowiem zauważyć, że przeszedł on do natarcia. Obawiał się również pytań prałata, wobec których był dzisiaj równie bezradny, jak i wobec jego posunięć. Tak, zrobił błąd, musiał się teraz bezsilnie przypatrywać, jak Stickler stawia swoją damę na c6 i przechodzi do kontrataku.

– Czasami – zaczął Jellinek z wahaniem – czasami ogarniają mnie wątpliwości, czy Sokrates miał rację mówiąc, iż istnieje tylko jedno dobro przeznaczone dla człowieka, a jest nim wiedza, i jedno jedyne zło, jakim jest niewiedza. Nie ma wątpliwości, że wiedza uczyniła już wiele zła na tym świecie.

- Sądzi Wasza Eminencja, że byłoby lepiej, gdybyśmy nie poznali znaczenia inskrypcji

na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej?

Jellinek milczał dotykając swego skoczka drżącymi palcami, ale natychmiast przeprosił partnera w sposób zwyczajowo między nimi przyjęty: – *J'adoube*, koryguję ruch.

– Co skłoniło – zaczął znowu po chwili – człowieka tej klasy co Michelangelo do ukrycia w swym dziele jakiejś tajemnicy? Chyba przecież nie była to pełna pobożności wiara! Wszystkie tajemnice są dziełem szatana. Przypuszczam, że tam na górze, pomiędzy prorokami i Sybillami, ukryty jest diabeł. Nie pokazuje on nigdy swego prawdziwego oblicza, ukrywa się za najprzeróżniejszymi maskami, litery zaś są najczęściej spotykaną i najbardziej niebezpieczną maską diabła, są bowiem martwe, a ożywia je dopiero duch. Jedna jedyna litera odpowiada jednemu słowu, słowo jest odbiciem światopoglądu, a więc jedna jedyna litera jest w stanie poruszyć z posad cały światopogląd.

Stickler uniósł głowę. Słowa kardynała zaniepokoiły go do głębi, gra zaś, której przebieg był dla niego wyraźnie korzystny, wydała się nagle czymś mniej ważnym.

– Eminencjo, mówi ksiądz tak – powiedział ostrożnie – jakby wiedział więcej, niż chce przyznać.

– Nie wiem nic! – odparł gwałtownie Jellinek. – Zupełnie nic, poza tym, że Michelangelo był człowiekiem znanym w świecie i utrzymywali z nim stosunki towarzyskie najbardziej znaczący ludzie jego czasów. Można więc założyć, że również jego wiedza była o wiele głębsza niż w przypadku większości innych ludzi, a także że dotarł do nowych obszarów świadomości, jakie w myśl chrześcijańskiej nauki i wiary były dla niego zakazane. Tylko tak i nie inaczej da się wytłumaczyć heretyckie malarstwo florentyńczyka.

Stickler zamienił się nagle w słup soli i zrobił uderzająco blady. Kardynał zadał sobie pytanie, co też mogło wywołać tak nagłą zmianę zachowania partnera – jego rozważania o Michelangelo czy też przesunięcie damy na e5. A może wyraźnie zmieszane spojrzenie Sticklera odkryło jakąś nową, druzgocącą kombinację? Wzrok papieskiego kamerdynera omijał jednak Jellinka i kiedy kardynał obejrzał się za siebie, nie zobaczył nic, co mogłoby jego zdaniem tak wzburzyć przeciwnika poza sprawiającym niewinne wrażenie brązowym papierem pakunkowym, na którym leżały dwa czerwone pantofle i zwykłe okulary. Prałat jednak wyglądał jak człowiek, który został uderzony w żołądek lub też jak ktoś, komu świadomość strasznego wydarzenia zmroziła krew w żyłach.

Kardynał przyglądał się Sticklerowi ze zdziwieniem; nie potrafił pojąć, w jaki sposób widok zawartości zagadkowej paczuski mógł wywołać aż taki szok. Przez chwilę zastanawiał się nawet, w jaki sposób wyjaśnić Sticklerowi obecność tych dziwnych przedmiotów, jednakże prawda wydała mu się tak niewiarygodna, że zrezygnował z tego zamiaru.

Nagle prałat podniósł się sztywno z fotela, chwiejąc się na nogach przyciskał dłonie do brzucha, jak gdyby odczuwał nudości.

– Proszę mi wybaczyć! – powiedział nie patrząc na kardynała i mechanicznie, niczym

lalka, wyszedł z salonu.

Jellinek usłyszał jeszcze trzask zamykanych drzwi, a potem mógł już tylko bezradnie wsłuchiwać się w panującą w mieszkaniu ciszę.

7. W czwartą niedzielę po Trzech Królach

Kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, celebrował niedzielną mszę u św. Piotra. Chór śpiewał jego ulubioną mszę, skomponowaną przez Palestrina, *Missa Papae Marcelli*. Cascone celebrował ją *in fiocchi*, w czerwonych, ozdobionych suto frędzlami szatach pontyfikalnych, w asyście Phila Canisiusa jako diakona; monsignore Raneri pełnił rolę subdiakona, akolitami zaś było dwóch dominikanów. Jako ewangelię Cascone wybrał fragment z Mateusza, 8, 23-27, w którym Jezus rozkazuje wzburzonemu falam morskim:

„...I oto nawałnica wielka powstała na morzu tak, że fale łódź przykrywały. Jezus zaś spał. Oni podszedłszy do niego zbudzili go słowami: Panie, ratuj, ginimy! A On rzekł do nich: Czemu jesteście bojaźliwi, małowierni? Potem wstał, zgromił wiatry i morze i nastąpiła wielka cisza...”

W czasie całej mszy myśli Cascone krążyły wokół słów ewangelii. Okręt Kościoła już nieraz przetrzymywał takie burze. Czy litery, które w tak tajemniczy sposób ukazały się na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, oznaczały nadejście nowej burzy? Kardynał Sekretarz Stanu był odpowiedzialnym sternikiem i nienawidził sztormów.

Rzeczą trudną, prawie niemożliwą, było pomijanie milczeniem sykstyńskiej tajemnicy, kiedy więc po ostatnim chorale, jaki zabrzmiał w Capella Orsini, Cascone wraz ze swymi asystentami ruszył w stronę zakrystii bazyliki św. Piotra, Canisius powiedział: – Jesteś dzisiaj roztargniony, bracie w Chrystusie!

Cascone i Canisius nie byli tak naprawdę przyjaciółmi, ale należeli do tego samego gatunku mężczyzn. Mimo różnego pochodzenia – jeden był potomkiem starej rzymskiej arystokracji, drugi zaś synem amerykańskiego farmera – rozumieli się dobrze, dysponując ową pełną siły logiką i sposobem wystawiania, jaki jest typowy dla dawnych wychowanków jezuickich kolegów. Ich zażyła znajomość była dla innych członków Kurii solą w oku, albowiem, jakkolwiek było, Cascone, Sekretarz Stanu, i Canisius, bankier, reprezentowali świecką władzę Kościoła.

Niedzielnymi przedpołudniami Capella Orsini przypomina w swoim świątecznym nastroju niebiański dworzec. Przy przebieraniu pomagali obu dostojnikom dwaj kanonicy. Cascone miał teraz na sobie komżę i mozetę, na którą narzucił czerwony jedwabny płaszcz;

na głowę włożył czerwony kapelusz z galonem i złotą frędzlą, na nogi zaś czerwone buty ze złotymi sprzączkami Canisius preferował natomiast skromną czerń. Po przebraniu się kardynał Sekretarz Stanu wziął Canisiusa na stronę. Ich twarze zabarwiało ziemiście niebieskie i zielone światło powstałe na skutek padania promieni słońca przez postaci świętych wyobrażone na witrażach oprawnych w ołowiane ramy. Rozmawiali ze sobą półgłosem, stojąc w jednej z okiennych nisz.

– Zwariowaliście! – syknął Canisius. – Wszyscy powariowaliście z powodu ośmiu śmiesznych liter. Wygląda to, jak gdyby ktoś wsadził kij w mrowisko. Nigdy nie uwierzyłbym, że w tak prosty sposób można wyprowadzić Kurię z równowagi. I to z powodu ośmiu bezsensownych liter!

– Cóż mam uczynić? – Cascone uniósł ręce. – Bóg widzi, że nie jestem winien takiemu rozwojowi sytuacji. Mnie również bardziej by odpowiadało, aby konserwatorzy zmyli te litery w dniu ich odkrycia, ale teraz one istnieją i nie można ich przemilczeć, Phil!

– To znajdźcie wreszcie – wybuchnął Canisius – jakieś wytłumaczenie tego przekłętego znaleziska!

Kardynał Sekretarz Stanu obrócił Canisiusa tak, aby nikt nie mógł zrozumieć, co mówi w podnieceniu.

– Phil – powiedział – robię wszystko, co leży w mojej mocy, aby nasze dociekania doprowadziły do jakiegoś wyniku. Poleciałem *ex officio* Jellinkowi, by rozwiązał ten problem. Zwołał consilium składające się ze znakomitych fachowców, którzy dyskutują nad tym przypadkiem pod wszystkimi możliwymi aspektami.

– Dyskutują! Kiedy słyszę słowo „dyskutują”, robi mi się niedobrze! W taki sposób można nawet wydyskutować jakiś problem. Można stworzyć tajemnicę i zamienić ją w nader dyskutowany problem! Nie wierzę w żadną tajemnicę Kaplicy Sykstyńskiej, która mogłaby być niebezpieczna dla Świętego Kościoła.

– Święte słowa, bracie! Ale świat pragnie tajemnic. Ludziom nie wystarcza już pożywienie i ubranie, samochód i cztery tygodnie urlopu, ludzie pragną tajemnic. W religii nie poszukuje się już doskonałości, ale tajemniczości i mistyki. Te osiem zagadkowych liter namalowanych na mającym setki lat fresku jest właśnie tym, co ludzi podnieca. Najgrosze, co moglibyśmy zrobić w tej sytuacji, to rozgłosić o tym odkryciu, zanim nie znajdziemy dla niego wyjaśnienia.

– Jezus Maria! No więc znajdźcie jakieś, ale zróbcie to, zanim nie będzie za późno. Wiesz o tym, że od początku byłem przeciwny prowadzeniu tego dochodzenia, i wiesz także dlaczego. Teraz jednak, kiedy szatan ciągnąc za sobą swój piekielny smród skrada się korytarzami i tu i ówdzie pozostawia swój wstrętny ślad, moja nieprzychylność wobec całej sprawy zamieniła się we wściekłość i nienawiść. Zastanawiam się, jak powinienem postąpić w takiej sytuacji.

– *Non in verbis, sed in rebus est**! – Cascone uśmiechnął się zakłopotany. – Nie wiem, czy odesłanie Augustyna było rzeczą rozsądną. To mądry człowiek i jeżeli ktoś jest w stanie rozwiązać tę tajemnicę, to jedynie on. Powinieneś być słyszeć, w jaki sposób argumentował na consilium. Augustyn posiada nieskończoną wiedzę i talent do kombinacji. Posłużył się Apokalipsą św. Jana, aby pokazać, że każda złożona z liter czy liczb zagadka jest do rozwiązania, o ile znajdziesz do niej klucz. Jednakże klucz ten leży przeważnie tam, gdzie ani byś się go spodziewał. Augustyn posłużył się gnostykiem Basilidesem i odkrył, że za opisywanym przez Jana zwierzęciem z przynależną mu liczbą 666 ukrywa się rzymski cesarz Domicjan. A więc kto, jeżeli nie Augustyn, miałby rozwiązać tajemnicę Kaplicy Sykstyjskiej?

– Powodem, dla którego prosiłem cię, abyś zwolnił oratorianina – mówiąc to Canisius stał się wyraźnie niespokojny – nie jest jego niezdolność; obawiam się raczej jego wycucia. Lękam się, że w czasie swoich poszukiwań wyniesie na powierzchnię to, co jest w głębi, i dotrze do rzeczy, które lepiej, aby pozostały ukryte. Wiesz, o czym mówię.

Na twarzy Cascone pojawił się wyraz bezradności. Mówiąc dalej, skinieniami głowy odpowiadał na milczące pozdrowienia przechodniów.

– Trudno jest schwytać borsuka, jeżeli zastrzeżesz psa.

– A ten benedyktyn z Monte Cassino?

Kardynał Sekretarz Stanu wywrócił oczyma.

– Oczywiście, padre Pio to doświadczony, wykształcony człowiek, ale nie był w Rzymie od ponad czterdziestu lat i brakuje mu orientacji, orientacji uczonego takiego, jakim jest Augustyn; jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

– Pio jest człowiekiem w moim guście, z jego strony nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Augustyn jest natomiast bezwstydnym, nie ma nic bardziej bezwstydnego bowiem jak świadomość swojej wiedzy. Ta świadomość jest bardziej bezwstydna niż wszystkie nierządnicze Babilonu. W jego wiedzy ucieleśniona jest cała władza tego świata, wiedza bowiem to władza. To szatan, mówię ci – i Canisius wyduł usta, jak gdyby chciał splunąć.

– Tssss! – Cascone przypomniał biskupowi o potrzebie zachowania spokoju. – Trudno będzie posunąć się do przodu bez pomocy Augustyna, z drugiej jednak strony wszyscy musimy się obawiać, dopóki ta tajemnica nie zostanie wyjaśniona, i jak długo owo niebezpieczeństwo unosi się nad naszymi głowami, strach będzie rozprzestrzeniał się w naszych szeregach.

– Strach? Przed czym? Przed kacerskimi myślami Michelangela? Bracie w Chrystusie, w trakcie swojej historii Święty Kościół przetrzymał już gwałtowniejsze sztormy. Przetrzyma również i to zagrożenie. Tego jestem pewny!

– Pomyśl o znakach zwiastujących niebezpieczeństwo – odezwał się po długiej chwili

* Nie w słowach, lecz w czynach wyraża się korzystne działanie

milczenia kardynał Sekretarz Stanu – o jakich pisze prorok Daniel. Kiedy babiloński król Baltazar obraził Boga po pijanemu, ukazały się palce ludzkiej dłoni i napisały na ścianie jego pałacu aramejskie słowa *meneh, tekel u pharsin**. Znasz zapewne przeróżne interpretacje tego tekstu. Jedni mówią, że oznacza to: Policzona będzie każda mina, każdy szekel i pół szekla. Daniel natomiast znalazł zupełnie inne wyjaśnienie: Bóg policzył dni twego panowania, zostałeś zważony i znaleziony lekkim, twoje królestwo będzie podzielone. Król Baltazar został zabity tej samej nocy, a jego królestwo podzielono.

– To było dwa i pół tysiąca lat temu!

– Czy to coś zmienia?

– Michelangelo był malarzem, a nie prorokiem – odparł po chwili zastanowienia Canisius.

– Był rzeźbiarzem! – wpadł mu w słowo Cascone. – Był rzeźbiarzem, a nie malarzem. Do malowania Michelangelo został zmuszony przez papieża Juliusza. Jego Świątobliwość bez wątplenia niewiele znał się na sztuce i sądził, że jeżeli ktoś potrafi wykuć z marmuru posąg taki jak Pieta wykonana na zlecenie kardynała di San Dionigi, będzie także w stanie upiększyć sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej.

– Panie Jezu! – wymamrotał Canisius.

– Nie powinniśmy zatem zakładać – kontynuował Cascone – iż za literami Michelangela ukrywają się na przykład pobożne psalmy. Gdyby Michelangelo ostro krytykował tylko jakiś problem wiary czy osądzał postępowanie Świętej Inkwizycji – wszyscy wiemy dobrze, że stworzenie tej instytucji nie było najszcześniejszym pomysłem – wtedy nie musielibyśmy obawiać się tej literowej zagadki. Ale człowiek, którego umysł poznał tak dokładnie naturę ludzką, jej rozwój i przemijanie, który przedstawił naszego Pana Jezusa jako Anioła Zemsty, taki człowiek, możesz mi wierzyć, bracie w Chrystusie, nie będzie postępował jak prestidigitator, przejdzie po ciałach, które stworzył, i wyjdzie z tej bitwy jako zwycięzca.

– Twoje filozoficzne poglądy, Giuliano, mogą być nawet przemyślane, ale twoja fantazja przekracza moje zdolności pojmowania. Potrafię jednak sobie wyobrazić, że przy poszukiwaniu rozwiązania tego problemu mogą wyjść na światło dzienne sprawy, jakie przyprawią nas o większy ból głowy aniżeli początkowy problem. Więcej nie mam nic do dodania na ten temat.

– Ta *causa* – kardynał Sekretarz Stanu zaczął wymachiwać podniesionym palcem wskazującym – będzie traktowana *specialissimo modo*, rozumiesz? *Specialissimo modo!*

– Stąd też biorą się moje wątpliwości; w ten sposób otwieramy drzwi do wszelkich spekulacji i przypuszczeń. Podaj mi przykład jednej choćby tajemnicy, która nią pozostała w tych murach. I im bardziej tajna jest jakaś tajemnica, tym więcej mówi się na jej temat. Chcę przez to powiedzieć, że najgorszym wyjściem z sytuacji byłoby teraz zamknięcie Kaplicy Sykstyńskiej.

* policzono, zważono, rozdzielono

– Nikt nie ma takiego zamiaru – odparł Cascone – tylko co będzie, jeżeli odkrycie stanie się publicznie znane, zanim znajdziemy jego wyjaśnienie?

– Przyjrzałem się tym freskom. Po prostu przytłumcie nieco oświetlenie i uzasadnijcie ten krok względami konserwatorskimi, że świeżo oczyszczone fragmenty muszą się najpierw przyzwyczaić do jaskrawego światła albo coś w tym rodzaju.

Kardynał Sekretarz Stanu skinął głową, a potem wraz z Canisiusem ruszył dalej długim korytarzem wiodącym do bazyliki św. Piotra.

– Nie wiem – powiedział idąc Cascone – czasami wydaje mi się, że to odkrycie jest częścią Bożego planu, przy którego pomocy chce On pognębić naszą pychę. Świat jest zły, bezwstydnym i pełen kłamstwa, dlatego więc tutaj miałyby być inaczej?

Weszli do bazyliki przez furtę za filarem św. Andrzeja. Znajdująca się w tym miejscu tablica wylicza wszystkich papieży w historii Kościoła. Przez okna wpadało do środka jaskrawe wiosenne światło. Z Capella della Colonna dochodziły dźwięki chorału, rozsiewając wokół atmosferę modlitwy i pobożności.

8. Również w czwartą niedzielę po Trzech Królach

W tym samym czasie kamerdyner papieża, monsignore William Stickler, wszedł do bocznej nawy Capella Clementina bazyliki św. Piotra, pod której ołtarzem leżał pochowany papież Grzegorz Wielki. Przeszedł pod pierwszym przęsłem bocznej nawy i zatrzymał się na chwilę przy grobie Leona XI, papieża z rodu Medyceuszy. Kilkakrotnie jego wzrok przesunął się wzdłuż inskrypcji znajdującej się na rozecie jednego z cokołów: SIC FLORUI*. Odnosiła się ona do owych dwudziestu czterech dni, w czasie których ten papież sprawował swoje rządy w roku 1605. Jednocześnie Stickler obserwował jeden z konfesjonałów, bogato rzeźbione barokowe monstrum, tak jak gdyby oczekiwał na jakiś sygnał. Z tej odległości trudno było dostrzec, czy konfesjonał zajęty jest przez jakiegoś spowiednika, ale po chwili nagle uchyliło się jego dwuskrzydłe, oszklone środkowe okienko i ukazała się w nim biała chustka. Stickler natychmiast ruszył szybkim krokiem w stronę konfesjonału i wszedł doń przez prawe drzwi.

Po drugiej stronie ukośnej kraty Stickler rozpoznał twarz prefekta Kongregacji Sakramentów i Służby Bożej, kardynała Giuseppe Belliniego. Prałat sprawiał wrażenie podenerwowanego.

– Wasza Eminencjo – wyszeptał jękając się – Jellinek znalazł się w posiadaniu pantofli i okularów Gianpaola. Widziałem je na własne oczy!

Teraz także i po drugiej stronie kraty dało się wyczuć narastający niepokój.

– Jellinek? – wyszeptał kardynał Bellini. – Jest ksiądz pewny?

– Czy jestem pewny?! – Stickler podniósł głos.

– Pssst – syknął uspokajająco kardynał.

– Wasza Eminencjo, doskonale znałem pantofle Jego Świątobliwości, podobnie jak i okulary; ale nawet gdybym nie potrafił ich odróżnić od innych, czy Wasza Eminencja myśli poważnie, że mogą w jakimś miejscu leżeć, ot tak sobie, przedmioty podobne do tych, jakie w nie wyjaśniony sposób zniknęły po nagłej śmierci Jego Świątobliwości? Nie, dam głowę, że są to naprawdę pantofle i okulary Gianpaola, i leżą one na papierze pakunkowym w salonie kardynała Jellinka w Palazzo Chigi.

* w ten sposób kwitłem (byłem potężny)

Bellini przeżegnał się i zaczął mruzczyć coś niezrozumiale, z czego Stickler zrozumiał tylko niektóre słowa.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – po chwili Bellini powiedział najpierw głośno, przechodząc po kilku słowach znowu w szept: – Czy wiesz, bracie w Chrystusie, co mówisz? Oznacza to, iż kardynał Joseph Jellinek, jeżeli nie jest zakulisowym inspiratorem, to przynajmniej wie o spisku, jaki zawiązał się przeciwko Jego Świątobliwości papieżowi Gianpaolo!

– Innego wyjaśnienia nie widzę – wyszeptał Stickler – i jestem w pełni świadom znaczenia tych słów, Wasza Eminencjo.

– Mój Boże, Stickler, w jaki sposób doszło do tego odkrycia? – Bellini z trudem tylko utrzymywał swój głos na poziomie szeptu.

– To łatwe do wyjaśnienia, Eminencjo. Raz w tygodniu kardynał Jellinek i ja gramy w szachy. Jellinek jest znakomitym szachistą, grywał jeszcze z Ottanim, a jego gambity zdobyły sławę. Minionego piątku spotkaliśmy się znowu i Jellinek sprawiał wrażenie bardzo roztargnionego. Siedzieliśmy jak zwykle w salonie i mimo że Jellinek dokonał lepszego otwarcia ode mnie, udało mi się go już po kilku ruchach zepchnąć do defensywy. W trakcie gry mój wzrok padł na komodę, na której właśnie na brązowym papierze pakunkowym leżały te pantofle i okulary.

– Chce ksiądz powiedzieć, że paczka leżała otwarta, a Jellinek w ogóle nie zadał sobie trudu, aby ją ukryć?

– Nie, Eminencjo, i to był właśnie drugi szok, jaki przeżyłem. Jeżeli samo odkrycie wprawilo mnie już w osłupienie, to oniemiałem całkowicie zastanawiając się, dlaczego Jellinek dopuszcza do tego, aby to *corpus delicti** leżało spokojnie na tak widocznym miejscu, moja wizyta bowiem nie była dla niego w żadnym wypadku zaskoczeniem.

– A więc musiał mieć w tym jakiś cel – szepnął Bellini.

– Tak, inaczej nie potrafię wytłumczyć sobie tego zdarzenia – odparł cicho Stickler.

Giuseppe Bellini przeżegnał się po raz wtóry, tym razem jednak uczynił to bardzo szeroko i wolno, dotykając wyciągniętym palcem wskazującym czoła, piersi i ramion i mrużąc przy tym cicho: – *Ave Maria, gratia plena...**

Kiedy kardynał zakończył modlitwę, William Stickler wyszeptał słowa przeprosin, że zaproponował spotkanie w tak niezwykłym miejscu, ale uważał je za najpewniejsze; jak wiadomo bowiem, w Watykanie wszystkie ściany mają uszy.

– Nie mam już najmniejszego pojęcia, komu tu można wierzyć, a komu nie.

– Dobrze ksiądz zrobił – powiedział Bellini. – Nadejdzie dzień, w którym Pan nasz pojawi się znowu na ziemi i odbędzie Sąd Ostateczny – i ze złożonymi dłońmi kardynał wyszeptał słowa z Apokalipsy św. Jana: – Błogosławieni, którzy piorą swe szaty w krwi

* dowód rzeczowy

* Zdrowaś Mario, łaski pełna...

Baranka. Będą mieli prawo do drzewa żywota i wejdą przez bramy do miasta. Na zewnątrz zaś pozostaną psy, czarownicy, nierządnicy, mordercy, bałwochwalcy i wszyscy ci, którzy kłamstwo kochają i czynią je.

Stickler wsłuchiwał się w te słowa jak w pobożną modlitwę.

– Nie chce mi się wierzyć, Eminencjo – wyszeptał, gdy Bellini zamilkł – mój umysł wzdraga się przed uznaniem faktu, iż Gianpaolo padł ofiarą spisku. Nie, nie, nie! – wykrzyknął cicho i trzykrotnie uderzył się dłonią w czoło. – Czyż wszyscy nie nazywali go papieżem uśmiechu; czyż cały świat nie mówił o jego dobroci, o jego zdrowym rozsądku, czyż nie był jednym z tych, którzy kochali ludzi? Twierdził nawet, iż sam jest tylko człowiekiem i nikiem więcej.

– I to właśnie było jego błędem. Po śmierci Pawła, po odejściu postarzałego szybko, zrezygnowanego, pozbawionego stanowczości Zastępcy, Kuria oczekiwała księcia Kościoła pełnego zdecydowania, a w każdym razie istniały w Kurii pewne kręgi, które chciały – nie chcąc wymieniać nazwisk – aby na tronie Piotrowym zasiadł prawdziwy książę Kościoła, taki, jakim był Pius XII, ktoś, kto piętnowałby marksistów słowem i czynem, odmówił jakiegokolwiek poparcia terrorystom w Ameryce Południowej i w ogóle nie okazywał aż takiego zainteresowania problemami Trzeciego Świata. Zamiast tego dostali papieża, który się uśmiechał, potrząsał dłonią komunistycznego burmistrza Rzymu i otwarcie mówił, że Kościół Święty niekoniecznie stanął na wysokości zadania, jeśli idzie o problemy współczesnego świata.

– Ale przecież Gianpaolo nie spadł z nieba! Kardynałowie sami go wybrali!

– Pssst! – Bellini zmusił Sticklera do ściszenia głosu. – Właśnie dlatego, że sami go wybrali, tym większe było ich rozczarowanie. I właśnie dlatego, że dali mu pierwszeństwo przed innymi *papabiles*^{*}, ich nienawiść stała się tak wielka.

– Wielki Boże! Ale przecież nie wolno im było z tego powodu zamordować Gianpaola!

Kardynał zamilkł i otarł czoło białą chustką.

– Zamordowano go! – zaczął znowu szeptać gorączkowo Stickler. – Od samego początku nie wierzyłem, że Gianpaolo zmarł śmiercią naturalną. I nigdy w to nie uwierzę. Przypominam sobie jeszcze dobrze atmosferę, jaka wtedy panowała; można było odnieść wrażenie, że w Kurii istnieje druga Kuria.

– W Kurii, bracie w Chrystusie, zawsze istniały różne stronnictwa, konserwatywne i postępowe, elitarne i powszechne.

– Tak, oczywiście, Eminencjo. Gianpaolo nie był pierwszym papieżem, któremu służyłem i z tego właśnie powodu mogę zaświadczyć, iż jeszcze nigdy nie było tylu konszachtów i spiskujących grup jak podczas tych trzydziestu czterech dni jego pontyfikatu. Wydawało się, że każdy jest wrogiem każdego, większość zaś utrzymywała tylko listowne kontakty z Jego Świątobliwością, co było dla Gianpaola wielkim utrudnieniem w pracy.

* kardynałowie, ewentualni kandydaci na papieża

– Ojciec Święty po prostu zapracował się...

– ... taka jest oficjalna wersja, Eminencjo, ale nie było żadnego powodu, aby sprzeciwiać się sekcji Gianpaola.

– Stickler! – oburzył się szeptem kardynał. – Nie muszę chyba księdzu przypominać, iż jeszcze nigdy nie dokonano obdukcji zwłok któregośkolwiek z papieży!

– Nie, nie musi mi Wasza Eminencja tego przypominać – odparł William Stickler – jednakże dziś zadaję sobie pytanie, dlaczego nie zezwolono na obdukcję, skoro pozostałe działania, jakimi poddano śmiertelne szczątki Jego Świątobliwości, ani na jotę nie odbiegały od normalnego postępowania z zupełnie normalnymi zwłokami. Nie był to zbyt budujący widok, kiedy związane sznurami stawy nóg Gianpaolo i jego piersi, by potem z całą siłą rozerwać skurczone ciało, aż słychać było trzeszczące kości. Widziałem to na własne oczy, Eminencjo, niech Bóg ma mnie w swojej opiece!

– Professore Montana stwierdził jednoznacznie przyczynę śmierci: niedrożność tętnicy wieńcowej.

– Ależ Eminencjo! A jakąż inną, poza zawałem serca, diagnozę mógł postawić Montana, kiedy znalazł się przy łóżku, na którym zmarły siedział z podwiniętymi nogami, trzymając w lewej ręce teczkę z aktami i z prawą bezwładnie opuszczoną w dół? Montana powtórzył ze ściśniętym sercem te same działania, jakie pamiętam z dnia śmierci Pawła VI w Castel Gandolfo: wyciągnął srebrny młotek, zdjął Gianpaolo opadające na nos okulary, położył je złożone na nocnym stoliku i trzykrotnie uderzył martwego papieża w czoło pytając, czy nie żyje. I kiedy również i za trzecim razem nie usłyszał żadnej odpowiedzi, professore ogłosił, iż Jego Świątobliwość Jan Paweł I nie żyje w sensie ceremoniału Świętego Rzymskiego i Apostolskiego Kościoła Katolickiego.

– *Requiescat in pace* *. Amen.

– Cały szereg dziwnych wydarzeń miał miejsce dopiero wtedy, gdy przyszedł kardynał Sekretarz Stanu. Była to godzina 5.30, i kiedy się pojawił, moją uwagę zwrócił fakt, że był świeżo ogolony, bardzo opanowany i na widok leżących na ziemi akt Jego Świątobliwości oświadczył, że według oficjalnej wersji to ja wczesnym rankiem znalazłem nieżywego Ojca Świętego w swoim łóżku, a także że nie studiował on żadnych akt, tylko czytał książkę o naśladowaniu Chrystusa. Naturalnie od razu zadałem sobie pytanie, po co to przekręcanie faktów, dlaczego zgon Gianpaolo nie miał nastąpić w czasie przeglądania dokumentów i dlaczego jego śmierci nie miała odkryć zakonnica? Każdego ranka siostra Vincenza stawiała pod drzwiami Gianpaola dzbanek z kawą. Po co te kłamstwa?

– A pantofle Jego Świątobliwości i okulary?

– Nie wiem, Eminencjo, zniknęły gdzieś nagle w tym chaosie i zamieszaniu, tak samo jak dokumenty, które leżały rozsypane na podłodze. Początkowo nie przykładałem do tego większej wagi, ponieważ sądziłem, że wziął je ze sobą kardynał Sekretarz Stanu. Dopiero o

* niech spoczywa w spokoju

wiele później, około południa, kiedy ciało Gianpaola zostało już zabrane i zacząłem się wypytywać o te przedmioty, wyszedł na jaw ten obrzydliwy postępek: ktoś okradł zmarłego papieża!

– A kardynał Jellinek? To znaczy, chciałem wiedzieć, kiedy Jellinek wszedł do pokoju, w którym nastąpił zgon?

– Jellinek? W ogóle tam nie wchodził. O ile wiem, w dniu śmierci Jego Świątobliwości kardynała wcale nie było w Rzymie.

– To zgadza się z moimi obserwacjami, Stickler. Na ile sobie przypominam, Jellinek był co prawda obecny na pierwszym kolegium kardynałów w Sala Bologna podczas sediswakancji, ale to kolegium odbyło się dopiero następnego dnia. A więc kardynał Jellinek w żadnym wypadku nie wchodzi w grę jako sprawca, nawet jeżeli nie pomylił się ksiądz w przypadku swego odkrycia. A tak między nami, Stickler, powinien ksiądz raczej milczeć, gdyby bowiem ten przypadek był badany przez Rotę, to właśnie ksiądz, monsignore, byłby bez wątpienia głównym podejrzanym.

Kamerdyner zerwał się na równe nogi. Chciał natychmiast wyjść z konfesjonatu, ale Bellini, zaklinając na wszystkie świętości, zmusił go do pozostania. Wy tłumaczył mu, że źle go zrozumiał, że nie powinien, na miłość Jezusa i Najświętszej Dziewicy Marii, sądzić, że go podejrzewa, ale w tajnym procesie byłby z natury rzeczy koronnym świadkiem; w końcu to on ostatni widział Ojca Świętego, i również to on odkrył jego zwłoki.

– Ale przecież ja nie odkryłem zwłok papieża, Eminencjo! Tę pogłoskę puścił w obieg kardynał Sekretarz Stanu! – prałat nie był już w stanie zapanować nad swym głosem.

Bellini próbował szeptem uspokoić Sticklera, podkreślając, iż nie to, co sądzi on, Bellini, jest miarodajne, ale wynik śledztwa Roty, a ta nie będzie szczędziła przykrych pytań.

– Musi ksiądz zrozumieć – mówił dalej kardynał – iż to właśnie ksiądz, jako kamerdyner papieża, miał najlepszą możliwość wiania paraliżującej trucizny do jednej z buteleczek z lekarskimi, jakich papież, o czym wiedział każdy z jego otoczenia, używał w dużej ilości.

Po tych słowach zapadła cisza. Kardynał Bellini milczał zastanawiając się jeszcze raz nad swoimi przemyśleniami i tym, co powiedział kamerdyner. William Stickler milczał, zaś dlatego, by dokładniej uprzytomnić sobie słowa kardynała, i po raz pierwszy przyszło mu przy tym do głowy podejrzenie, że Bellini być może wcale nie należy do grupy, do której on go do tej pory zaliczał. Sposób, w jaki mówił do niego przed chwilą, świadczył, że kardynał mógłby być także członkiem stronnictwa Casconego, a może nawet był w zмовie z Jellinkiem?

– Eminencjo – zaczął szeptem Stickler – jak powinienem się więc teraz zachować?

– Co ksiądz powiedział Jellinkowi? Czy ksiądz dał poznać po sobie, że dokonał takiego odkrycia?

– Nie. Udałem nagły atak nudności wyszedłem.

– A więc Jellinek nie wie, że odkrył ksiądz zawartość paczuski?

– Nie, zakładając, że nie był z tym związany jakiś jego ukryty zamiar.

– *In nomine Domini*; pozostawmy więc na razie tę sprawę swojemu biegowi rzeczy.

Jeszcze tego samego dnia William Stickler, kamerdyner papieża, napisał do Jego Eminencji Josepha kardynała Jellinka przepaszający list, w którym usprawiedliwiał swoje nagłe wyjście złym samopoczuciem, zaznaczając, iż cieszy się na myśl o spotkaniu przy następnej partii.

9. W dniu święta Matki Boskiej Gromnicznej

Wieczorem tego dnia kardynał Joseph Jellinek wchodził do swego mieszkania w Palazzo Chigi schodami. Loża portierska Annibale była pusta, co zdarzało się wcale nie tak rzadko, i kardynał poczuł przyjemne napięcie związane z oczekiwaniem, mimo iż było ono równoznaczne z jego moralnym upadkiem. Grzeszne myśli dręczyły jego mózg. Człapiąc szeroko wijącymi się schodami na górę starał się w miarę jak najgłośniej obwieścić swoje przybycie. W końcu, na trzecim podeście, spotkał ją idącą mu naprzeciw, przynoszącą swe jędrne, korpuletne ciało z jednej nogi na drugą w sposób uwydatniający biodra.

– *Bouna sera, Eminenza!* – przyjaźnie zawołała już z daleka. Kardynał zobaczył tani, cienki materiał jej czarnego, zapinanego z przodu fartucha i poczuł się jak Mojżesz na górze Nebo, któremu Pan ukazał Ziemię Obiecaną, ale tylko ukazał, oznajmiając, iż nigdy na nią nie wstąpi.

– *Buona sera, signora Giovanna!* – odpowiedział uprzejmie Jellinek, starając się nadać głosowi szczególnie miłe brzmienie, a ponieważ mu się to nie udało, odchrząknął z zakłopotaniem.

– Zaziebił się ksiądz? – zapytała dozorczyńni z uśmiechem. – W tym roku wiosna każe nam na siebie długo czekać – dodała zatrzymując się stopień wyżej od Jellinka, który musiałby obawiać się najgorszego, gdyby szerokim łukiem nie ominął przeszkody, jaka jak ucieleśnienie udręki wznosiła się przed nim.

– Nic dziwnego, signora Giovanna – odparł kaszląc, kiedy udało mu się już uporać z wrażeniem, jakie wywołało na nim to spotkanie – przy tej pogodzie. Raz gorąco, raz zimno! – I nie poświęcając już Giovannie ani jednego spojrzenia, aczkolwiek nie było nic przyjemniejszego dlań w tej sytuacji, kardynał Jellinek poczłapał dalej.

Wybawiony i zarazem rozczarowany udręką, jaką zadawała mu ta kobieta, kardynał Jellinek zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania. Natychmiast zauważył, że ktoś w nim jest. W salonie paliło się światło.

– Siostró? – zawołał Jellinek, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ale i obecność franciszkanki o tej porze w mieszkaniu byłaby czymś dziwnym. Wbrew wszelkim zwyczajom panującym w tym domu drzwi do salonu były otwarte. Wszedłszy do środka, Jellinek

przestraszony cofnął się o krok. W fotelu siedział ubrany na czarno kleryk.

Kim brat jest? Czego brat chce? W jaki sposób w ogóle dostał się brat tutaj? – o to wszystko chciał zapytać kardynał, ale milczał, nie potrafiąc wydusić z siebie ani jednego dźwięku.

Ubrany na czarno mężczyzna, w przypadku którego kardynał wcale już nie był teraz taki pewny, czy jest klerykiem, czy też szatanem we własnej osobie, spojrzał na niego i odezwał się nagle bezceremonialnie: – Czy Wasza Eminencja otrzymał moją paczkę?

– A więc to od brata pochodzi ten tajemniczy podarunek?

– To nie jest podarunek, ale ostrzeżenie!

– Ostrzeżenie? – nie zrozumiał kardynał. – Kim pan jest? Czego pan chce? I w ogóle w jaki sposób dostał się pan tutaj?

Obcy machnął niechętnie ręką.

– A więc zawartość paczki nie jest Waszej Eminencji znana? Gianpaolo...

– Jezus Maria! – Jellinek zamilkł natychmiast. Kiedy obcy mężczyzna wymienił imię Gianpaola, natychmiast uświadomił sobie, jakie znaczenie ma dziwna zawartość pakietu. Kardynał poczuł, jak krew zaczyna mocno pulsować mu w skroniach. Okulary i pantofle papieża, który rządził tylko przez trzydzieści cztery dni! Tak, dopiero teraz przypomniał sobie (do tej pory nie przykładał nigdy wagi do tej sprawy), że wtedy, we wrześniu, krążyła po Watykanie pogłoska, iż zmarły Ojciec Święty został okradziony. Brakowało różnych, mało znaczących rzeczy z jego majątku. Jedna z plotek głosiła, iż zamordowano go, aby wejść w posiadanie tych przedmiotów. Kardynał przypomniał sobie to wszystko w chwili, kiedy obcy znowu odezwał się do niego z kamienną twarzą.

– A więc zrozumiał ksiądz?

– Czy rozumiałem? – Jellinek poczuł nagle strach, trudny do wyjaśnienia śmieszny, zwykły strach. Poczuł lęk przed zemstą ubranego na czarno mężczyzny, jak Eliasza przed wściekłością Jezabel. – Nie – powiedział bezdźwięcznie – nic nie rozumiałem. Proszę powiedzieć, czego pan chce ode mnie i kto pana do mnie przysłał?

Obcy uśmiechnął się szyderczo, w sposób, jaki człowiek uświadomiony uśmiecha się do nie uświadomionego.

– Zadaje ksiądz za dużo pytań, kardynale. Pytanie było pierwszym grzechem.

– Niech brat powie w końcu, czego chce! – powtórzył kardynał z uporem i zauważył, że drżą mu ręce.

– Ja? – odparł ironicznie ubrany na czarno mężczyzna. – Ja nie chcę niczego. Przychodzę z wyższego polecenia. Moi zleceniodawcy wyrażają życzenie, aby zaprzestano dochodzenia mającego wyjaśnić sens inskrypcji z Kaplicy Sykstyńskiej!

Kardynał Jellinek milczał. Był przygotowany na wiele odpowiedzi, ale ta odjęła mu mowę.

– Mój panie! – zawołał wzburzony po dłuższej chwili, kiedy się już opanował. – W

Kaplicy Sykstyńskiej pojawiło się osiem zagadkowych liter, których nie można przemilczeć ani zlekceważyć. Posiadają one jakieś fatalne, tajemnicze znaczenie. Otrzymałem *ex officio* polecenie jego wyjaśnienia, które ustrzegłoby instytucję Kościoła od większych szkód. Z tego też powodu jako przewodniczący Świętego Oficjum zwołałem consilium, które będzie obradowało tak długo, aż nie zostanie znalezione rozwiązanie. I bez względu na motywy pańskiego życzenia może być pan pewny, iż byłoby największą głupotą zmycie tych liter lub ich zamalowanie, wtedy bowiem otwarto by drogę do wszelkiego rodzaju spekulacji.

– Być może jest to słuszne, co mówi Wasza Eminencja – odparł obcy – ale myli się ksiądz pod jednym względem: to nie jest życzenie, aby Wasza Eminencja zaprzestał swoich dochodzeń, to rozkaz!

– Otrzymałem polecenie *ex officio*...

– Nawet gdyby Pan Jezus osobiście polecił wykonanie tego zadania, Eminencjo, ma ksiądz zaprzestać dochodzeń. Niech Wasza Eminencja znajdzie jakieś szybkie wyjaśnienie, opłaci któregoś z ekspertów i opublikuje wyniki swoich „badań”, ale musi ksiądz wstrzymać prace consilium!

– A jeżeli odmówię?

– Nie wiem, kto jest bardziej przydatny Kurii, żywy czy martwy kardynał. Przesłano księdzu tę paczkę dlatego, aby Wasza Eminencja zrozumiał, jak poważna jest sytuacja. Chcę przez to powiedzieć, iż jeżeli usunięcie bez śladów papieża nie sprawiło, jak widać, żadnych większych trudności, to może ksiądz być pewny, że kardynał Jellinek zniknie o wiele szybciej i łatwiej. Śmierć Waszej Eminencji nie wywoła nawet sensacji w gazetach, jedynie drobne ogłoszenia w prasie codziennej, nekrolog w „Osservatore Romano”: „Kardynał Jellinek zmarł na skutek wypadku”, a w najgorszym razie: „Kardynał Jellinek popełnił samobójstwo”. Nic więcej.

– Niech pan zamilknie!

– Zamilknąć? Kuria, do której Wasza Eminencja należy, popełniła więcej błędów milcząc aniżeli mówiąc. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybyśmy nie doszli do porozumienia; jestem jednak pewny, że nie będzie ksiądz tak głupi, kardynale... Ale zaczynam się już powtarzać.

Jellinek podszedł do obcego. Był teraz w takim usposobieniu, jakie pojawia się u człowieka, kiedy to wściekłość zaczyna zamieniać się w odwagę.

– Niech pan posłucha, dziwny świętoszku – powiedział chwytając obcego za ramiona – natychmiast opuści pan moje mieszkanie...

– Albo...? – zapytał prowokująco kleryk.

W tym momencie kardynał zorientował się w śmieszności swej groźby i zrezygnowany puścił obcego, na którego twarzy znowu pojawił się szydery uśmiech.

– No dobrze – powiedział mężczyzna, otrzepując sutannę w miejscach, w których dotknął jej kardynał. – To i tak nie moja sprawa. Spełniłem jedynie funkcję posłańca i wykonałem

otrzymane polecenie. *Laudetur Jesus Christus*.

To pozdrowienie zabrzmiało dziwniej w ustach kleryka słowa te były pełne kpiny i ironii.

– Proszę się nie fatygować! – powiedział jeszcze. – Wszedłem tu sam, potrafię też i wyjść bez niczyjej pomocy.

Takie właśnie zdarzenie miało miejsce w dniu święta Matki Boskiej Gromnicznej i kardynał nie był w stanie dowiedzieć się później, kim był tajemniczy gość i w jaki sposób w jego posiadaniu znalazły się rzeczy należące do papieża. Jego żądanie wydało się Jellinkowi niemożliwe do spełnienia. Ponieważ sprawa ta zrobiła się dzięki temu nawet jeszcze bardziej poplątana, zagadkowa, o głębszym podłożu, aniżeli początkowo sądził, kardynał Joseph Jellinek zdecydował się rozwiązać tę tajemnicę przy pomocy wszelkich dostępnych mu środków. Fakt, że grożono mu osobiście, tylko podbudował i wzmocnił w trudny do wyjaśnienia sposób jego zamiar, jako purpurat bowiem był nawet zobowiązany ryzykować swoim życiem w obronie nauki Kościoła – *ad maiorem Dei gloriam?*

Kardynał na razie postanowił milczeć na temat tego zagadkowego spotkania z nieznajomym, po pierwsze dlatego, że innym wydałoby się to mało wiarygodne, a po drugie, gdyż już następnego dnia sam zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zetknął się z szatanem.

10. W poniedziałek po święcie Matki Boskiej Gromniczej

Wymienieni uprzednio członkowie consilium, poszerzonego o profesora semiotyki Ateneum Laterańskiego, Gabriela Manninga, spotkali się pod przewodnictwem kardynała Josepha Jellinka w poniedziałek Wielkiego Tygodnia na swoim drugim posiedzeniu. Po wezwaniu Ducha Świętego kardynał zadał pytanie, czy ktoś z obecnych zna sens inskrypcji, z powodu której zebrano się w tym miejscu. Ponieważ wszyscy zaprzeczyli, Jellinek stwierdził, że należy poprosić o radę profesora Manninga, aktualnie najbardziej kompetentnego specjalistę w dziedzinie teorii i nauki znaków. Manning zapoznał się już *ex officio* z tym problemem i chciałby najpierw dokonać wstępnego objaśnienia szans odszyfrowania i istnienia różnych wersji treści inskrypcji.

Manning ostrzegł zebranych przed zbytnim optymizmem, związanym z możliwością rozwiązania tajemnicy w krótkim czasie; wszystkie wskazówki zawarte w zagadkowych literach skłaniają badacza do przyjęcia założenia, iż rozwiązanie leży poza Murami Leońskimi. Poszlaką może być choćby sama liczba ośmiu liter zawartych w szeregu AIFALUBA; symbolika chrześcijańska daje bowiem pierwszeństwo liczbie siedem. Potwierdzenie tej teorii profesor Manning widział w tematycznym ukształtowaniu pól na sklepieniu kaplicy, na którym Michelangelo podzielił chrześcijańską liczbę dwanaście z korzyścią dla dwóch grup Sybilli i proroków. Malarska tematyka Stworzenia Świata pozwala przy tym podejrzewać istnienie swoistego rodzaju uniwersalizmu, postracjonalistycznej wiary w symboliczność całego świata. Według niej, wszystko, co człowiek widzi i przeczuwa, jest szyfrem, symbolem, znakiem, odbiciem i alegoriami pozostającymi do siebie w tajemniczym stosunku, do którego należy tylko posiadać klucz, aby go zrozumieć. Podczas powstawania fresków sykstyńskich swoje wielkie dni przeżywali astrologowie, pitagorejczycy, gnostycy i kabaliści; wielu, przede wszystkim wykształconych ludzi, uległo czarowi magiczno-mistycznych idei tamtej epoki. W ten sposób można by dowieść istnienia autentycznej alchemii słowa, przy pomocy której mistycy i magowie alfabetu zajmowali się brzemieniem słów i liter, ich dźwięcznością i znaczeniem.

Antyczni Grecy określali dźwięki literami, opisując 24 z nich wydawane przez aulos, czyli 24 tony wydawane przez pewien rodzaj fletu, 24 literami alfabetu... Pitagoras i jemu

współcześni byli oszołomieni odkryciem, iż wysokość dźwięku zależy od długości struny, a więc że dźwięk słyszalny dla ucha może stać się również widzialnym dla oka; doszli zatem do wniosku, iż dźwięki są liczbami.

– Dlaczego więc – zapytał profesor Manning – w tym pełnym muzyki miejscu litery nie miałyby opisywać jakiejś melodii, do której tekst śpiewany ukrywa być może w sobie rozwiązanie całej tajemnicy? Jest to jednakże propozycja tylko jednego rozwiązania, i na dodatek nader prostego. Sprawa stanie się bardziej skomplikowana – kontynuował Manning – jeżeli inskrypcja będzie wymagała rozwiązania składającego się z liter-znaczeń, albowiem litery-znaczenia są starsze od antycznej greckiej wiedzy. Już historyk Kościoła, Eusebios z Cezarei, dowiódł w swej *Praeparatio evangelica**, że Grecy przejęli swoje oznaczenia liter od Hebrajczyków, i jako dowód przedstawił fakt, iż każdy hebrajski uczeń znał sens liter-znaczeń, podczas gdy nawet Platon nie posiadał tej zdolności. Ojcowie Kościoła podali dopiero wiele później sensowne interpretacje wzajemnych alfabetyczno-akrostychicznych powiązań w psalmach i pieśniach żałobnych Jeremiasza.

Na żądanie kardynała Sekretarza Stanu, Giuliano Cascone, aby ten problem wyjaśnić bliżej przy pomocy przykładu dla lepszego uzmysłowienia obecnym, profesor Manning powiedział:

– Litera „A” na przykład, będąc literą rozpoczynającą alfabet, jest dźwiękiem, jaki we wszystkich językach wymaga najszybszego otwarcia ust, i z tego powodu samogłoska ta miała mieć zaszczyt służenia Bogu jako pomocniczy środek w celu otwarcia ludziom ust, aby mówili. „I”, druga litera inskrypcji, symbolizuje brak różnic, prawdę i sprawiedliwość, ta prosta kreska bowiem może być równie łatwo napisana przez dzieci, młodzież i starców. „F” natomiast symbolizuje akurat coś wręcz przeciwnego, ponieważ stanowi jedynie połowę wagi, którą już Pitagoras uznał za absolutny symbol sprawiedliwości, wzywając swoich uczniów, aby nigdy nie przechodzili ponad wagę. Wiedząc o tym, można dokonać już nieśmiałej próby interpretacji pierwszej części inskrypcji, przy czym należy wziąć pod uwagę fakt, iż treść może manifestować się naturalnie w różnego rodzaju częściach mowy, jak rzeczownik, przymiotnik czy czasownik – dodał profesor Manning, a potem wypisał na bloku papieru w pionowym szeregu cztery pierwsze litery napisu, a obok swoją interpretację:

- A Bóg mówi
- I prawdę
- F nieprawda jednakże
- A jest w ustach...

Zaraz potem wszyscy, a przede wszystkim biorący udział w consilium zakonniczy, zasypali profesora prośbami o wyjaśnienie symboliki i znaczenia pozostałych liter. Manning jednakże odpowiedział, iż aczkolwiek interpretacja pierwszej części przysłała dość łatwo, to druga wydaje się o wiele bardziej skomplikowana. „L” symbolizuje Logos, czyli rozum. Za to

* objaśnienia ewangeliczne

„U” i „B” są wieloznaczne i niejasne; w języku łacińskim „U” jest podobne do „V”, odpowiadając jednocześnie liczbie 5 i symbolizując stojący na wierzchołku trójkąt, kobiety trójkąt łonowy (przy tym słowie fra Desiderio Scaglia, kanonik z San Carlo, przeżegnał się), który jest w opozycji do męskiego rombu. W poszczególnych językach znaczenie litery „B” zmienia się; w łacinie, i zapewne w tym języku została napisana ta inskrypcja, litera ta zawiera w sobie groźbę. Na podstawie przedstawionych danych napis sykstyński nie pozwala na dokonanie sensownej interpretacji, co jest jednocześnie dowodem na niesłuszność zastosowania tego systemu.. Na usilne pytania, jakie inne możliwości rozwiązania problemu mógłby zaproponować, Gabriel Manning przedstawił znaczenie podziału liter na klasy i różnice między samogłoskami i spółgłoskami, jakie w omawianej inskrypcji występują szczególnie wyraźnie, te pierwsze bowiem są w zdecydowanej przewadze. Pitagorejczycy i gramatycy widzieli w zróżnicowaniu między samogłoskami i spółgłoskami symbol różnicy, jaka istnieje pomiędzy *psyche* a *hyle*, duszą i ciałem. Te siedem samogłosek odpowiadało w misteriach literom greckim, jakie bez wątpienia były matkami chrzestnymi alfabetu łacińskiego. Oznaczały one siedem posiadających głos istot, a były to: anioł, głos wewnętrzny, cielesny głos ludzki, ptaki, ssaki, gady i dzikie zwierzęta. Piętnaście spółgłosek, a tyle ich zna alfabet grecki, określało natomiast rzeczy pozbawione głosu: niebiosy, firmament, ziemię wewnętrzną, ziemię zewnętrzną, wodę, powietrze, ciemności, światło, rośliny, drzewa owocowe, gwiazdy, słońce, księżyc, ryby w wodzie i otchłań morską.

– Po dokonaniu naukowej analizy – powiedział Manning – można by naśmiewać się z tej interpretacji, jednakże w każdym przypadku okazuje się, iż już w dawnych epokach istniały tajemne nauki zajmujące się literowymi misteriami.

Manning zanegował jednak sensowność zastosowania tego systemu interpretacji, uzasadniając swój pogląd brakiem w sykstyńskiej inskrypcji litery „Y”.

– Już Pitagoras widział w „Y” klucz i symbol tajemnicy wszystkich liter, twierdząc, iż trzy ramiona tej litery mają następujące znaczenie: podstawa symbolizuje samogłoski, ramiona zaś to spółgłoski dźwięczne i bezdźwięczne. Tak więc „Y” jest literą poznania. Gdyby chciano w tej sytuacji szukać rozwiązania według tego schematu, można być pewnym, iż „Y” byłoby kluczową literą całej inskrypcji.

Kardynał Sekretarz Stanu był w coraz większym stopniu zaniepokojony wyliczaniem tych niemal nieograniczonych możliwości rozwiązania problemu i zażądał od Manninga podania najbardziej prawdopodobnych schematów, pytając jednocześnie, któremu z systemów profesor osobiście przyznałby pierwszeństwo.

– Mała ilość czasu, jaką miałem do dyspozycji – odparł profesor – nie pozwoliła mi na bardziej szczegółowe badania. Na podstawie swojego doświadczenia skłaniałbym się jednak ku dwóm możliwościom: w jednym z przypadków widzę w inskrypcji poszlaki wskazujące na powiązania z gematrią, znaczącą odmianą mistyki liter, która znalazła zastosowanie w interpretacji wielu greckich, orientalnych, żydowskich i arabskich przekazów, a między

innymi Apokalipsy św. Jana.

– O tej możliwości – przerwał kardynał Jellinek – consilium zostało wyczerpująco poinformowane przez padre Augustyna Feldmanna. Jaki sposób poszukiwania rozwiązania uważa pan poza tym za najlepszy?

– Z drugiej strony – kontynuował profesor Gabriel Manning – charakterystyka zestawienia liter wskazuje na notarikon, używany często w kościele pierwszych chrześcijan, ale także i w jednej z tajemnych nauk, której nazwy lękam się wymówić.

Jako przykład Manning podał greckie słowo ICHTHYS, co w tłumaczeniu znaczy „ryba” i przez pierwszych chrześcijan wypisywane było na piasku jako znak rozpoznawczy ich wiary. Pierwotny sens znaku ryby został później na nowo rozszyfrowywany. Za literami ICHTHYS ukrywa się formuła: *Jesus Christos Theou Yios Soter*, co dokładnie oznacza Jezus Chrystus, Syn Boga, Wybawiciel Świata. W swoim *Compendium Theologicae veritatis** scholastyk Albertus Magnus, omawiając imię Jezus, posłużył się notarikonem, w którym nie rozumiejąc jego pierwotnego sensu potraktował to słowo jako zespół liter; odzyskało ono swoje znaczenie dopiero w zestawieniu z początkowymi literami innych słów. W imieniu „Jezus” Albertus Magnus stwierdził istnienie następującej kombinacji wyrazów: *Jucunditas maerentium, Aeternitas viventium, Sanitas languentium, Ubertas egentium, Satietas esurentium**. Wynika z tego wyraźnie, iż nawet, a w gruncie rzeczy przede wszystkim, mistyką liter zajmowali się uczeni i filozofowie. Tak więc przy poszukiwaniu rozwiązania zagadki anagramu florentyńczyka umieszczonego w Kaplicy Sykstyńskiej sięgać można do wielkich wzorów z przeszłości.

– Jak się nazywa owa tajemna nauka – chciał się dowiedzieć kardynał Jellinek – której nazwę tak się pan lęka podać, profesorze?

– W celach symbolicznych i mistycznych – odpowiedział zapytany w taki sposób profesor – literami posługiwała się przede wszystkim żydowska kabalistyka i na podstawie kolejności, a także sposobu tematycznego podziału sykstyńskich fresków, ale również i w kontekście nietypowej kolejności liter, nie można wykluczyć, że Michelangelo chciał przekazać potomnym informację dotyczącą tej właśnie tajemnej nauki żydowskiej.

W sali Świętego Oficjum zapanował wielki niepokój; kardynałowie, prałaci i profesorzy zaczęli głośno rozmawiać między sobą, Jego Eminencja kardynał Lopez zaś, podsekretarz Kongregacji Wiary i tytularny arcybiskup Cezarei, uparcie wołał, iż szatan doprowadził do tego, że zajmując się tym problemem Kościół Święty napytał sobie biedy, *horribile dictu*!

Profesor Manning odrzucił zastrzeżenie Jego Eminencji kardynała Belliniego, że to wszystko jest szalbierstwem i pogańskimi zaklęciami, mówiąc, iż napis sykstyński ma być najpierw zbadany nie tyle pod kątem prawdy, jaka jest w nim zawarta, ile samej treści, tak w

* Zarys prawd teologicznych

* powab zasługujących, nieśmiertelność istniejących, zdrowie słabnących, zasobność cierpiących (biedę), dostatek głodujących

* strach mówić

każdym razie brzmiało otrzymane przezeń zlecenie. Dopiero po poznaniu treści inskrypcji do czcigodnego consilium należeć będzie zbadanie zawartego w nim przesłania. Z profesorem Manniנגiem zgodził się kardynał Jellinek, jednakże Bellini dalej się upierał, nazywając wszystkich semiotyków wrogami wiary, będącymi w stanie wymyślić wszystko i zarazem nic. Przytoczył również przykłady, przy pomocy których usiłowano dowieść, że Szekspir i Bacon to jedna i ta sama osoba, a także iż Goethe był kabalistą.

Gabriel Manning zgodził się z kardynałem, powtarzając jednakże swoje zastrzeżenie, iż w aktualnej sytuacji nie należy dyskutować nad treścią inskrypcji, ale sposobem rozwiązania zagadki.

– Dopóki nie zostanie ustalone rozwiązanie, nie wolno osądzać treści napisu. Oczywiście mistyka liter zawiera liczne imponderabilia; isopsefa, pseudonauka wiążąca ze sobą takie same wartości liczbowe różnych słów, dość często służy przeciwnikom tej koncepcji jako kontrargument. Podstawą isopsefy jest ponumerowanie greckich liter od alfy do omegi liczbami od 1 do 24, co z kolei stało się podstawą rozwiązania różnych zagadek tego świata i w rzeczywistości doprowadziło do zaskakujących wyników.

– Tą nauką – mówił dalej Manning – zajmowało się wielu znakomitych uczonych. O Napoleonie mówi się, że już w młodych latach natknął się na isopsefę: Bonaparte = 82 = Bourbon, i z tego powodu poczuł się powołany do objęcia tronu Francji. Oczywiście żydowscy przeciwnicy isopsefy dowiedli również przy pomocy tej podejrzanej nauki, że księga Genesis posiada tę samą wartość liczbową co „kłamstwo i oszustwo”, a „Bóg Wszechmogący” jest zgodny ze słowami „inni bogowie”. Ale to wszystko nie jest tematem consilium; na razie idzie przede wszystkim o to, aby znaleźć naukowe rozwiązanie tajemnicy inskrypcji, rozwiązanie, w którym zawarty jest dowód jego słuszności.

Wtedy kardynał Jellinek wyjął z kieszeni swej sutanny kartkę papieru. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na przewodniczącego consilium. Kardynał powiedział, że również usiłował dokonać interpretacji napisu, do tej pory jednakże nie miał na tyle odwagi, aby przedstawić swą próbę rozwiązania.

– Dopiero teraz, kiedy pokazano mi możliwość różnych sposobów interpretacji, które mogą wywołać nawet śmieszność, odważam się przedstawić rozwiązanie, jakie chciałbym przeczytać teraz za pozwoleniem consilium – i Jellinek zapisał ołówkiem, jedną pod drugą, osiem problematycznych liter i drżącą ręką dodał do nich osiem słów:

- A** atramento
- I** ibi
- F** feci
- A** argumentum
- L** locem
- U** ultionis
- B** bibliothecam

A aptavi

Potem Jellinek podniósł wysoko kartkę, aby każdy mógł ją zobaczyć, i przeczytał wolno, z naciskiem:

– *Atramento ibi feci argumentum, locem ultionis bibliothecam aptiavi* – czarną farbą wypisałem tam dowód i wybrałem bibliotekę jako miejsce zemsty.

W sali zapanowało długie milczenie. Kardynałowie, prałaci i pozostali obecni nieruchomo wpatrywali się w kartkę trzymaną w drżącą rękę kardynała.

Biblioteka jako miejsce zemsty? Jak należało to rozumieć? Co ukrywa w sobie Biblioteka Watykańska? Jeden po drugim zebrani szukali wzrokiem archiwariusza, padre Augustyna, na którego miejscu siedział teraz jednakże jego następca, padre Pio.

Ujrawszy, iż oczy wszystkich skierowane są na niego, padre Pio bezradnie wzruszył ramionami, odwrócił dłonie do góry i patrzył przed siebie jak młodzieniaszek Kleofas na widok Pana. Jednakże nie ukazał się żaden znak, jaki otworzyłby oczy obecnych i pomógł w zrozumieniu tajemnicy.

Kardynał Sekretarz Stanu, zmieszany, uśmiechnął się krzywo i aby rozładować atmosferę, zapytał Manninga, co sądzi o tej interpretacji.

– Nic – odparł bez ogródek semiotyk, uzasadniając swoją odpowiedź niedostateczną zdolnością dowodową tego rozwiązania, które co prawda wydaje się ujmująco proste, ale brakuje mu za to logiki. Dlaczego nagle pierwsza litera alfabetu ma oznaczać najpierw *atramentum*, potem *argumentum*, a w końcu nawet *aptavi*? A jeżeli nawet miałyby tak być, gdzie zawarta jest wskazówka, iż w ten właśnie sposób należy dokonać interpretacji napisu? Nie, Michelangelo na pewno nie przygotowałby dla potomnych tak łatwej zagadki, nie Michelangelo!

Jako pierwszy odzyskał panowanie nad sobą kardynał Sekretarz Stanu, Cascone, który zapytał z rozdrażnieniem i jednocześnie rozczarowaniem, dlaczego Manning jest tak pewny swego zdania i nie chce uznać za zasadne rozwiązanie Eminencji kardynała Jellinka, aczkolwiek sam powiedział jeszcze przed chwilą, że nie znalazł w ogóle żadnego wyjaśnienia. Profesor nie odpowiedział więc Cascone zwrócił się do kardynała Jellinka, pytając, czy potrafi podać treściowe lub formalne wyjaśnienie dotyczące wyniku jego badań.

– Nie potrafię uzasadnić tego rozwiązania – odparł Jellinek – ani w sposób formalny, ani jeśli idzie o treść. Po prostu puściłem wodze mej fantazji, tak jak to niegdyś mógł uczynić Michelangelo, kiedy zabierał się do swego dzieła. Michelangelo nie był semiotykiem, a już na pewno nie był naukowcem. Tworzył z głębi swojej duszy, przekładał uczucia na rzeczy materialne. Wątpię, czy ten artysta zastanawiał się zbyt długo, z jakiego powodu i gdzie ma umieścić te litery. Jeśli zaś idzie o treść – stwierdził kardynał – nie chciałbym się na ten temat wyrażać publicznie i proszę kardynała Sekretarza Stanu o rozmowę w cztery oczy, *specialissimo modo*, po zakończeniu posiedzenia consilium.

W tym momencie unieśli się z miejsc zakonnicy, padre Pio z zakonu Braci

Kaznodziejów, fra Desiderio, kanonik z San Calo, Pier Luigi Zalba z zakonu Służebników Marii, a okrągłe, płaskie okulary Adama Melcera z Towarzystwa Jezusowego zaczęły rzucać groźne błyski, gdy mówił uderzając przy tym nawet pięścią w stół. Melcer krzyczał wzburzony jak Nabuchodonozor przed piecem ognistym, iż to consilium zamienia się w farsę, gdyż niektórzy wiedzą więcej, a przed pozostałymi zamyka się możliwość poznania istotnych faktów. Z tego powodu on, Adam Melcer, składa dymisję. Pozostali zakonnicy przyłączyli się do żądania jezuit.

Zaledwie to powiedział, także i inni uczestnicy zebrania dali upust swemu wzburzeniu, rezygnując ze współpracy w consilium, między innymi Jego Eminencja kardynał Giuseppe Bellini, prefekt Kongregacji Sakramentów i Służby Bożej. W krótkim czasie w sali Świętego Oficjum zapanował wielki chaos i nawet szeroko rozłożone ramiona Jellinka nie były w stanie uspokoić ogólnego zamieszania.

– Każdy z uczestników tego czcigodnego zebrania – Jellinek z trudem usiłował zdobyć sobie posłuch – zostanie uświadomiony co do wszelkich kulis i faktów, jednakże część z nich wywodzi się z Tajnego Archiwum Watykańskiego i są *specialissimo modo* niedostępne nawet dla najwyższych kręgów Kurii.

Słowa Jellinka wywołały znowu na scenę Adama Melcera, który gwałtownie skrytykował kardynała, poddając pod rozwagę obecnych, czy to consilium nie jest przypadkiem zwykłą pozorowaną potyczką z nieznanym przeciwnikiem i czy owa zagadkowa tajemnica fresków nie została już dawno wyjaśniona, co z nieznanych powodów ukrywane jest przez zebranych.

– Bo w jaki inny sposób należałoby rozumieć interpretację Jego Eminencji kardynała Jellinka, który jako człowiek znający tajemnice najwyższego rzędu twierdzi, iż znalazł rozwiązanie problemu, mającego swoje źródło w Tajnym Archiwum, do którego nie ma jednak dostępu żaden zwykły śmiertelnik? Moim zdaniem – mówił dalej Melcer – prawdziwa treść inskrypcji jest już od dawna znana i ma tak druzgocącą wymowę dla Kościoła, że to consilium zostało zwołane tylko po to, aby znaleźć bardziej przystępne i w miarę nieszkodliwe wyjaśnienie. Takie postępowanie jest równie faryzejskie jak pytania kapłanów i Lewitów do Jana po drugiej stronie Jordanu.

Jellinek zerwał się z miejsca, zakazał mówić Melcerowi grożąc mu wyciągniętym palcem i nazwał jego słowa niegodnymi prawdziwego chrześcijanina, a na dodatek nieprzemyślanymi, milczenie bowiem, o ile jego przypuszczenie jest trafne, byłoby najlepszym rozwiązaniem problemu. Mimo iż słowa Melcera były uwłaczające czci i godne rozprawy przed sądem honorowym, kardynał postanowił nie wnosić sprawy o ukaranie, nerwy wszystkich zebranych bowiem napięte są do ostateczności i Melcer zapewne już jutro odczuje skrucę.

– Nie – kontynuował Jellinek – także i ja nie mam najmniejszego pojęcia i chciałem tylko swoją próbą wyjaśnienia ukazać, że respektuję opinię profesora.

Wtedy Manning określił jako haniebne, nieprzyzwoite i dalekie od jakiegokolwiek cnoty

chrześcijańskiej powierzenie mu badania sprawy, która od dawna znalazła już swoje rozwiązanie i potrzebuje jedynie ukazania jej w lepszym świetle, aby zgadzała się z polityką Kurii.

– Żądam więc dostępu do Tajnego Archiwum – zakończył profesor – w przeciwnym wypadku będę zmuszony złożyć swój mandat.

Przyciśnięty w ten sposób do muru Jellinek również oświadczył, że będzie zmuszony prosić o dymisję.

– *Non est possibile, ex officio!* – przerwał mu głos kardynała Sekretarza Stanu, który zwrócił się jednocześnie do wszystkich obecnych, aby uszanowali spokój miejsca, w jakim się znajdują.

W ten sposób członkowie consilium rozeszli się przedwcześnie i nieoczekiwanie, nie zbliżywszy się nawet ani na krok do rozwiązania zagadki, a wręcz przeciwnie, do ogólnego zamieszania dołączył teraz jeszcze wzajemny brak zaufania. Jeden nie dowierzał drugiemu: zakonnicy kardynałom, kardynałowie profesorom, profesorowie kardynałom, kardynał Bellini kardynałowi Jellinkowi, kardynał Jellinek kardynałowi Sekretarzowi Stanu, kardynał Sekretarz Stanu kardynałowi Jellinkowi, kardynał Jellinek monsignore Sticklerowi, monsignore Stickler kardynałowi Jellinkowi, Melcer kardynałowi Jellinkowi – jak się wydawało, kardynał Jellinek miał już teraz w Kurii tylko wrogów, a nad Watykanem zawisł jak niegdyś nad Sodomą i Gomorą gniew Najwyższego.

Tego samego dnia w Oratorium na Awentynie doszło do niespodziewanego spotkania padre Pio Segoniego z opatem tego klasztoru. Opat zaprzeczył, jakoby znał benedyktyna z Monte Cassino, ale Pio twierdził z uporem, że przebywali razem w tym samym seminarium duchownym. Upierał się przy tym tak głośno, że opat, z rękami ukrytymi w rękawach zakonnego habitu, nakazał mu powściągliwość.

– One muszą się tu znajdować – mówił z płonącymi oczyma padre Pio o dokumentach z dawnych czasów – wiem o tym, przeniesienie ich bowiem gdziekolwiek indziej nie dałoby się utrzymać w tajemnicy. Proszę mi powiedzieć, gdzie są ukryte!

– Dokumenty, o których mówisz, bracie w Chrystusie – usiłował uspokoić wzburzonego zakonnika opat – istnieją jedynie w twojej fantazji. Gdyby egzystowały naprawdę, musiałbym o tym wiedzieć, w końcu spędziłem tu ponad połowę mego życia.

– Na pewno, ojciec opacie – odparł Pio Segoni z cynicznym uśmiechem. – Przetrwiał ojciec tę sprawę bez uszczerbku, a zawdzięcza to niewątpliwie ojciec swojej umiejętności milczenia.

– Łatwiej jest milczeć, aniżeli hamować się w słowach, bracie.

– Tak, wiem, zawsze sobie tylko szkodziłem mówiąc o tym, co wiem. Przez całe życie pokutowałem za coś, za co nie ponosiłem żadnej winy. To boli. Przenoszono mnie z jednego opactwa do drugiego, z jednego klasztoru do innego. Boże, wydaje mi się, że jestem niczym

ten trędowaty z Biblii!

– Żyjemy podług *Ordo Sancti Benedicti*, bracie, a ta reguła zakonna przewiduje wypełnianie swego powołania w każdym miejscu. A teraz – odejdź, bracie.

W taki sposób zakończyła się rozmowa tych dwóch ludzi i każdy z nich odszedł w gniewie, nie bacząc na słowa Apostoła Pawła: „Słońce nie powinno zajść nad waszym gniewem”.

11. Prawdopodobnie w *Quinquagesima**

W kilka dni później – mogła to być w czasie *Quinquagesimy*, ale dokładnie nie da się tego już stwierdzić i jest to nieważne, jeśli idzie o rozwój naszej historii – a więc nieco później, pewnego wieczoru kardynał Jellinek wszedł do Archiwum, co wcale nie było rzeczą wyjątkową dla zazwyczaj bardzo zajętego kardynała, podobnie jak nie było niczym nadzwyczajnym, iż w korytarzach papieskiego pałacu ciągle było słychać gdakanie fagotu monsignora Raneriego. Jellinek doszedł do wniosku, że tylko on może się naprawdę przyczynić do odkrycia znaczenia treści napisu, przeprowadzając badania w Tajnym Archiwum, Belliniemu i Lopezowi bowiem nie wolno było wchodzić do tych pomieszczeń, Cascone zaś sprawiał wrażenie, jak gdyby bardziej zależało mu na ukryciu, aniżeli na wyjaśnieniu całej sprawy. Dlatego też Jellinek jak zwykle wszedł do środka przez tylne drzwi, które otworzył mu, usłyszawszy umówione pukanie, jeden ze *scrittori*. Był to młody człowiek, pełen naturalnej nieśmiałości, a może lepiej, szacunku dla ksiąg; jego nazwiska, tak samo jak i innych, kardynał nie znał. Jellinek natomiast nie obawiał się książek; stanowiły one dla niego wyzwanie, podniecały jak cielesność Giovanni. Lubił je głaskać, gnieść i wyjmować z oprawy. Książki były jego pasją.

Nigdy nie było wiadomo, czy ktoś się znajduje w tym kreteńskim labiryncie regałów z księgami i czarnych szaf do przechowywania depozytów, czy też jest się samodzielnym władcą wszelkich nauk i błędnych doktryn, a także słowa, które jak mówi Pismo, było na początku wszystkiego. Jeżeli więc ktoś tak jak Jellinek znał drogi słowa niczym Ojciec Nasz, mógł poczuć odrobinę jego wszechwładzy, straszliwej potęgi liter, która silniejsza od wojen i wojowników posiadała moc budowania świata, ale także i jego niszczenia. Zbawienie i wieczne potępienie śmierć i życie, niebo i piekło – wszystkie przeciwieństwa nigdzie nie były do siebie tak bardzo zbliżone jak w tym właśnie miejscu. Mając dostęp do największych tajemnic, Jellinek wiedział o tym, był świadom tego podniecającego stanu o wiele bardziej od kogokolwiek innego. I dlatego obawiał się znaków florentyńczyka więcej od ktoregokolwiek z członków Kurii. Bał się, znał bowiem więcej książek aniżeli ktokolwiek inny i ponieważ

* pięćdziesiątnica; czas wielkanocny – okres 50 dni od zmartwychwstania do zesłania Ducha Św.; trzecia część Świąt Wielkiejnocy

przy całej swej wiedzy był świadom, iż zna jedynie cząstkę tajemnic *Archivio Segreto* i nawet tysiąc lat nie wystarczyłoby na zgłębienie ich wszystkich.

Jellinek zabrał z ręki *scrittore* kieszonkową latarkę i ruszył w stronę *Riserva*. Padre Augustyn nigdy nie pozwoliłby mu pójść samemu wąskimi kręconymi schodami na wyższe piętra wieży aż do drzwi, przez które nawet on sam nie mógł wejść. Jednakże Pio Segoni, za zgodą Jellinka, zrezygnował z tego zwyczaju od tego czasu kardynał przechowywał dwupiórowy klucz w kieszeni swojej sutanny. Wspinając się schodami poczuł ostry zapach. Jakże nienawidził tej gryzącej woni chemikaliów zabijających zarodniki grzybów dominujących nad podniecającym zapachem książek! Dotarłszy do czarnych drzwi, kardynał włożył klucz w zamek.

W chwili kiedy otwierał drzwi, miał wrażenie, jakby wewnątrz zgasł nagle promyk bladego światła. Kardynał szybko jednak porzucił tę myśl. To nie mogła być prawda. Zamknął więc drzwi za sobą i oświetlając drogę latarką poszedł w stronę stalowej szafy, która ukrywała w swoim wnętrzu tajne dokumenty dotyczące florentyńczyka.

Dlaczego, zadawał sobie pytanie Jellinek sortując dokumenty na znane już sobie i takie, które musiał jeszcze przeczytać, dlaczego nie było przeznaczone temu artyście zostać wielkim? Ze wszystkich jego listów przemawiała zawziętość, troski, kłopoty, strapienia i przygnębienie; wydawało się niemal, iż Michelangelo urodził się po to, aby życie spędzić w nieszczęściu – wszędzie *taedium vitae**. Bez przerwy towarzyszyli mu oszuści, intryganci i wrogowie, Michelangelo czuł się nawet niekiedy prześladowany przez skrytobójców, cierpiał apokaliptyczne lęki. Jeżeli nawet nie dręczyli go inni, to dręczył sam siebie, deliberując nad metafizycznym sensem życia i wymaginowanymi tęsknotami. Przez całe życie skazany był na wieczne przygnębienie i smutek. Czyżby to właśnie ta bagnista gleba była pożywką dla jego sztuki? Czy trzeba być niewolnikiem, aby móc smakować słodycz wolności? Niewidomym, by docenić wzrok? Głuchym, by słyszeć?

Z dossier nieznanego autorstwa, dotyczącego osiemdziesięcioletniego Michelangela, który został tymczasem budowniczym bazyliki św. Piotra: „...stary ślini się i okazuje objawy infantylnizmu. Zapewne najwyższy już czas, aby zwolnić florentyńczyka z jego urzędu, jest bowiem wątpliwym, czy będzie w stanie nadać kształt temu, co wyraził na papierze. M. uskarża się na dostawy złego wapienia, które, o ile nie są wytworem jego wrzącej gniewem fantazji, należy zapisać na konto Nanii Biggiego, budowniczego, młodego jeszcze w latach, który już od dawna ma nadzieję zająć miejsce florentyńczyka. Bez względu na prawdę kłótnia ta może tylko zaszkodzić budowli, dlatego też godzi się, żeby Biggio zajął jego miejsce”.

Pomiędzy kartami dossier znajdował się sonet pisany własną ręką Michelangela, który nigdy nie dotarł do adresata, dobitność i niezrozumiałe słowa u schyłku życia, jednakże każdy pergamin może zawierać decydującą wskazówkę. Jellinek czytał zacinając się:

* odraza do życia

*Tu na najdalszym krańcu oceanu życia
Zbyt późno się uczę, o świecie, poznawać treść
Twych radości. Tak jak ty, pokój którego nie
Umiesz zapewnić, obiecujesz i ów
Spokój istnienia, co umiera już przed narodzeniem.*

*Z trwogą oglądam się wstecz, dziś, gdy niebios
nadają kres mym dniom, bezustannie
Mam przed oczyma ową dawną, słodką utudę,
Która temu, co ją pojął, niszczy duszę.*

*Sam dziś jestem tego dowodem: tego tylko
Tam w górze szczęśny czeka los, kto od narodzin
Najkrótszą drogą skłaniał się ku śmierci.*

Nie, trudno byłoby te myśli nazwać chrześcijańskimi, przypominały one raczej poezję Sofoklesa, według której nienarodzeni są najmądrzejszymi ludźmi na świecie. Jakież to słodki błąd zniszczył duszę Michelangela?

Z *breve** niejakiego Carlo, sługusa Świętej Inkwizycji: „M. staje się podejrzanym, nocną porą bowiem, nie usiłując swego występku zatuszować nawet w biały dzień, odwiedza domy na przedmieściu, zamieszkiwane przez kacerzy i kabalistów, i omijane przez każdego porządnego chrześcijanina: *Confutatis maledictis, flammis acribus addictis* .”

Michelangelo kabalistą, wyznawcą żydowskiej wiedzy tajemnej? Mimo iż brzmiało to tak nieprawdopodobnie, niektóre poszlaki wskazywały na tę możliwość. Dlaczego florentyńczyk na krótko przed śmiercią spalił wszystkie rysunki i szkice? Dlaczego? Potwierdzało to zeznanie jednego z lekarzy. Co jednak znajdowało się w zapieczętowanej drewnianej skrzyni, którą otwarli po śmierci florentyńczyka jego przyjaciele, Daniele da Volterra i Tommaso Cavalieri? Czy skrzynia ta zawierała w rzeczywistości tylko 8 000 skudów, jak twierdzili Volterra i Tommaso? A może obaj przyjaciele znaleźli w niej jakiś tajemniczy dokument i ukryli go w nieznanym miejscu? Dlaczego Michelangelo nie chciał być pochowany w Rzymie, w którym spędził ostatnie trzydzieści lat swego życia i osiągnął największe sukcesy jako artysta?

Odpis listu jego lekarza, Gherardo Fidelissimiego z Pistoii, do księcia Florencji: „Dzisiaj wieczór odszedł do lepszego życia doskonały i w istocie rzeczy nie mający sobie równego jako cud natury, messer Michelangelo Buonarroti, a ponieważ leczyłem go wraz z innymi lekarzami w ostatniej chorobie, usłyszałem wypowiedziane przez niego życzenie, aby jego

* list

* obelgami zmuszał do milczenia, podpalania, przywłaszczał cudze dobra

ciało przewieźć do Florencji. Poza tym, ponieważ nie był obecny żaden z jego krewnych i umarł bez testamentu, pozwałam sobie Wam, Wasza Ekszelencjo, wiedząc o tym, jak Wasza Ekszelencja ceniła jego rzadkie cnoty, przekazać wiadomość o tym, aby życzenie zmarłego mogło być spełnione i jego piękne rodzinne miasto doznało większej chwały, grzebiąc szczątki największego człowieka, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat. – Rzym, 13 lutego 1564, Gherardo, dzięki łasce i wyrozumiałości Waszej Ekszelencji doktor medycyny”.

Dlaczego, *Domine Deus*, te wszystkie listy, kopie i dossiers przechowywane są w Tajnym Archiwum Watykanu? Po co w ogóle przechowywano listy malarza, zakładano dossiers? Jeżeli w ogóle, to istniało tylko jedno wytłumaczenie: boski Michelangelo, artysta który jak nikt inny swoją sztuką oświetlił powagę Świętego Kościoła, był podejrzany o herezję, po jego śmierci zaś podejrzenie to zostało zapewne potwierdzone w jakiś sposób, samo podejrzenie bowiem nie wystarczyłoby raczej, aby zatrzymać całą dokumentację w Tajnym Archiwum.

Zagłębiając w tych ponurych myślach, kardynał Jellinek w świetle swojej lampy oglądał dokument za dokumentem. Jeden z pergaminów wysliznął mu się z palców i spadł na podłogę. Kardynał schylił się, by podnieść list i kiedy to robił, światło trzymanej w lewej ręce latarki padło na dolną, pustą półkę jednego z regałów, tak że można było przez nią spojrzeć na drugą stronę. *Deus Sabaoth*, to niemożliwe, to nie może być prawda! Po drugiej stronie regału Jellinek zobaczył dwa buty. Przez moment myślał, że się myli, mając przez chwilę nadzieję, iż ulega złudzeniu w pełnej niepokojącej duszności atmosferze Tajnego Archiwum. Ale tej nadziei starczyło jedynie do momentu, gdy zobaczył, jak nagle oba buty zaczęły się oddalać na czubkach palców. Jellinek zamienił się, podobnie do żony Lota, w słup soli w chwili, kiedy to Pan spuścił na Sodomę i Gomorę ognisty, pełen siarki deszcz.

– Stać! – zawołał wzburzony. – Kto tam jest? – dorzucił świecąc latarką w ciemność. Obszedł regał dookoła, do miejsca, w którym widział buty, oświetlił szereg *buste*, jednakże szeroki promień latarki był za słaby, by dotrzeć do znajdujących się z tyłu zakamarków. Ostrożnie więc, stawiając nogę za nogą, aby nie spowodować hałasu, skradał się wzdłuż regału.

– Kto tam? – zawołał raz jeszcze, bardziej chyba po to, aby dodać sobie odwagi, aniżeli w nadziei otrzymania odpowiedzi. – Kto tam? Jest tam kto?

Jellinek przestraszył się; było to uczucie, jakiego do tej pory nie znał, a które jednak obudziło się w nim w tym momencie z powodu obcości i niesamowitości sytuacji. Gwałtownym ruchem kardynał obrócił się z lampą do tyłu, oświetlając miejsce, z którego przyszedł. Plama światła zatańczyła niespokojnie. Pojedyncze *buste* rzucały długie cienie na ściany i sufit, które dzięki temu obudziły się do życia. Niektóre z cieni miały kształt potężnych łap, przypominały potwory chcące go schwytać. Być może widok butów lub też duszne powietrze wypełniające to pozbawione okien pomieszczenie spowodowało, że nagle usłyszał głosy, przekrzykujące się najpierw chaotycznie, a potem mówiące już czystym

tonem:

– Co widzisz, Jeremiaszu?

– Widzę gałązkę drzewa migdałowego – odpowiedział, jakby nie widząc w tym nic dziwnego Jellinek.

– Dobrze widziałeś, gdyż czuwam nad moim słowem, aby je wypełnić – powiedział głos.

Po chwili obcy głos zahuczał raz jeszcze:

– Co widzisz?

– Widzę rozpalony kocioł, z którego wrzątek wylewa się od północy – odparł kardynał z chwiejącą się głową.

– Z północy leje się nieszczęście na wszystkich mieszkańców kraju – mówił dalej głos. – Bo to Ja przywołam wszystkie ludy królestw północy, i przyjdą, i każdy ustawi tron swój u wejścia do bram Jeruzalem. Wtedy wypowiem na nich swoje wyroki z powodu wszystkich ich złości, że mnie opuścili, kadzili obcym bogom i oddawali pokłon dziełu rąk swoich. Oto Ja czynię cię dziś miastem warownym i słupem żelaznym, i murem spiżowym przeciwko całemu krajowi, przeciwko królom judzkim, jego książętom, jego kapłanom i pospólstwu!

Jeszcze kiedy wsłuchiwał się w te natarczywe słowa, które jak w upojeniu dochodziły doń hucząc z ciemności, kardynałowi wydawało się, że widzi w najbardziej oddalonym kącie sali promień światła.

– Kto tam? Jest tam kto? – powtórzył swoim ciągle jeszcze trwożliwie brzmiącym głosem. Ale już w sekundę później wydał z siebie okrzyk strachu, jakby ten, z którym dzielił ciemną samotność tego pomieszczenia, nagle pociągnął go za rękaw.

Kardynał obrócił latarkę w bok i zobaczył przyczynę swego przerażenia: niechcący dotknął krawędzi jednego z wystających z regału foliałów. I podobnie do światła lampy prześlizgującego się po grzbietach ksiąg, w ciemności zapłonęły przed jego oczyma, jak znak ostrzegający przed niebezpieczeństwem, wytłaczane złotem litery, układające się w słowa:

LIBER HEREMIAS – Księga Jeremiasza.

Kardynał przeżegnał się. Promień światła za regałami był ciągle nieruchomy. Przez chwilę Jellinek zastanawiał się, czy po prostu nie uciec, pozostawić za sobą tę tajemnicę i co to w ogóle zmieni, jeżeli dalej będzie tak postępował, ale potem doszedł do wniosku, iż w istocie tego zagadkowego, niezwykłego zjawiska może być ukryte rozwiązanie całego nieszczęścia i że być może ten drugi myśli tak samo. Tak więc skradał się dalej, zbliżając do światła na odległość jednego regału. I kiedy ostrożnie, trzymając lampę skierowaną do tyłu, zajrzał za półkę z dokumentami, nie zobaczył nic poza leżącą na ziemi i skierowaną ku sufitowi zapaloną latarką. Po chwili zaś usłyszał jeszcze głośny trzask dobiegający z przeciwnego kierunku: ktoś z hałasem zatrzaskał drzwi prowadzące do Tajnego Archiwum. Za moment dobiegł go jeszcze zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Kardynał podniósł latarkę i podszedłszy do drzwi stwierdził, iż są zamknięte. Teraz wiedział już, że Tajne Archiwum było o wiele mniej tajne, aniżeli sądził.

Jellinek otworzył drzwi i kaszląc zwrócił na siebie uwagę. Natychmiast podbiegł do niego ten sam *scrittore*, który przedtem wpuścił go do archiwum.

– Czy widział brat kogoś? – zapytał kardynał, starając się, aby jego głos brzmiał obojętnie.

– Kiedy? – odpowiedział pytaniem *scrittore*.

– Przed chwilą.

– Ostatni gość wyszedł przed dwoma godzinami – potrząsnął głową *scrittore*. – Był to zakonnik z Collegium Teutonicum. Zapisał swoje nazwisko w książce wejść.

– A w Tajnym Archiwum?

– *Eminenza!* – odparł oburzony *scrittore*, jak gdyby zgrzeszył już samą myślą o takim przestępstwie.

– Czy nie słyszał brat, jak ktoś zamyka drzwi do Tajnego Archiwum?

– Oczywiście, przecież wiedziałem, że ksiądz tam jest, *Eminenza!*

– Dobrze już, dobrze – powiedział kardynał Jellinek i postawił obie lampy na swoim miejscu. – Aha, czy może mi brat powiedzieć, ile lamp jest przeznaczonych dla Tajnego Archiwum?

– Dwie – odparł *scrittore* – dla każdego, kto ma do niego dostęp: jedna dla Jego Świątobliwości i druga dla Waszej *Eminencji*.

– Dobrze już, dobrze – powtórzył Jellinek. – A kiedy widział brat tutaj po raz ostatni Jego Świątobliwość albo kardynała Sekretarza Stanu?

– Och, dawno, bardzo dawno ich nie widziałem, *Eminenza*. Nie potrafię sobie nawet tego przypomnieć – powiedział *scrittore*, schylając się jednocześnie, by podnieść z podłogi kawałek zwiniętego pergaminu, i dodał: – Wasza *Eminencja* coś zgubił!

– Ja? – Jellinek wpatrywał się w pergamin, o którym wiedział, że na pewno nie należał do niego. Szybko jednak opanował się i powiedział: – Proszę mi go podać. Dziękuję bratu.

Scrittore skłonił się uprzejmie i wycofał w głąb archiwum. Jellinek usiadł przy jednym ze stojących na uboczu stołów i upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, rozwinął przed sobą pergamin. Był to dokument opatrzony podpisem papieża Hadriana VI. Nieznajomy intruz musiał go zgubić podczas ucieczki.

Kardynał Jellinek zaczął czytać łaciński tekst, połykając chciwie jego słowa: „Z troską i smutkiem przyglądamy się, my z Łaski Bożej Zastępca Chrystusa na Ziemi, Adriano Sesto Papa, nabrzmiewającej chorobie Kościoła dotykającej jego głowy i członków. Ku własnej korzyści nadużywane są Najświętsze Rzeczy, a przykazania Kościoła Świętego, Matki Naszej, wydają się nie służyć niczemu innemu, poza ich gwałceniem. Nawet kardynałowie i prałaci Kurii zboczyli ze słusznej drogi i jak się wydaje, dla kleru niższego stopnia stali się przykładem grzechu zamiast pobożności. Z tych i innych powodów, jakie zainteresowani poznali moje orędzie, postanowiłem dokonać reformy Kurii...” W tym miejscu dokument urywał się.

Tekst ten był prawdopodobnie projektem bulli, której papież Hadrian VI jednakże nigdy nie ogłosił, szkicem, jaki znalazł swój przypadkowy albo gwałtowny koniec jeszcze przed opublikowaniem. Papież Hadrian, ostatni z nie będących Włochami papieży na przeciąg następnych czterech i pół stuleci, zmarł we wrześniu 1523 roku po kilku zaledwie miesiącach rządów i został otruty – przynajmniej tak się mówi – przez swego lekarza. Jellinek zaczął się zastanawiać, jaki związek mógł istnieć pomiędzy tajemniczym intruzem w Tajnym Archiwum a tym pergaminem. Czy w ogóle istniało jakieś powiązanie, a może dzieją się tu rzeczy, o których nie ma nawet najmniejszego pojęcia? W końcu wsunął pergamin na piersi pomiędzy guziki sutanny i wstał.

Tym razem kardynał wybrał okreśną drogę powrotną poprzez Sala di merce, aby zobaczyć, czy monsignore wykonał następny ruch na szachownicy. Jak sądził, był to najlepszy sposób, aby znaleźć chwilę czasu na zastanowienie, jego mózg bowiem ciągle dręczyła myśl o tym, co się właściwie dzieje. Jaką tajemnicę usiłuje się tu ukryć, kto próbuje kogo zdemaskować?

Pojedynek na bezcennej szachownicy w Sala di merce rozwinął się bez udziału kardynała w partię hiszpańską. Jellinek otworzył przesuwając piona z e2 na e4, monsignore Stickler odpowiedział przesuwając także pionek z e7 – e5, goniec Jellinka przeszedł z g1 – f3, na co skoczek Sticklera również przesunął się z b8 – c6. W odpowiedzi na ten ruch kardynał posłał swego laufra z f1 na b5. To posunięcie było powodem długiego namysłu Sticklera. I nic dziwnego; symetryczna odpowiedź, czyli goniec na b4, nie była w tej sytuacji posunięciem najlepszym; ponieważ na c3 nie stał jeszcze żaden laufer, Jellinek mógł go zmusić do ucieczki przesuwając swego piona na c3. Nad tym należało się dobrze zastanowić. Stickler odpowiedział po niecałych dwóch tygodniach, stawiając swego piona na a6. Potem obaj gracze przyśpieszyli partię, gdy w 12 posunięciu Jellinek przestawił swego białego skoczka z f3 na g5. Ten atak musiał zaskoczyć Sticklera, który już od wielu dni ociągał się z odpowiedzią.

Tej nocy Jellinek długo nie mógł zasnąć, a potem miał lekki, niespokojny sen. Wbrew swoim przyzwyczajeniom poszedł późno do łóżka, ale wizyta tajemniczego gościa w Tajnym Archiwum ciągle nie dawała mu spokoju. Kto oprócz niego mógł się interesować zbiorami? Jakie znaczenie miał pergamin papieża Hadriana? Kardynał pogrążony w półśnie po stokroć rozpatrywał różne możliwości, przypominał sobie nazwiska wszystkich członków Kurii i za każdym razem nie mógł znaleźć żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Około północy wstał z łóżka i włożył szkarłatny szlafroki z wsuniętymi w kieszenie rękami zaczął spacerować po sypialni. Naprzeciwko jego okna znajdowała się stacja benzynowa, która kończyła swą pracę o północy. Jej właściciel wsiadł gwizdząc na rower i zniknął w ciemnościach. W stojącej na chodniku budce telefonicznej rozmawiał przez telefon jakiś mężczyzna o poważnej twarzy, który po chwili roześmiał się krótko i skończywszy rozmowę wyszedł z budki, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku wejścia do Palazzo Chigi. Jellinek otworzył okno,

wychylił się na zewnątrz i zobaczył w świetle mocnych ulicznych latarni, jak mężczyzna zniknął w bramie budynku. Kardynał często już widywał mężczyzn, którzy telefonowali z budki naprzeciwko jego okna, a potem znikali w bramie domu, w którym mieszkał. W końcu podszedł do drzwi wejściowych i zaczął nadłuchiwać odgłosów dochodzących z klatki schodowej. Usłyszał czyjeś kroki, które zatrzymały się na parterze przed drzwiami mieszkania dozorca.

Jellinek zamknął na chwilę oczy i usiłował wyobrazić sobie, iż Tomasz z Akwinu, Spinoza, Augustyn, Ambroży Hieronim, Atanazjusz czy Bazylisz, czyli wszyscy, którzy odznaczyli się prawdziwą wiarą w naukę Kościoła i świętym życiem, pozostawili po sobie tajemne pisma, sporządzone w duchowym zaćmieniu umysłu ostatnich dni swego życia, w którym stworzyli fatalne teorie wiary o szczególnej teologicznej wartości dowodowej. Mogłyby mieć one w konsekwencji nieszczęsne skutki dla Kościoła. Ale już w następnej chwili kardynał uderzył się w piersi z powodu tej przeklętej myśli i zaczął gorączkowo szeptać: – *Libera me, Domine, de morte aeterna in die illa tremenda, quando coeli movendi sunt et terra* *.

Modląc się, Jellinek usłyszał śmiech dochodzący z klatki schodowej. Giovanna!

* uwolnij mnie, Panie, od wiecznej śmierci w owym strasznym dniu, w którym nieba muszą być poruszone i ziemia

12. W Środę Popielcową

W Środę Popielcową wydarzyło się to, co od dawna wydawało się nieuniknione. Komunistyczny dziennik „Uniti” podał na stronie tytułowej informację o tajemniczym odkryciu dokonanym na sykstyńskich freskach.

– Jak to się mogło stać! To nie miało prawa się wydarzyć! Tym się powinna zająć Rota! – wykrzykiwał w najwyższym wzburzeniu, uderzając gazetą w stół Phil Canisius, siedzący w swym równie bezbarwnie, co wykwintnie umeblowanym biurze w Istituto per le Opere Religiose.

W Watykanie, jak donosiła gazeta, panuje wielki niepokój od chwili, kiedy konserwatorzy odkryli na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej tajemniczą inskrypcję Michelangela. Idzie o zagadkowe litery, które są już badane przez ekspertów poszukujących ich wyjaśnienia i które przysparzają Kościołowi sporo kłopotów, gdyż jak wiadomo, Michelangelo nie był zbyt wielkim przyjacielem papieży.

– To była celowa niedyskrecja! – oburzał się w dalszym ciągu Canisius: – To przypadek dla Roty!

– Nic jeszcze nie zostało dowiedzione – uspokajał go Sekretarz Stanu, kardynał Giuliano Cascone, który pojawił się u Canisiusa jak zawsze w towarzystwie swego pierwszego sekretarza, monsignore Raneriego. – Jeszcze nie wiemy, kto jest tą czarną owcą.

– Przysięgam na Boga i życie mojej matki staruszki – zawołał professore Gabriel Manning – że nie mam z tym nic wspólnego!

Także i dyrektor generalny Dyrekcji Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich, professore Antonio Pavanetto, złożył uroczystą przysięgę, iż nic nie wiedział o tej publikacji. Wezwany pośpiesznie professore Ricardo Parenti zaklinał się nawet, że prędzej odgryzłby sobie język, aniżeli zdradził cokolwiek choćby słówkiem, zanim nie zostanie wyjaśniona treść inskrypcji.

– Chcę mówić z wami szczerze – zapewnił uroczyście Canisius. – Jest mi całkowicie obojętne, jakiego rodzaju obelgi rzucił na Kościół i Kurię Michelangelo; wyjaśnienie tego jest waszą sprawą. Ale tym, co szkodzi mnie, nam i IOR jest niepokój i węszenie w tajnych aktach, bowiem kapitałem naszego banku jest zachowanie absolutnej tajemnicy.

Budynek Istituto per le Opere Religiose, zwany krótko IOR, a znajdujący się u stóp

prywatnych apartamentów papieża, wzniesiono w kształcie wielkiego, łacińskiego D. Jednakże, jak mówiło się w Watykanie, forma ta była zupełnie przypadkowa i nie miała żadnego związku ze skrótem słowa *Diabolo*, diabeł. IOR był bankiem Watykanu i od czasu swego założenia przez papieża Leona XIII podlegał ciągłym przemianom. Instytucja ta ustanowiona została w celu zbierania pieniędzy na potrzeby kościelne, papież Pius XII przyznał mu status Zarządu Kapitałów Watykańskich, dziś zaś IOR funkcjonuje jako dochodowe przedsiębiorstwo, które w przeciwieństwie do innych banków świata ma tę przewagę, że zwolnione jest od podatków, a na podstawie umów laterańskich upoważniono je do tworzenia „kościelnych stowarzyszeń”. Artykuł 11 tego układu chroni władze watykańskie przed jakimkolwiek mieszaniem się państwa włoskiego do spraw wewnętrznych Watykanu, czego skutkiem jest dobra sława, jaką IOR cieszy się wśród ludzi posiadających pieniądze. Phil Canisius, doktor prawa kanonicznego i szef całego przedsiębiorstwa, wyjaśnił to w następujący sposób: wchodzi się do Watykanu z walizką pełną pieniędzy i włoskie prawo dewizowe przestaje obowiązywać.

Oburzony Canisius ciągle jeszcze uderzał gazetą o stół, jak gdyby chciał w ten sposób wytrześć z niej artykuł.

– Ten przypadek musi trafić przed Rotę – powtórzył po raz kolejny. – Żądam tego!

Sekretarz Stanu, Guliano Cascone, odpowiedział z równie dużym oburzeniem, że należy winnych pociągnąć do odpowiedzialności, karząc ich najsurowiej, jak nakazuje *Codex Iuris Canonici*^{*}, bowiem wyrządzili Kurii i Świętemu Kościołowi ogromne szkody. Monsignore Raneri przytakiwał kardynałowi, kiwając gwałtownie głową.

– W każdym razie – podzielił stanowisko kardynała Cascone *professore Pavanetto* – wskazany jest pośpiech w znalezieniu rozwiązania, bez względu na sposób, w jaki się tego dokona.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał nieufnie *professore Manning*. – Co to znaczy: bez względu na sposób, w jaki się tego dokona?

– Chcę przez to powiedzieć, iż nie możemy sobie pozwolić na błędzenie w ciemnościach i czekanie, aż nauka znajdzie jakieś wyjaśnienie naszego problemu. Wszyscy wiemy, jakie szkody wyrządziła dyskusja nad autentycznością Całunu Turyńskiego, zanim Kościół, zajmując jednoznaczne stanowisko, nie rozstrzygnął jej swoim autorytetem.

– Matką nauki – odparł spokojnie Manning – jest prawda, a nie pośpiech. Ta publikacja pojawiła się może i nie w porę, ale na moją pracę wpłynęła jedynie na tyle, iż uważam, że ze względu na opinię publiczną należy przeprowadzić jeszcze dokładniejsze badania.

– Mister Manning – Canisius czasami posługiwał się zwrotem „mister”, czego przyczyny należało szukać w jego amerykańskim pochodzeniu – Kuria przekazała panu na pańskie badania znaczną sumę. Wyobrażam sobie, że suma ta została podwojona, gdyby mogło to przyspieszyć pańską pracę, albo gdyby w ciągu kilku następnych dni potrafił pan podać

* Kodeks prawa kanonicznego

przekonujące wyjaśnienie, tak, aby życie wewnątrz Murów Leontyńskich powróciło w swe normalne koryto.

Parenti zachichotał, co wywołało pełne zdziwienia spojrzenia pozostałych.

– Chcecie wiedzieć, dlaczego się śmieję? Otóż ta sytuacja nie jest pozbawiona pewnej komiczności. Chcę przez to powiedzieć, iż jak się wydaje, Bounarrotiemu już się udało spowodować w Kurii chaos i wielkie zamieszanie, i to zanim rozszyfrowano choćby jedną z liter. Aż strach pomyśleć, co będzie, kiedy przemówi cała inskrypcja!

– Chciałbym sprecyzować swoje stanowisko – zaczął znowu Phil Canisius. – W przypadku gdyby pan, *professore* Manning, nie był w stanie rozwiązać tajemnicy napisu w przeciągu jednego tygodnia, Kuria będzie zmuszona posłużyć się radą innych ekspertów.

– Czy to groźba? – Maning zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć w podnieceniu, machając palcem przed twarzą Canisiusa: – Ksiądz nie jest w stanie mnie zastraszyć, Eminenza; jeśli idzie o sprawy nauki, nie dam się przekupić ani szantażować!

– Źle pan to zrozumiał – usiłował go uspokoić kardynał Sekretarz Stanu. – Jesteśmy dalecy od tego, aby wywierać na pana nacisk, *professore*, ale trzeba zrozumieć, że ta wyjątkowa sytuacja zmusza nas do szybkiego działania, o ile chcemy uchronić Kościół od szkód.

– Mija właśnie 480 lat – roześmiał się Parenti, a w jego śmiechu można było wyczuć ironię – kiedy to Michelangelo napisał na sklepieniu coś, o czym nie wiemy, czy zawiera pobożne, czy heretyckie treści. Przez 480 lat napis ten był tam, na górze, i można przyjąć, że przynajmniej przez połowę tego okresu każdy, kto ma oczy, mógł go zobaczyć, a teraz inskrypcja ta ma być rozszyfrowana w ciągu jednego tygodnia. Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem w stanie inaczej się zachować; uważam, że to śmieszne. Pod presją pośpiechu nigdy nie podjąłbym się tego zadania.

– Ależ proszę wreszcie zrozumieć! – zaczął błagać go *professore* Pavanetto, popierany gwałtownym przytakiwaniem monsignore Raneriego – sytuacja staje się dla Kościoła bardzo niebezpieczna.

– A właściwie dlaczego? – zapytał Manning. – Dlaczego wszyscy sądzicie, że za tą kombinacją liter ukrywa się klątwa czy jakaś straszliwa tajemnica? Przecież Michelangelo mógł tam uwiecznić w ten sposób równie dobrze cytat z biblii, fragment z Pisma Świętego.

Cascone podszedł całkiem blisko do Manninga.

– *Professore* – powiedział cicho, prawie szeptem. – Pan nie docenia zła tkwiącego w człowieku. Cały świat jest pełen zła.

Manning, Parenti i Pavanetto zamilkli speszeni. Nieprzyjemną ciszę przerwał dzwonek telefonu.

– *Pronto!* – odezwał się Canisius. – Do ciebie, Eminenza! – powiedział podając słuchawkę Cascone.

– *Pronto!* – zgłosił się niechętnie kardynał, jednakże w mgnieniu oka na jego twarzy

pojawił się wyraz absolutnego przerażenia. Mocno uchwycił słuchawkę drżącymi palcami.

– Zaraz tam przyjdę! – powiedział cicho i odłożył ją na telefon.

Canisius i inni spojrzeli pytająco na Cascone, który tylko potrząsnął głową. Jego twarz była pokryta bladością.

– Złe nowiny? – naciskał Canisius.

Cascone przycisnął obie dłonie do ust. Potem zacinając się powiedział:

– Padre Pio powiesił się w Archiwum Watykańskim – i dodał pośpiesznie: – *Domine Jesus Christe, Rex gloriae, libera animas omnium fidelium defunctorum de poenis inferni et de profundo lacu* * – a potem przeżegnał się trzykrotnie.

Pozostali z obecnych poszli za jego przykładem i odpowiedzieli jak w chorale: – *Libera eas de ore leonis, ne absorbeat eas tartarus ne cadant in obscurum; sed signifer sancus Michael, repraesentet eas in lucem sanctam, quam olim Abrahae promisisti, et semini eius.* *

Padre Pio Segoni wisiał na ramie okiennej w oddalonym zakątku archiwum. Złożył sobie na szyję benedyktyński sznur, którym był opasany i przywiązał go do na wpół otwartego okna. W ten sposób zakończył życie, co stojącym wokół wydało się całkowicie niezrozumiałe.

Kiedy przyszedł Cascone, na miejscu byli już kardynałowie Jellinek i Bellini. Jellinek wszedł na krzesło i miał właśnie zamiar scyzorykiem przeciąć sznur powieszony, ale Cascone powstrzymał go, wskazując na wychodzące z orbit oczy benedyktyna i zwinięty język wystający z otwartych ust.

– Przecież ksiądz widzi, Eminenza – powiedział – że tu się już nic nie da zrobić. Niech ksiądz to pozostawi innym. Lekarza! Professore Montana, gdzie jest professore Montana?

Scrittore, który odkrył zwłoki, odpowiedział, że professore Montana został już zawiadomiony i będzie tu lada moment.

– *Lux aeterna luceat ei, lux aeterna luceat ei...* * – mruczał cicho złożony dłonie Jellinek.

W końcu pojawił się i Montana w towarzystwie dwóch zakonników w bieli. Profesor zbadał puls powieszony, a potem potrząsnął głową i dał obu zakonnikom znak, aby zdjęli zmarłego. Padre Pio złożono na podłodze. W jego nieruchomym wzroku było coś dzikiego. Montana zamknął usta i oczy zmarłemu i zaczął przyglądać się ciemnoczerwonym znakom na szyi zakonnika.

– *Exitus. Mortuus est* * – powiedział po chwili spokojnie.

* Panie Jezu Chryste, królu chwały, dusze wszystkich wiernych zmarłych uwolnij od kar piekielnych i od niezmiernych wód

* Uwolnij je (dusze) z paszczy lwa, by nie pochłonię ich tartar (czeluść piekielna), aby nie popadły w zapomnienie; lecz niech św. Michał Archanioł uobecni je w świętej światłości, jaką niegdyś obiecałeś Abrahamowi i jego potomstwu

* wieczne światło niechaj mu świeci

* Odszedł. Umarł.

– Jak to się mogło stać? – zapytał kardynał Bellini. – Przecież był takim zdolnym człowiekiem.

Jellinek skinął potakująco głową.

– Cy potrafisz to wyjaśnić, bracie w Chrystusie? – zwrócił się Cascone do *scrittore*. – Chciałem przez to zapytać, czy ojciec Pio sprawił na tobie wrażenie człowieka pogrążonego w depresji?

Scrittore zaprzeczył, zastrzegając się jednak, iż trudno zajrzeć do wnętrza człowieka. Padre Pio, Panie świeć nad jego duszą, spędzał między regałami archiwum prawie całą dobę. Żaden z archiwistów i *scrittori* nie podejrzewał początkowo niczego, dopóki nie zobaczyli padre Pio dzisiejszego ranka. Zazwyczaj przekraczał próg archiwum o świcie i pojawiał się w którymś z działów biblioteki dopiero około południa. Czasami sprawiał przy tym wrażenie nieobecnego, a zawsze miał przy sobie jakieś notatki i sygnatury, które potem zniknęły w którejś z szuflad albo kieszeni jego habitu. Jednakże padre Pio nigdy nie mówił o celu swoich badań i poszukiwań; był człowiekiem bardzo milczącym. Wszyscy archiwiści i *scrittori* sądzili, iż padre Pio szuka jakichś dokumentów, otrzymałszy tajne polecenie...

– Tajne polecenie?

– Mówiło się, że dotyczyło ono Michelangela i treści inskrypcji na freskach sykstyńskich.

– Kto wydał to polecenie?

– Ja! – odpowiedział kardynał Jellinek.

– Czy były już jakieś wyniki? – chciał się dowiedzieć kardynał Sekretarz Stanu.

– Nie – odparł *scrittore*. – Zadziwiające, że właśnie życie Michelangela było w Watykanie prawie nie udokumentowane. Można by sądzić, iż został on obłożony klątwą, aczkolwiek nawet wtedy byłoby to pewnie lepiej opisane.

– Być może mógłbym to wyjaśnić – wmieszał się Jellinek. Cascone spojrział na kardynała pytająco. – Mógłbym to wyjaśnić, ale *Codex Iuris Canonici* zabrania mi tego, jeżeli Wasza Eminencja rozumie, co mam na myśli.

– Nic nie rozumiem – zagrzmiał kardynał Sekretarza Stanu. – Nie rozumiem nic i obstaruję przy odpowiedzi *ex officio*!

– Wie ksiądz dokładnie, Eminencjo, gdzie kończy się jego władza *ex officio*.

Cascone zamyślił się; wyglądało na to, że w końcu zrozumiał, w czym rzecz.

– Powiedziałeś, bracie – stwierdził odwracając się w stronę *scrittore* – że odnalezione przez padre Pio sygnatury zniknęły w jakichś szufladach i kieszeniach. Czy mógłbyś to bliżej wyjaśnić?

– W zasadzie – zastanowił się *scrittore* – padre Pio przechowywał znalezione przez siebie dokumenty w biurku, jednakże zawsze miał w kieszeni swego habitu jakieś notatki.

Cascone dał znak jednemu z zakonników, aby opróżnił kieszenie zmarłego, drugiemu zaś polecił zbadać zawartość szuflad jego biurka. Zakonnik wyjął z prawej kieszeni białą chusteczkę. W lewej znajdowała się natomiast kartka, na której pośpieszonym, niestarannym

pismem zanotowano: „Nicc. III anno 3 Lib.p.aff.471”.

– Mówi ci to coś, bracie? – zapytał Cascone.

– Wydaje mi się – zaczął się głośno zastanawiać *scrittore* – że idzie w tym przypadku o sygnaturę z *Schedario Garampi*, co oznacza, iż dotyczy ona *buste* z epoki papieża Mikołaja III.

– Proszę dostarczyć te dokumenty tak szybko, jak to tylko możliwe! – rzekł podnieconym głosem kardynał.

– To nie będzie takie proste – odpowiedział *scrittore*.

– Dlaczego nie?

– *Schedario Garampi* nie jest już przechowywane w swojej początkowej formie, to znaczy, otrzymało ono ostatnio jedną lub kilka nowych sygnatur i znajduje się teraz w nowej konkordancji, tak że trudno będzie tak od razu odnaleźć odpowiednią *busta*, nie znając jej historycznego kontekstu albo treści. Ale...

– Ale co?

– Ta sygnatura, jak mi się wydaje, i tak nie będzie zbyt użyteczna w tej sprawie, papież Mikołaj III bowiem zmarł w roku 1280, nie może być więc związany z osobą Michelangela. Tylko padre Augustyn mógłby nam w tej sytuacji pomóc.

– Padre Augustyn jest na emeryturze, i tak też powinno pozostać.

– Eminenza – zaczął kardynał Jellinek, zwracając się do kardynała Sekretarza Stanu. – Z jednej strony naciska książdz, aby znaleźć możliwie szybko rozwiązanie problemu, z drugiej zaś przenosi na emeryturę jedyne go człowieka, który nam może owo rozwiązanie przybliżyć. Nie wiem, co o tym myśleć. Potrzebujemy padre Augustyna.

– Każdy człowiek jest do zastąpienia! – odparł Cascone. – Także i Augustyn.

– To nie ulega wątpliwości, księżę kardynale Sekretarzu Stanu. Pytanie tylko, czy w aktualnej sytuacji Kuria może sobie pozwolić na zrezygnowanie z usług takiego człowieka jak padre Augustyn. Albowiem Archiwum Watykańskie potrzebuje nie tylko człowieka, który opanował technikę archiwizacji, ale przede wszystkim kogoś, kto z wszystkim, co tu jest przechowywane, potrafi się uporać psychicznie – i dodał, patrząc na martwego padre Pio: – Watykan to nie Monte Cassino.

W taki oto sposób zebrani przy zwłokach benedyktyna wdali się w gorącą sprzeczkę, w czasie której Jellinek groził zwolnieniem tempa dochodzenia prowadzonego przez consilium, jeżeli nie uda mu się *ex officio* wycofać z przyjętego polecenia. Kłótnia zakończyła się w końcu przyrzeczeniem Cascone, że sprowadzi z powrotem do archiwum padre Augustyna.

13. We czwartek po Środzie Popielcowej

Publikacja „Unity” zrobiła swoje. W biurze prasowym Watykanu kłębił się tłum dziennikarzy.

- AIFALUBA, co oznacza AIFALUBA?
- Jakie słowa ukrywają się za tym skrótem?
- Kto odkrył inskrypcję? Od jak dawna jest już znana?
- Czy jest herezją i ma być usunięta?
- Dlaczego Watykan dopiero teraz zareagował na to odkrycie?
- O czym Kuria milczy?
- Kto zajmuje się tą sprawą?
- Czy Michelangelo był heretykiem?
- Jeżeli tak, to jakie konsekwencje może wyciągnąć Kuria?
- Czy w historii sztuki zdarzył się już podobny przypadek?

Tego rana kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, przypomniał wszystkim członkom consilium o obowiązku milczenia. Jedynie jemu, zastrzegł się, jako prefektowi Rady do Spraw Publicznych Kościoła, przysługuje prawo udzielania jakichkolwiek informacji, co stanie się też w ciągu kilku następnych dni. Pod naciskiem profesorów, zaklinających Cascone, aby opublikować wszystkie znane do tej pory fakty, w przeciwnym wypadku bowiem należało się obawiać awanturniczych plotek, oraz na skutek uporczywych ostrzeżeń kardynała Jellinka, kardynał Sekretarz Stanu dał się w końcu nakłonić do tego, aby Kuria zaprezentowała swoje oficjalne stanowisko.

Podczas zwołanej konferencji prasowej Cascone przeczytał wyjaśnienie, a na pytania odpowiadał zwrotem: „Bez komentarza”. Dodał też, że kiedy tylko otrzyma wyniki badań, zostaną one podane z tego miejsca do wiadomości publicznej.

Kardynał Joseph Jellinek wykorzystał czwartek następujący po przejmującej liturgii Środy Popielcowej na uporządkowanie swoich myśli. Od siedmiu tygodni błądził w ciemnościach, widząc rozwiązanie odsuwające się dalej niż kiedykolwiek przedtem. Jellinek uświadomił sobie przede wszystkim jasno, że tajemnica ta kryje w sobie jeszcze inne zagadki, a w każdym razie był przekonany, iż za kulisami sykstyńskiej inskrypcji nie ukrywa się

zwykła klątwa rzucona przez udręczonego człowieka, ale szatańskie przedsięwzięcie, mające na celu zaszkodzenie w jakiś sposób Kościołowi i Kurii. Wielokrotnie Jellinek przyglądał się w Kaplicy Sykstyńskiej prorokowi Jeremiaszowi, który w głębokim zwątpieniu wpatrywał się nieruchomo w posadzkę, gdzie gubiły się wszelkie ślady. Po raz kolejny kardynał czytał jego proroctwa z epoki Jojakima i Zidkiasza, a także groźby pod adresem Egipcjan, Filistynów, Moabitów, Ammonitów, Edomitów oraz Elama i wieży Babel. Pionową kreską zaznaczył fragment rozdziału 26, w którym napisano: „Na początku panowania Jojakima, syna Jozjasza, Króla judzkiego, doszło Jeremiasza to słowo Pana: Tak mówi Pan: Stań na podwórzu Świątyni Pana i powiedz do wszystkich miast judzkich, do tych, którzy przychodzą, aby oddać pokłon w świątyni Pana, wszystkie słowa, które poleciłem ci mówić do nich, nic nie ujmując! Może usłuchają i zawrócą, każdy ze swojej złej drogi, a Ja pożałuję Zła, które zamyślam sprowadzić na nich z powodu złych ich uczynków”.

Ale nawet wielokrotne powtarzanie tych wersów nie pomogło w niczym Jellinkowi, wszystko bowiem, czego dowiedział się do tej pory, przekraczało jego zdolności pojmowania, a podejrzenia kierowane w tę czy inną stronę sprowadzały nań straszliwe, grzeszne myśli. Przede wszystkim zaś Jellinek nie wiedział, komu, na Boga, można było w Kurii wierzyć, a kogo powinien traktować z nieufnością. W tych dniach niepewności kardynał po raz pierwszy zwątpił w chrześcijańskie ideały, którymi są miłość bliźniego, wiara i miłosierdzie. Zorientował się, że już same wątpliwości są dla prawdziwego chrześcijanina grzechem, i z dała od wszelkich teologicznych spekulacji spoglądał teraz na ten przypadek innymi oczami. Jellinek zaczął wątpić w siebie i swój urząd, ale także i w pozostałych członków Kurii, którzy zamieszani byli w sykstyńską tajemnicę. Samobójcza śmierć benedyktyna przyprawiła jego zmysły o wielki zamęt. Jak kręgi fal spowodowanych wrzuconym do wody kamieniem, linijki jego brewiarza rozpląwały się, zaś nałożone na siebie pokutne modlitwy ulatniały wraz z myślą, że padre Pio rozwiązał zagadkę i nie potrafił znieść prawdy zawartej w inskrypcji. Także i głębia zawarta w liturgii nie potrafiła oświecić jego duszy i naprowadzić rozumu na drogę prawdy.

W tej chwili starał się uporządkować więc wszystko, co wydarzyło się od momentu zadziwiającego odkrycia, czyniąc to w sposób podobny do gry w szachy, w której pewien system posunięć związany jest tylko z konkretnymi figurami. Te ruchy zakazane są innym, z wyjątkiem jednej, której wolno wszystko. Kardynał był świadom mądrości, jaką skrywały zasady tej prastarej gry, a także tego, iż działalność Kurii również nie jest niczym innym, jak gigantyczną grą w szachy o stałych zasadach, odbiciem życia. Pojął nagle, iż najważniejsza figura nie posiada największej władzy, nie stanowi także największego zagrożenia; tylko współdziałanie wszystkich pozostałych figur oznacza potęgę i niebezpieczeństwo.

Jako prefekt Kongregacji Wiary, zajmującej się nowymi ideami i błędnymi koncepcjami, kardynał Jellinek wiedział doskonale, że Kościół katolicki posiada wiele odsłoniętych płaszczyzn, które może zaatakować przeciwnik, jednakże najwięcej obaw budziła

świadomość braku wiedzy o owym nieznanym przeciwniku, którego ruchy trudno było przewidzieć.

Jellinek czuł się fatalnie, bolał go żołądek. Położył się więc na czerwonej sofie w salonie i zamknął oczy. Jak to możliwe, że liczący 480 lat napis mógł do tego stopnia zaniepokoić Kurie, iż cieszący się najwyższym autorytetem mężczyźni zachowywali się jak szaleńcy i wszędzie zapanowała nieufność, lęk, jaki napawał nieświadomych wobec tych, którzy znali prawdę?

Nagle pojawił mu się przed oczyma dzień, w którym po raz pierwszy w życiu poczuł smak wiedzy. Jej uosobieniem były dla Jellinka przez całe życie książki, ich zbiory, biblioteki i archiwa. Tak, widział przed oczyma jasno i wyraźnie ten dzień, kiedy nie mając jeszcze całych dziewięciu lat po raz pierwszy wszedł do biblioteki. Jego rodzice wysłali swego najstarszego syna z prowincji do wielkiego miasta, do obcych ludzi; mimo iż byli to wujek i ciotka, pozostali oni dla niego także i w ciągu następnych lat tylko obcymi ludźmi.

Joseph pochodził z prowincji, małej wioski o kilkunastu zagrodach. Najmniejsza, najbardziej niepozorna należała do Jellinków, którzy musieli ciężko pracować. Ta praca nie została oszczędzona również i dzieciom, których było czworo, a przede wszystkim najstarszemu z nich, Josephowi. Błędem byłoby jednak nazywać jego dzieciństwo nieszczęśliwym. Było ono tak szczęśliwe jak może być szczęśliwe życie dziecka nie mającego potrzeb i nie znającego życzeń. Rytm jego życia określały upływające pory roku; jego miłymi akcentami były niedziele. W niedziele Jellinkowie szli w swych najlepszych ubraniach do kościoła w sąsiedniej wsi, a potem do gospody, gdzie ojciec wypijał jedno piwo, matka wraz z dziećmi zaś mogła sobie zamówić dwie lemoniady. Z tego właśnie powodu wszystkie niedziele były dla Josepha czymś szczególnym. Proboszcz, organy i gospoda wywoływały u niego wzniosłe uczucia, nieporównywalne z niczym innym. Później, kiedy był już księdzem, jego matka opowiadała, iż kiedyś, gdy zaledwie zaczął chodzić do szkoły, zapytał ją z absolutnie poważną miną, dlaczego niedziela nie może być codziennie.

Dalekie miasto, jakie znał jedynie z rzadkich wizyt z matką, było dla niego zawsze uosobieniem rzeczy nieznanych, wątpliwych i uwodzicielskich. Aby się do niego dostać, trzeba było po półgodzinnym marszu polną drogą wsiąść do jednotorowej kolejki, której szyny służyły wiejskim dzieciom tylko do tego, aby układać na nich fenigi, rozwalcowywane potem przez koła pociągu. Któregoś dnia wypróbował tę sztukę z monetą pięciofenigową, uzyskując w ten sposób wyraźnie większy krążek od swoich przyjaciół. Otrzymał za to także i lanie, kiedy dowiedział się o tym ojciec. Ten bowiem był zdania, że człowiek musi mieć szacunek dla pieniądza, który nie jest stworzony po to, aby go zgniatać; na niego trzeba ciężko pracować.

Joseph z nieufnością spoglądał na życie w mieście; było ono dla niego jakby nienaturalne. Wszystko tłoczyło się tam niemiłosiernie: domy, sklepy, samochody i ludzie. A przy tym w całej swej konstrukcji psychicznej był raczej człowiekiem miasta aniżeli wsi. Nie był zbyt

silny, nie miał czerwonych policzków i owej dzikości, jakiej oczekuje się od wiejskich parobków. Nie, Joseph – był drobny, prawie chudy, miał bladą, jasną skórę i podobny był raczej do matki, która wyglądała tak samo jak i on. Być może to właśnie dzięki temu między matką a najstarszym synem istniała taka szczególna sympatia. Matka bowiem pochodziła z miasta.

Aż do chwili pójścia do szkoły Joseph Jellinek niczym nie różnił się od pozostałych dzieci we wsi. Sytuacja ta zmieniła się wraz z rozpoczęciem nauki. Szkoła znajdowała się w sąsiedniej wsi. Wtedy nie było jeszcze autobusów szkolnych, które odwoziłyby dzieci, a nawet gdyby takowy istniał, nie byłoby z niego wielkiego pożytku, jako iż bita, dwupasmowa droga nie nadawała się dla tego rodzaju pojazdów. Jednakże nie to było najbardziej godne uwagi, jeśli idzie o szkolne czasy Josepha; był nim pewnie nadzwyczajny talent, jaki posiadał. W szkole znajdowały się tylko dwa pomieszczenia do nauki, jedno dla klas od pierwszej do czwartej i drugie, dla klas od piątej do ósmej. Chłopiec z zamiłowaniem przysłuchiwał się lekcjom klas wyższych; wkrótce stał się lepszy od pozostałych kolegów i przeskoczył drugą klasę. Na końcu trzeciej nauczycielka poprosiła jego rodziców do szkoły i przeprowadziła z nimi poważną rozmowę. Przez następne wieczory Joseph słyszał, jak rodzice długo naradzali się ze sobą. Potem matka powiedziała mu, że zdecydowali się go wysłać do gimnazjum, aby wyrósł na człowieka. Mieszkać będzie u kuzynki, która wyszła za mąż za profesora.

Profesor, filolog klasyczny, nosił siwą, szpiczastą bródkę, okulary w nikielowej oprawie i władał wielkomięskim gospodarstwem, do którego należała również tęga kucharka i czupurna pokojówka. Pani domu, kuzynka matki, była elegancko blada, chłodna w obejściu i już na samym początku objaśniła mu porządek panujący w domu. Porządek ów dotyczył także stałych pór posiłków, z czym Joseph do tej pory nigdy nie miał do czynienia. Co prawda Joseph dysponował znajdującym się na poddaszu własnym małym pokojem, ale brakowało mu przytulnej rodzinnej atmosfery. Wielki, dostojny dom, nieznani, eleganccy ludzie, nowe wrażenia, wszystko to działało na niego podniecająco. Przed wszystkim zaś fascynowało go jedno z pomieszczeń, w którym czuł się wkrótce jak u siebie. Nikt nie zabraniał mu do niego wstępu. Tym pomieszczeniem była domowa biblioteka, wypełniona od podłogi po wysoki, pokryty sztukateriami sufit książkami o brązowych, czerwonych i złotych grzbietach. Było to pomieszczenie, w którym mógł puszczać wodze swojej fantazji, gdzie udawał się na wyprawy w dalekie kraje; mógł tam marzyć. Młody Jellinek odwiedzał bibliotekę zwłaszcza wieczorami, nawiasem mówiąc ku wielkiej radości profesora, i właśnie tutaj po raz pierwszy poczuł i polubił ów zapach, woń butwiejącego starego papieru i wyprawionej skóry, zapach nieskończonej wiedzy uwięzionej pomiędzy stronami, które należało tylko przeczytać, aby ją sobie przyswoić.

Znalazł się w tej bibliotece również i tego dnia, kiedy pod koniec wojny szukał schronienia. Tam dotarła do niego wiadomość o śmierci matki. Jedyne pocieszenie znalazł wtedy w księdze wszystkich ksiąg, wielkim, oprawnym w wytłaczaną złotem skórę foliale,

który zawsze tak chętnie brał do ręki, w prostym wyznaniu apostoła Pawła zawartym w jego Pierwszym Liście do Koryntian:

„A przypominam wam, bracia, ewangelię, którą wam zwiastowałem... I przez którą zbawieni będziecie, jeśli tylko zachowacie ją tak, jak wam ją zwiastowałem...

Najpierw bowiem podałem wam to, co i ja przejąłem, że Chrystus umarł za grzechy nasze według Pism i że został pochowany. I że trzeciego dnia z martwych wzbudzony został według Pism...”

Być może był to właśnie ten moment, w którym postanowił zostać księdzem.

Kardynał przestudiował już wiele tysięcy książek, po większej części dla swojej własnej przyjemności; reszta była wypełnianiem obowiązku. A mimo to cała jego wiedza nie była wystarczająca, nie wystarczająca do rozwiązania zagadki, która tak sprytnie została wpleciona w historię, że on i inne mądre głowy w Watykanie musiały przed nią skapitulować.

14. Przed pierwszą niedzielą Wielkiego Postu

Aby lepiej pojąć bieg rzeczy, musimy opuścić Rzym i udać się do jednego z tych klasztorów, w których milczenie jest najwyższą cnotą. Pośród zakonników tego klasztoru żył wykształcony, pobożny człowiek, którego nazywano bratem Benno. Brat Benno miał nabrzmiałą, uzbrojoną w okulary twarz i trudno sobie wyobrazić, że była ona kiedyś młoda. Jego pełne nazwisko brzmiało dr Hans Hausmann, ale nikt jeszcze nie zwrócił się tu tak do niego; w tym położonym na prowincji klasztorze konfratrowie w ogóle go nie znali. Brat Benno zaliczał się do owego gatunku zakonników, o których w klasztorach mówi się, iż późno poczuli powołanie; ich duchowne życie poprzedzone było wykształceniem i wykonywaniem świeckiego zawodu. Brat Benno był z wykształcenia historykiem sztuki. Zanim po zakończeniu ostatniej wojny nagle i nieoczekiwanie wstąpił do klasztoru, właśnie tego, o którym jest teraz mowa, główną treścią jego życia był włoski renesans. Od tego czasu ten przedtem raczej wesoły, tryskający życiem naukowiec, uważany był za powściągliwego, zamkniętego w sobie i czasami dziwnego człowieka. Unikał i tak rzadkich kontaktów z pozostałymi zakonnikami, wyróżniając się przede wszystkim swoim milczeniem. Jeżeli powiedział coś, co zdarzało się nad wyraz rzadko, to było to dla wszystkich pozostałych mieszkańców klasztoru powodem do wsłuchiwania się, a potem długiego zastanawiania nad jego słowami.

Podczas gdy zakonnicy w czasie spaceru po klasztorowym ogrodzie, trwającym w niedzielę całą godzinę, opowiadali sobie często o życiu, jakie wiedli przed wstąpieniem do klasztoru, swojej młodości i dzieciństwie, a przede wszystkim o rodzicach, z którymi wiązało ich zazwyczaj głębokie uczucie, brat Benno trzymał się wyraźnie na uboczu. Wiadomo było o nim tylko tyle, że ojciec Benna, zamożny handlarz węglem i spedytor, zapił się na śmierć, kiedy syn miał dziesięć lat, co rodzina, a przede wszystkim matka, piękna, dumna kobieta, przyjęła raczej jako łaskę aniżeli złe zrządzenie losu. Benno kochał jej pańską dumę jak coś ponadnaturalnego, jej władcze, wygięte ku górze czarne brwi i pionowe zmarszczki po obu stronach wąskich ust. Podporządkowanie się, poddanie matce było dla niego potrzebą i rozkoszą zarazem. To właśnie matka namawiała go usilnie, aby zajął się naukami humanistycznymi, które leżały jej więcej na sercu aniżeli handel opalem i tony

przewiezonego ładunku. Przez całe życie Benno dziękował jej za to w pokornym uwielbieniu.

Młody Hausmann ukończył studia we Florencji i Rzymie, mówił płynnie po włosku, co staremu łacinnikowi nie sprawiało większych trudności, i napisał swoją pracę doktorską o Michelangelo. Pewna finansowa niezależność, jaką wyniósł z domu, i niewielkie stypendium w Bibliotheca Hertziana w Rzymie pozwoliły mu na beztrudne prowadzenie pracy w swoim zawodzie i zapewne Benno zostałby znanym historykiem sztuki, jednakże jak zwykle życie okazało się silniejsze od marzeń.

O jego przemianie w zakonnika mowa będzie jeszcze później, na razie możemy zdradzić jedynie tyle, że nie stało się to za przyczyną owej niepokromionej żądy umartwiania ludzi głęboko wierzących, jaka zazwyczaj cechuje człowieka, który zdecydował się na noszenie habitu.

Tego dnia, o którym mowa, jeden z zakonników po zakończeniu modlitwy przeczytał podczas kolacji kilka wiadomości z gazety, co zdarzało się raz w tygodniu i dla zakonników było na krótką chwilę otwarciem okna na świat. Tego więc dnia, oprócz informacji ze świata polityki i sportu, przeczytano również artykuł, w którym dziennikarz donosił o odkryciu dokonanych na freskach Michelangela. Słuchając tych słów brat Benno zamarł, wypuszczając z ręki łyżkę, którą jadł zupę. Łyżka spadła z brzękiem na kamienną posadzkę pozbawionego wszelkich ozdób refektarza. Siedzący wokół stołu konfratry spojrzeli na niego z dezaprobatą. Brat Benno wyjąkał kilka niezrozumiałych słów przeprosin, pośpiesznie schylił się, by podnieść łyżkę, i nie jedząc już, wsłuchiwał się w słowa czytającego. Jego sąsiad, wysoki, kościsty zakonnik z płomienisto czerwoną skórą na tysej czaszce zauważył, iż tego wieczoru Benno nie wziął już do ust ani jednego kęsa; nie sądził jednak, że istnieje związek między artykułem z gazety i ascezą siedzącego obok brata.

Kiedy jednakże brat Benno odmówił jedzenia również i następnego dnia i tępo patrzył przed siebie, siedząc przy stole z ukrytymi w rękawach habitu dłońmi, chudy zakonnik zdecydował się odezwać do niego.

– Co ci jest, bracie? Nic nie jesz, na twojej twarzy wypisane jest jakieś cierpienie. Może chciałbyś mi się zwierzyć?

– Nie czuję się zbyt dobrze – skłamał brat Benno, nie patrząc na pytającego i potrzęsając jedynie głową. – To chyba żołądek albo woreczek żółciowy, bracie. Za kilka dni będę czuł się lepiej, nie powinieneś się o mnie niepokoić – a potem znowu milczał przez cały posiłek, odmawiając jakiegokolwiek pożywienia.

Zazwyczaj to pokusa lub grzech nakazuje zakonnikom milczeć lub pościć całymi dniami; również i sąsiad brata Benno w tym widział przyczynę milczenia zakonnika i dlatego nie przeszkadzał mu także następnego dnia, cóż bowiem bardziej zaprawia goryczą język aniżeli grzech?

Jednakże po posiłku brat Benno podniósł się w milczeniu i z wszelkimi oznakami

gwałtownego wzburzenia poszedł schodami do swojej celi, leżącej na końcu ciemnego korytarza; była ona jego refugium w nocy i podczas cichych godzin modlitwy. Pomieszczenie to miało trzy metry szerokości i cztery długości, i jedynie znajdujące się w nim okno sprawiało nieco weselsze wrażenie. Monstrualne łoże, skrzynia nie zasługująca na nazwę szafy i komoda, na której zimnej kamiennej płycie stała porcelanowa miska przeznaczona do utrzymywania czystości ciała – tak wyglądało całe umeblowanie, jeżeli nie weźmiemy pod uwagę klęcznika stojącego pod oknem. Rozrzucone na podłodze i poukładane w stosy książki zdradzały, że mieszkańcem celi jest człowiek wykształcony.

Podobnie jak każdego z minionych dni, brat Benno wyciągnął z najwyższej szuflady komody artykuł z gazety. Była to właśnie owa poruszająca informacja o odkryciu w Kaplicy Sykstyńskiej. Zakonnik wyprosił gazetę od jej posiadacza, wyciął artykuł, i teraz zaczął go przeglądać po raz kolejny; przeczytał uważnie każde słowo, a potem włożył z powrotem do szuflady. Pogrążony w głębokiej desperacji rzucił się na klęcznik, złożwszy ręce do modlitwy.

15. W poniedziałek po pierwszej niedzieli Wielkiego Postu

Istniał mimo to człowiek wiedzący więcej od innych, jednakże należał on do tych, którym doświadczenie i rozum nakazywały milczenie. Wiedział więcej, aniżeli mógł wiedzieć jakikolwiek chrześcijanin wyższy rangą, ponieważ połowę swego życia spędził u źródeł wiedzy. Przede wszystkim potrafił jednak milczeć. Milczeć o rzeczach, jakie inni uczynili treścią swego życia, bez względu, czy robili to w pobożnych, czy nikczemnych celach. Był nim padre Augustyn.

Augustyn był dziwnym człowiekiem, człowiekiem, który nie bardzo pasował do czarnego habitu. Jego krótko ostrzyżone siwe, niesformie porastające głowę włosy i pełna zmarszczek twarz znamionowały naturę kleszcza. Można było sobie wyobrazić, iż jeżeli padre zdecyduje się już rozwiązać jakiś problem, to nie popuści. Widać było, że ten, równie niepozorny z wyglądu, co ogarnięty furją pracy, zakonnik zabierze się do niej z energią byka, jeżeli otrzyma takie polecenie. Nieraz już *scritori* znajdowali go rano śpiącego na gołej posadzce z kilkoma śmierzdzącymi *buste* pod głową jako poduszką, droga do klasztoru bowiem wydała mu się zbyt uciążliwa, a poza tym nie opłacało się już wracać do domu o świcie. Przy tym Augustyn Feldmann nigdy nie traktował swojej pracy jako takiej, uważając ją raczej za wypełnienie obowiązków dla chwały Boga, jakie łaskawie zostały na niego nałożone. Pomocą w wypełnianiu tych obowiązków była dla oratorianina fenomenalna pamięć, jaką wytrenował sobie w ciągu trzydziestoletniej działalności do tego stopnia, że umożliwiała mu odnalezienie bez większych kłopotów każdej *buste*, jaką kiedykolwiek miał w ręce. W odróżnieniu od dyrygentów, którym na starość uszy odmawiają posłuszeństwa, Augustyn miał bardzo dobre oczy i nie potrzebował okularów nawet do czytania.

Satysfakcję sprawił mu fakt, że po tragicznej śmierci swego zastępcy potrzebowano go bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Już następnego dnia Augustyn natychmiast zastosował się do wezwania kardynała. Jednakże człowiek, który pojawił się tego dnia w swoim starym miejscu pracy, był już zupełnie kimś innym. Nie przeboleał bowiem jeszcze swego przedwczesnego przeniesienia na emeryturę i był świadom, że po wykonaniu zadania zostanie równie szybko odsunięty od swej ulubionej pracy, jak to się już raz zdarzyło. Cascone bezlitośnie i z wyraźnym chłodem przeszedł do porządku dziennego nad jego błaganiami, iż

nie potrafi żyć bez swoich *buste*. Był wtedy śmiertelnie przerażony, zadał sobie bowiem z całą powagą pytanie, czy za postępowaniem kardynała Sekretarza Stanu nie ukrywa się szatan. W każdym razie Augustyn nie widział w nim ani śladu chrześcijańskich cnót.

Oczywiście padre Augustyn przeczuwał, był nawet tego pewny, dlaczego Cascone tak pośpiesznie pozbawił go urzędu. Jeżeli ktoś przez trzydzieści lat siedzi u źródeł wiedzy, wie wszystko. W regałach znajdowały się dokumenty, które istniały naprawdę, a jednocześnie jakby ich nie było, czyli egzystowały, ale ich egzystencja nie była przyjmowana do wiadomości. Były one obłożone ochronnym zakazem publikacji, który miał zapewnić, iż za życia człowieka, którego one dotyczą, nikt nie będzie o nich wiedział. Istniał tylko jeden chrześcijanin, który znał prawie wszystkie *buste*: padre Augustyn. Cascone znający jedynie małą część tych dokumentów obawiał się, iż w trakcie poszukiwania śladów ktoś odkryje więcej faktów, niż byłoby to miłe Kościołowi i Kurii.

Zemsta oczywiście nie jest chlubą wielkiej duszy, ale czyż Pan nie powiedział Mojżeszowi: „Moją jest zemsta, chcę zadośćuczynienia?”

Jeszcze tego samego dnia kardynał Joseph Jellinek wezwał oratorianina do Świętego Oficjum, w którym sprawował swój urząd siedząc za potężnym, pustym biurkiem. Augustyn niezbyt lubił Jellinka, ale przynajmniej nie żywił do niego nienawiści, tak jak do Casconego.

– Wezwałem ciebie, bracie w Chrystusie – zaczął ceremonialnie kardynał – ponieważ chciałem wyrazić swoją radość z powodu twojego niespodziewanego powrotu. Jesteś na pewno najbardziej uzdolnionym człowiekiem, który kiedykolwiek kierował tym archiwum i tylko ty możesz nam pomóc w rozwiązaniu naszego problemu. Aby być szczerym, muszę powiedzieć, iż nie posunęliśmy się ani na krok do przodu od czasu twojego odejścia.

Augustynowi spodobała się szczerłość kardynała. Chciał zapytać, dlaczego tak nagle odebrano mu jego stanowisko, dlaczego zabrano mu jego *buste*, bez których, o czym każdy wiedział, taki człowiek jak on nie potrafi żyć, ale milczał.

– Jesteś bardzo mądrym człowiekiem – zaczął od nowa kardynał – więc porozmawiajmy teraz całkiem nieoficjalnie, jak mężczyzna z mężczyzną. Gdzie, jak sądzisz, może leżeć rozwiązanie tej tajemnicy? To znaczy, czy masz jakieś konkretne podejrzenia?

– Wszystkie swoje przypuszczenia – odparł Augustyn – przedstawiłem już na consilium. Nie mam żadnych konkretnych podejrzeń. Być może prawda ukryta jest w Tajnym Archiwum, ale ja nie mam do niego wstępu – w słowach oratorianina dźwięczała uraza. – Z drugiej strony...

– Z drugiej strony...?

– Prawdziwe tajemnice nie są ukryte w Tajnym Archiwum, prawdziwe tajemnice są dostępne dla każdego, tylko nikt nie zna ich siedliska, i to właśnie, jak sądzę, jest przyczyną niepokoju i zamieszania, jakie od chwili odkrycia inskrypcji sykstyńskiej panuje w Watykanie. Chcę być szczerzy: w Kurii istnieje tyle zróżnicowanych grup interesów i układów, chyba nie mówię księdzu nic nowego, księżo kardynale, że każda z nich obawia się

swego ujawnienia.

Jellinek bez słowa wyjął z szuflady stary pergamin i podsunął go Augustynowi.

– Znalazłem to pewnego wieczoru na podłodze archiwum; ktoś musiał go zgubić. Czy masz, bracie, pojęcie, kto mógłby być zainteresowany tym dokumentem?

– Znam go – powiedział Augustyn, przeczytawszy kartę.

– Czy może mieć on związek z samobójstwem padre Pio?

– Tego nie potrafię sobie wyobrazić, ale jest pewna osobliwość związana z tym pergaminem. Zalicza się on do tych dokumentów, jakie w archiwum są w bezustannym ruchu!

– Jak mam to rozumieć, bracie w Chrystusie?

– To całkiem proste. Istnieje szereg dokumentów, które zostały przeze mnie włączone do określonych *fondi* i które z tychże *fondi* zniknęły, aby pojawić się w innym miejscu. *Scrittore* przysięgali na wszystkie świętości, że nie mają z tym nic wspólnego. W każdym razie dokument ten zalicza się do grupy tych, które w tajemniczy sposób zmieniają miejsce swego przechowywania. Zna ksiądz chaos panujący w archiwum z jego najróżniejszymi systemami i sygnaturami. Garampi przyporządkował go swego czasu papieżowi Mikołajowi III, ale w tym miejscu nie ma zbyt wiele pergaminów, papież Mikołaj bowiem rządził tylko kilka miesięcy i w konsekwencji nie pozostawił poza nim żadnego innego dokumentu. Z tego powodu włączyłem go do specjalnego *fondo*, do którego lepiej pasował i nie wydawał się tracić na swym znaczeniu. Stworzyłem mianowicie własną kartotekę dla dokumentów czy papieży, którzy zmarli w sposób nagły i panowali jedynie kilka miesięcy, tygodni, niekiedy nawet dni. Od czasu Celestyna IV, wybranego na pierwszym konklawe w roku 1241, było ponad tuzin papieży, którym sądzony był taki los.

– To bardzo dziwny sposób segregacji, bracie w Chrystusie!

– Można to uważać za dziwne, Eminenza, ale odczułem taką potrzebę po niespodziewanej śmierci Gianpaola, podejrzewa się bowiem, iż wszyscy papieże, którzy rządili krótko, zostali zamordowani.

– Dowody na to istnieją tylko w bardzo rzadkich przypadkach, ojcze Augustynie.

– Właśnie dlatego zebrałem razem wszystkie poszlaki. Celestyn zmarł w szesnastcie dni po swoim wyborze, a Gianpaolo rządził trzydzieści trzy dni. Nie chce mi się po prostu wierzyć w takich sytuacjach w zrządzenie boskie.

– Dowody, bracie, dowody!

– Nie jestem kryminologiem, Eminenza, tylko zbieraczem dokumentów.

Kardynał Jellinek mimowolnie machnął ręką, ale Augustyn nie dał się zbić z tropu.

– Aż do dnia dzisiejszego nie jest znane miejsce przechowywania akt, które monsignore Stickler przyniósł Jego Świątobliwości w wieczór poprzedzający jego tajemniczą śmierć. I do dnia dzisiejszego także nie wiadomo, gdzie zniknęły czerwone pantofle i okulary Jego Świątobliwości.

Jellinek wlepił oczy w oratorianina. Czuł, jak po plecach zaczyna mu spływać zimny pot. Zaczął ciężko dyszeć, jak gdyby anioł śmierci zacisnął dłonie na jego szyi.

– A więc... – wyjąkał – ... a więc zaginęły nie tylko dokumenty...

– ... nie, także jego pantofle i okulary, bez względu na znaczenie, jakie ma ten fakt.

– ... bez względu na sens, jaki ma ten fakt – powtórzył w roztargnieniu kardynał.

– Myślę, że nie powiedziałem księdzu zapewne nic nowego, Eminenza? – zapytał nieśmiało oratorianin. – Te fakty są powszechnie znane.

– Tak – pokiwał głową Jellinek – wszystkie są znane, tylko że dziwne.

Jellinek był w paskudnym nastroju; poczuł, że zaczyna się buntować jego żołądek. Spróbował głęboko odetchnąć, ale nie udało mu się. Jego pierś ściśnięta była niewidzialną klamrą. Czyż już sam fakt, że przysłano mu pantofle i okulary, nie świadczył o tym, że Jan Paweł I rzeczywiście został zamordowany? Jeżeli tak, to przez kogo, z jakiej przyczyny i jaki był powód, że grożono mu podobnym losem?

– Nie byłem wtedy jeszcze członkiem Kurii – powiedział Jellinek, jakby chcąc się usprawiedliwić. – Ale jaki może być powód zniknięcia pantofli Jego Świątobliwości?

Kardynała ogarnęła niepewność. Czyżby Augustyn wiedział więcej, niż się do tego przyznawał? Może chciał go wystawić na próbę? Co wiedział ten człowiek uważany za chodzącą encyklopedię?

– Fakt zaginięcia samych dokumentów da się wyjaśnić, Eminenza – odparł Augustyn. – Monsignore Stickler, przekazując je Jego Świątobliwości, mógł znać ich treść. Nie jest to zbyt pochlebne dla Kurii, księżę kardynale. Jan Paweł I był uosobieniem szczerości; wielu określało go potem także jako uosobienie naiwności. Był pobożny, niemal święty, i dążył jedynie do osiągnięcia doskonałości. Dla niego istniało jedynie tylko dobro i zło, i nic pomiędzy. Można powiedzieć, że określenie, iż był naiwny, jest zgodne z prawdą, po prostu bowiem ignorował to, co leżało pomiędzy tymi ekstremami i odzwierciedlało prawdziwe życie. Zapominał, że największe okrucieństwa w historii nie były dziełem szatana, ale dokonywały się w imieniu światopoglądów rzekomo dobrych ludzi. Papież planował wielką reformę Kurii. Gdyby Gianpaolo urzeczywistnił swe zamierzenia, niektórzy członkowie Kurii pozbawieni byłiby dzisiaj swych urzędów i godności. Przyjacieli Waszej Eminencji, monsignore William Stickler, mógłby wymienić ich nazwiska. Zagadką natomiast pozostaje nadal zaginięcie pantofli i okularów Jego Świątobliwości, a w każdym razie nie ma to żadnego przekonującego wyjaśnienia.

– A jeżeli te rzeczy gdzieś się znowu pojawiają?

– Bez wątplenia będzie to miało związek z ludźmi, którym, chciałbym się tu wyrażać ostrożnie, nieoczekiwana śmierć Jego Świątobliwości mogła być na rękę.

Nagle kardynał Jellinek zrozumiał dziwne zachowanie swego szachowego partnera, monsignora Sticklera. Czyż nie mając o niczym pojęcia nie pozostawił leżącej na wierzchu w swoim mieszkaniu zagadkowej paczuszki? Stickler zobaczył ją i przeraził się. Musiał wtedy

uznać go za uczestnika spisku przeciwko Jego Świątobliwości. Jak powinien się teraz zachować?

– Nie widzisz, bracie w Chrystusie, innej możliwości?

– A w jaki sposób chce ksiądz wyjaśnić pojawienie się tych rzeczy, Eminenza? – potrząsnął głową ojciec Augustyn. – A może Wasza Eminencja ma inny pomysł?

– Nie, nie – odparł pośpiesznie kardynał. – Na pewno masz rację, bracie. Ale to i tak tylko hipoteza.

Niepokój, jaki ogarnął brata Benno w klasztorze milczenia od chwili, kiedy dowiedział się o sykstyńskim odkryciu nie zniknął, a nawet wręcz przeciwnie: brat Benno zaczął się zachowywać w sposób zadziwiający i rzucający się w oczy jego konfratrom. Nie mówiąc o prawdziwej przyczynie swego zachowania, poprosił opata klasztoru o zezwolenie na wgląd do skrytki, w której przechowywano jego dokumenty, a także i inne rzeczy o osobistym charakterze, bez których także i zakonnik nie może się w życiu obejść. Do przechowywania takich rzeczy służyła wielka żaluzjowa szafa zawierająca sporą liczbę zamykanych na klucz szufladek, która stała w celi opata. Opat nie przypominał sobie, aby brat Benno kiedykolwiek prosił go o zezwolenie na przejrzanie swoich papierów, ale wyraził zgodę, nie zadając przy tym ani jednego pytania. Podczas gdy brat Benno niespokojnie przerzucał zawartość swej skrytki, opat udawał, że studiuje jakieś dokumenty.

Oczywiście, osobliwe zachowanie konfratra nie uszło uwadze opata, jednakże nie przypisywał temu większego znaczenia; znał bowiem przeszłość Benno i wiedział, iż w swojej młodości zajmował się Michelangelem, nie było więc w tym nic dziwnego, że tak zainteresowało go dokonane odkrycie. Początkowo chciał zapytać Benna, czy jego poszukiwania mają z nim związek, ale obawiał się wprawić, konfratra w zakłopotanie. Zachował więc powściągliwość, mając jednocześnie świadomość, iż tylko on posiada klucz do skrytki.

16. W czasie następnej nocy i dnia

Następna noc trwała dłużej aniżeli wszystkie poprzednie, Jellinek bowiem nie mógł zasnąć, mimo iż wielkie zmęczenie sparaliżowało jego członki. Kardynał bał się, bał się czegoś nieznanego, otwierającego się przed nim, jak gdyby chciało go pochłoniąć. Wstał z łóżka i po raz nie wiadomo który spojrział przez okno na stojącą naprzeciwko budkę telefoniczną, a wtedy zauważył mężczyznę, który chwilę rozmawiał, a potem zniknął w bramie jego domu. Na wpół przytomny, Jellinek był jednakże swoimi myślami przy proroku Jeremiaszu i Sybillach wyłaniających się z ziemskich otchłani. W jego uszach huczały wody potopu oblizujące swymi falami szczyty najwyższych gór, a on, Jellinek, mały jak dziecko, obejmował nagie udo matki, odczuwając rozkosz w chwili śmiertelnego strachu. Z pożądliwą ciekawością przypatrywał się stworzeniu kobiety z Adamowego żebra, pełnej rozkoszy i krągłej w formie, pokornej wobec Stwórcy będącego uosobieniem Dobra. Z bezpiecznej kryjówki patrzył na Ewę, gdy naga sięgała po jabłko, które z Drzewa Poznania podawał jej wąż. „Giovanna, Giovanna!”, zawołał, albowiem tylko to imię przyszło mu do głowy, wszystkie inne zaś wydawały się usunięte z jego pamięci.

Niezdolny opuścić wzrok na widok występków i grzesznych słów proroka, wsłuchiwał się w noc. Doszło go dźwięczne Joelowe „A”, sam zaś Joel czytał z Pisma Sprośności, iż lud powinien pić na umór i w swoim pijaństwie zniszczyć winne krzewy i pola, a gdy zginą zboża i uschną drzewa oliwne, powinien zrabować innym to, czego mu brakuje. Stary Ezechiel, ciągle jeszcze próżny i zarozumiały jak paw, pozostawił zwój swego Pisma wiatrowi i ofiarowywał się z odsłoniętym przyrodzeniem przechodzącym mężczyznom, by odbyli z nim stosunek. Swoich kochanków obrzucał podarunkami i zaledwie dał upust żądzom z mężczyznami, pobiegł za rozwiązłymi córami Egiptu i obmacywał ich piersi. Izajasz, najbardziej szlachetny i wytworny pośród proroków królewskiej krwi, nie zachowywał się wcale tak szlachetnie i wytwornie, i tańczył z córami Syjonu, podziwiając ich beczelne spojrzenia, opaski na czołach i klamry ich pantofli. Wdał się w miłosne uściski z siedmioma z nich i rozkoszą było przypatrywać się jego czynom. „Chodźcie tu, bałwochwalczy!”, wołał. „Chodźcie tu, chodźcie, twórzcie własne bóstwa, stwórzcie ich tyle, ile chcecie, palcie im kadzidło i odrzućcie stare przykazania, i zdeptajcie stopami ich skorupy!” A potem namaścił

się od stóp po głowę i zaprosił do tańca Sybillę Delficką, która z zachwytem wywracała oczyma i ekstatycznie odrzucała głowę do tyłu, aż z czoła spadła jej na ziemię przepaska i przyjęła postać żmii. Swym syczącym językiem wąż nie zagrażał jednakże tym, którzy byli połączeni w dzikim zespoleniu, lecz jemu, kardynałowi. Jellinek zaczął dziko kopać nogami w łóżku, chcąc zdeptać to monstrum.

Na wysokiej, sięgającej nieba kolumnie zaś stał niewypowiedzianie stary człowiek o rysach Jeremiasza, który rozkładał ramiona tak, jakby chciał wzlecieć. A kiedy podniósł nogę, aby wiatr wydał fałdy jego szaty, Jellinek zawołał w najwyższym przerażeniu, aby tego nie czynił, spadnie bowiem na ziemię niczym kamień. Za późno. Jeremiasz rzucił się głową w dół w bezdenną otchłani, a jego szaty zatrzepotały na wietrze. Upadek proroka wydawał się rozciągnięty w czasie i trwał nieskończenie długo. Gdzieś w połowie tej podróży, ich twarze, lecącego proroka i śniącego kardynała, zbliżyły się do siebie jak ryby w akwarium i Jellinek zawołał: „Dokąd lecisz, stary Jeremiaszu?“, a Jeremiasz odpowiedział: „W przyszłość!“ Wtedy Jellinek zapytał: „Czego szukasz w przyszłości, Jeremiaszu?“, a Jeremiasz odparł: „Prawdy, bracie, prawdy!“ A gdy Jellinek zapytał: „Dlaczego jesteś tak zrozpaczony, Jeremiaszu?“, Jeremiasz nie odpowiedział. Ale z otchłani, kiedy go już nie było widać, dobiegły Jellinka słowa proroka: „Początek i koniec są jednym. Musisz to zrozumieć!“ I w tym momencie kardynał nagle się obudził.

Ten sen wzburzył Jellinka pod wieloma względami. Ciągle jeszcze przed jego oczyma przesuwali się ekstatyczni tancerze; z trudem tylko udało mu się zapomnieć widoku obscenicznych ruchów proroka i Sybilli. Rano idąc po schodach głośno tupał, aby zauważono jego obecność, ale nie spotkał Giovanni. Tego dnia nie potrafił skoncentrować się na bieżącej pracy ani na heretyckich, znajdujących się pod wpływem komunistycznych diabłów naukach południowoamerykańskich księży, za którymi ukrywał się szatan. Zamiast tego, stojąc w kącie swego surowo urządzonego biura, usiłował oczyścić się przy pomocy modlitwy. Ponieważ także i to mu się nie udało, kardynał poszedł do Kaplicy Sykstyńskiej, aby przyjrzeć się obrazom narkotyzującym jego sny.

Zatrzymawszy się dokładnie pośrodku kaplicy, pod obrazem stworzenia kobiety, Jellinek odchylił głowę do tyłu, tak jak to czynił już niezliczoną ilość razy i pozwolił swym oczom napawać się widokiem fresku z rozkoszą gapia. Już po kilku chwilach wybijające kolorowy świat zaczął się kręcić wokół swojej osi. Kardynał poczuł zawroty głowy i z oddali dobiegły go słowa Jeremiasza, jakie pamiętał ze snu: „Początek i koniec są jednym. Musisz to zrozumieć!“ Posiadający największą wiedzę spośród proroków Jeremiasz, prorok z głową Michelangela, ten Jeremiasz musiał być kluczem do inskrypcji. Czyżby usłyszane we śnie słowa miały mieć coś wspólnego z tajemniczym napisem? Jakie mogło być ich znaczenie?

Kardynał przymrużył oczy i poszukał wzrokiem liter namalowanych przez florentyńczyka. Co byłoby, gdyby koniec napisu stał się jego początkiem? Poczynając od postaci Jeremiasza, Jellinek ruszył w stronę Sybilli Perskiej, zatrzymując się najpierw pod

prorokiem Ezechielem, potem Sybillą Erytrejską i prorokiem Joelem, czytając litery zacinającym się głosem: A – B – UL – AFI – A. Był to szereg, który miał równie mało sensu jak czytany w odwrotnym kierunku. Być może jednak pozwalał on na nową, zupełnie odmienną interpretację napisu.

Kardynał poszedł ze swym odkryciem do padre Augustyna, który uderzył się w czoło, przeklinając własną głupotę, Jeremiasz bowiem syn kapłana z Anototu, pisał tylko po hebrajsku, czyli od prawej do lewej, a nie, tak jak my, od lewej do prawej. Fakt ten stawiał całą sprawę w zupełnie nowym świetle. Archiwariusz napisał litery na kartce papieru.

– Widzi Wasza Eminencja – powiedział. – To słowo ma sens!

ABULAFIA, przeczytał Jellinek. I tak było rzeczywiście, Abulafia było nazwiskiem wyklętego przez Kościół kabalisty, zwolennika i wyznawcy owej żydowskiej tajemnej wiedzy, jaka powstała w połowie XII stulecia w zachodniej Prowansji i stamtąd rozszerzyła się na Hiszpanię, a później i na Włochy, przysparzając Kościołowi ciężkich szkód.

– Ten florentyńczyk był szatanem – powiedział kardynał Jellinek. – Teraz mamy co prawda nazwisko, ale cóż ono samo znaczy. Nie sądzę, aby Michelangelo wypisał je na sklepieniu bez jakiegoś ukrytego celu.

– Ja także w to nie wierzę – stwierdził Augustyn. – Sądzę, że ukrywa się za tym coś więcej. Coś bardzo ważnego, już sama bowiem znajomość tego imienia zdradza niepospolitą wiedzę florentyńczyka. Proszę mi pokazać choćby jedną świecką encyklopedię, która wymienia to nazwisko! Nie znajdzie go pan nigdzie. Jeżeli więc Michelangelo znał je, to wiedział znacznie więcej. Znał nie tylko nazwisko, ale także jego nauki, a może nawet tajemną wiedzę.

– *Pater noster, cui es in coelis.** – zaczął modlić się ze złożonymi dłońmi kardynał.

– Amen – odpowiedział padre Augustyn, a kardynał Joseph Jellinek zwołał na następny dzień kolejne posiedzenie consilium w celu wyjaśnienia tej sprawy.

W klasztorze milczenia brat Benno postanowił tego dnia dokonać próby napisania listu, ale poniósł porażkę już na samym wstępie. „Wasza Świątobliwość”, pisał Benno, „Ten list to nieśmiała próba, aby w moim zaprawdę mizernym i nieużytecznym życiu, które Bóg nasz Pan, nałożył mi jako obowiązek, uczynić coś znaczącego, i dlatego ośmielam się pisać do Waszej Świątobliwości w nadziei, że te słowa dotrą przed oczy Waszej Świątobliwości”.

Brat Benno przeczytał kilkakrotnie ten początek, a potem podarł papier na małe strzępki i zaczął pisać od nowa.

„Kochany Ojciec Święty, od wielu dni dręczy mnie troska związana z odkryciem w Kaplicy Sykstyńskiej. Napisanie tego wstępu kosztowało mnie wiele odwagi, nie mówiąc już o dalszej treści mego listu”. Benno przestał pisać i przeczytał jeszcze także i ten początek. Stwierdziwszy, że również i on nie nadaje się, potargał go i zaczął się zastanawiać. W końcu

* Ojciec nasz, który jesteś w niebie

wstał, poszedł ciemnym korytarzem przylegającym do cel aż do kamiennych schodów, które prowadziły do pokoju opata, i zapukał nieśmiało.

– *Laudetur Jesus Christus!*

– Oczekiwałem cię już od kilku dni, bracie – powiedział opat z przyjaznym uśmiechem, wychodząc zakonnikowi naprzeciw. – Czuję, że coś cię dręczy – dodał podsuwając mu krzesło. – Zwierz się, możesz mi zaufać!

Benno usiadł i zaczął nieśmiało opowiadać.

– Ojczy opacie, to odkrycie w Kaplicy Sykstyńskiej dręczy mnie w rzeczywistości bardziej, aniżeli możesz to sobie wyobrazić. Studiowałem życie Michelangela i jego dzieła, to zdarzenie zaś wzburzyło mnie do głębi duszy.

– Czy sądzisz, że znasz znaczenie tej inskrypcji, bracie?

– Czy sądzę? – powiedział brat Benno i zamilkł.

– Ale przecież musi być jakiś powód twego dziwnego zachowania!

– Powodem... – brat Benno zrobił długą pauzę – ... powodem jest to, że wiem wiele o Michelangelo, może nawet więcej od tych, którym powierzono tę sprawę, to znaczy rozwiązanie tajemnicy. Myślę, że mógłbym być pomocny przy odszyfrowaniu tego napisu.

– Ależ bracie, jak sobie to wyobrażasz?

– Ojczy opacie, muszę pojechać do Rzymu! Proszę was, nie odmawiajcie swego pozwolenia!

17. W dniu święta Mateusza Apostoła

Zebranie nadzwyczajnego consilium w sali Świętego Oficjum rozpoczęło się jak zwykle według surowego rytuału od wezwania pomocy Ducha Świętego i odczytania przez przewodniczącego Josepha kardynała Jellinka nazwisk obecnych, jak również udzielonym *ex officio* ostrzeżeniem, iż należy całą sprawę utrzymać w największej tajemnicy, jak się wydaje bowiem, potwierdziły się najgorsze obawy; mianowicie litery namalowane przez floremtyńczyka, czytane po hebrajsku od prawa do lewa, dają nazwisko Abulafia.

Wymienienie tego nazwiska wywołało u obecnych zróżnicowane reakcje. Fachowcy jak Gabriel Manning, profesor semiotyki w Ateneum Laterańskim, Mario Lopez, podsekretarz Kongregacji Wiary, Frantisek Kolletzki, podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego i rektor Collegium Teutonicum, Adam Melcer z Towarzystwa Jezusowego i *professore* Ricardo Parenti, specjalista z dziedziny życia i twórczości Michelangela z Florencji, zareagowali cichym okrzykiem, który dowodził, iż byli całkowicie świadomi wagi tego odkrycia, podczas gdy pozostali w milczeniu wpatrywali się w kardynała Jellinka, oczekując na dalsze wyjaśnienia.

Manning był zawstydzony, że to nie on rozpoznał to nazwisko napisane w najprostszym, retrospektywnym systemie notowania, pozostali z obecnych zaś zaczęli pisać na kartkach w odwrotnej kolejności litery inskrypcji ze sklepienia kaplicy.

– Ta interpretacja – powiedział Manning – jest bez wątpienia prawidłowa, zawiera bowiem w sobie dowód, o jakim mówiłem na poprzednim zebraniu consilium: Jeremiasz czytał i pisał tylko od prawej strony do lewej. Pisząc właśnie w taki sposób, otrzymujemy słowo posiadające sens. Jest to jednocześnie szkolny przykład semiotycznego systemu deszyfracji.

– A co ono oznacza? – zapytał prowokująco kardynał Sekretarz Stanu.

– Spokojnie, Eminenza! – włączył się do dyskusji kardynał Jellinek. – Wiemy na razie tylko tyle, że Michelangelo chciał zwrócić uwagę na kabałę, więcej nic.

– I z tego powodu całe zamieszanie? Dlatego zwołujesz, Eminenza, posiedzenie consilium? Czy możliwe, aby to nazwisko wprawiło całą Kurię w taki niepokój? – udał oburzenie Cascone. – Kabała jest jedną z błędnych nauk, którym nie udało się zniszczyć

Kościółu. Jeżeli Michelangelo był zwolennikiem tej tajemnej wiedzy, no cóż! Nie przysporzy to Kościołowi specjalnych korzyści, ale jakoś przeżyjemy świadomość tego faktu.

– To zbyt pośpiesznie wyciągnięte wnioski, księżę kardynale Sekretarzu Stanu – Gabriel Manning uniósł ostrzegawczo palec. – Michelangelo, który napisał na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej to imię, chciał wywołać coś więcej aniżeli zamieszanie spowodowane złośliwym wymienieniem jakiegoś nazwiska!

– Co też pan mówi, profesorze! Proponuję, abyśmy ogłosili oficjalne wyjaśnienie, że Michelangelo był prawdopodobnie kabalistą i aby zemścić się na papieżach, wypisał na sklepieniu nazwisko mało znanego kabalisty. Wywoła to trochę zamętu, ale wzburzenie opadnie, my zaś będziemy mogli odłożyć tę sprawę do akt.

– Nie! – zawołał głośno kardynał Joseph Jellinek. – To byłaby najpewniejsza droga do wszelkich spekulacji i skandali, nasi krytycy bowiem na pewno nie ograniczą się do samego nazwiska i zaczną prowadzić dalsze badania. Znajdą także wiele sposobów jego interpretacji, a taka dyskusja nigdy nie będzie miała końca.

Wtedy głos zabrał professore Parenti.

– Po pierwsze, wcale nie zostało dowiedzione, że Michelangelo Buonarroti był kabalistą, aczkolwiek badania prowadzone nad jego życiem i twórczością wielokrotnie już wskazywały na istnienie takiej możliwości. Z drugiej strony, odkrycie to jest dla nauki sensacją, która zajmie badaczy na lata, o ile nie dziesiątki lat – i zwracając się do głównego konserwatora, Bruno Fedrizziego, Parenti zapytał: – Czy nie należy się liczyć z pojawieniem kolejnych znaków w innych miejscach mogących mieć związek z nazwiskiem Abulafii?

Fedrizzi zaprzeczył. Po odkryciu znanych już liter, przy pomocy specjalnych lamp kwarcowych zbadano każdą wchodzącą w rachubę, pokrytą farbami powierzchnię sklepienia. To badanie nie przyniosło jednak żadnych efektów. Można więc z całkowitą pewnością wykluczyć pojawienie się nowych liter.

– Tym bardziej więc – stwierdził arcybiskup Mario Lopez – powinniśmy się zająć tym nazwiskiem. Ojcie Augustynie, co możesz nam na ten temat powiedzieć?

Augustin zaczął się więc niczym wąż wokół Drzewa Poznania. W tak krótkim czasie nie było możliwe wyczerpujące udokumentowanie nazwiska Abulafiego, jako iż ku jego wielkiemu zdziwieniu nie istnieje żadna *Busta Abulafia*, jak początkowo sądził, chociaż pojawia się ona w annałach Watykanu.

– Czy zechciałbyś to sprecyzować, ojcie Augustynie? – zapytał kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone.

– A więc – zaczął swe wyjaśnienia oratorianin – Abraham Abulafia był bez wątpienia człowiekiem mądrym, aczkolwiek zaślepionym. Urodził się w roku 1240 w Saragossie i dzięki swemu ojcu poznał Biblię, nieco Talmudu i Misznę, a potem udał się na Wschód, aby zająć się filozofią i mistyką, w szczególności zaś naukami teozoficznymi i kabałą. Podobno odkrył przy tym rzeczy, o których nie wolno nawet pisać. Napisał za to dwadzieścia sześć

teoretycznych traktatów o kabale i dwadzieścia dwie księgi prorocत्व. W jednym z fragmentów twierdzi, że chciał napisać wiele rzeczy, czego mu jednak nie było wolno, a ponieważ nie może całkowicie pozostawić tych spraw swemu biegowi, więc pisze, jednocześnie stosując się do zakazu, i powraca w innych miejscach do nich w sposób aluzyjny. Taki właśnie system zastosował Abulafia.

– Czy ojciec – przerwał mu kardynał Sekretarz Stanu Giuliano Cascone – uważa Abulafię za filozofa, czy za proroka?

– W jego przypadku należy zapewne używać obu tych określeń. Kiedy Abulafia miał trzydzieści jeden lat, doznał oświecenia duchem proroczym, czyli jak mówi, zaczęły go nawiedzać wizje demonów, które spowodowały chaos w jego głowie, oraz że jak ślepiec przez piętnaście lat błądził po omacku w ciemnościach z szatanem po prawicy. Dopiero potem zaczął pisać księgi zawierające prorocтва, używając przy tym pseudonimów posiadających tę samą wartość liczbową co jego imię, Abraham. Nazywał więc siebie Zechariahem, a także Rasiem. Jednakże prawie wszystkie księgi z jego prorocत्वami zaginęły.

– *Ad rem*^{*}, ojciec – chrząknął z zakłopotaniem kardynał Joseph Jellinek. – Dajesz nam do zrozumienia, że Abulafia miał kontakt z Watykanem. Kiedy to się zdarzyło i w jakich okolicznościach?

– O ile mogłem się dowiedzieć, było to w roku 1280.

– Za rządów papieża Mikołaja III? – wykrzyknął ze zdziwieniem kardynał Jellinek.

– Tak jest. Było to pod wieloma względami spotkanie godne uwagi. To znaczy, do właściwego spotkania w zasadzie nie doszło i tu zaczynają się tajemnice spowijające tę sprawę. Muszę przedtem wyjaśnić, iż kabaliści rozpowszechniali wtedy w swej nauce tezę, że gdy nadejdzie koniec świata, na rozkaz Boga Mesjasz przyjdzie do papieża, aby zażądać wolności dla swego ludu. Dopiero wtedy naprawdę nadejdzie Mesjasz. W tym czasie Abulafia, ciesząc się już dużą sławą, mieszkał w Capui. Kiedy papież Mikołaj dowiedział się, że Abulafia chce przybyć do Rzymu, aby przekazać mu jakąś wiadomość, wydał rozkaz schwywania heretyka u bram miasta i zabicia go. Jego ciało miało być spalone przed murami. Abulafia znał ten rozkaz papieża, ale nie przejął się nim; wszedł do miasta przez jedną z bram i tam dotarła do niego wiadomość, że papież zmarł poprzedniej nocy. Przez dwadzieścia osiem dni Abulafia był przetrzymywany w Kolegium Franciszkańskim, potem pozwolono mu odejść i od tej chwili ślad po nim zaginął. Do dnia dzisiejszego pozostaje zagadką, jaką wiadomość Abulafia chciał przekazać papieżowi.

– O ile dobrze zrozumiałem – odezwał się kardynał Sekretarz Stanu – w przypadku wspomnianego przez ciebie papieża Mikołaja idzie o imię papieża, jakie było na kartce znalezionej w kieszeni martwego padre Pio.

– Tak, sygnatura Nicc. III oznacza papieża Mikołaja III. Ale *buste* z tą właśnie sygnaturą

^{*} do rzeczy

zniknęły.

– Ta nader tajemnicza historia – odezwał się głośno, milczący do tej pory Adam Melcer z Towarzystwa Jezusowego – dobrze pasuje do wszystkiego, co do tej pory wydarzyło się w związku z odkryciem. Nie muszę chyba zwracać uwagi na fakt, iż śmierć tego papieża nie została wyjaśniona po dzień dzisiejszy.

– Chce ksiądz powiedzieć – włączył się gwałtownie Cascone – że są poszlaki wskazujące na gwałtowny charakter śmierci Mikołaja III?

Melcer w milczeniu wzruszył ramionami.

– Zebraliśmy się tutaj, bracie w Chrystusie – kontynuował kardynał Sekretarz Stanu – aby zbadać fakty, a nie wyrażać swe przypuszczenia. Jeżeli ma ksiądz dowody na gwałtowną śmierć Jego Świątobliwości Mikołaja III, to proszę je przedstawić. Jeżeli jednak są to tylko przypuszczenia, proszę milczeć!

– Czyżbyśmy znowu żyli w czasach, w których nie wolno mówić tego, co się myśli? – zawołał w najwyższym wzburzeniu jezuita. – Jeżeli tak jest, Eminencjo, to proszę o dyspensę!

Kardynał Jellinek miał spore kłopoty z uspokojeniem wzburzonych umysłów, nawołując z uporem do powrotu do przedmiotu obrad.

– Stwierdzam – powiedział w końcu podsumowując – że musi istnieć jakieś tajemnicze powiązanie między kabalistą Abulafią, Jego Świątobliwością Mikołajem III, malarzem Michelangelo Buonarrotim i padre Pio, benedyktynek. Dwaj pierwsi żyli w trzynastym stuleciu, Michelangelo w szesnastym, a padre Pio w wieku dwudziestym. Czy ktoś z tutaj obecnych widzi związek, który mógłby ułatwić nam znalezienie rozwiązania naszej zagadki?

Jednakże jedyną odpowiedzią na pytanie kardynała było milczenie.

Pod wrażeniem nowych faktów, a także w celu kontemplacji, consilium odroczyło ciąg dalszy posiedzenia na piątek drugiego tygodnia postu.

18. Podczas Reminiscere

W pociągu pośpiesznym do Rzymu. Przez wiele, wiele lat brat Benno nigdzie nie podróżował; w jego pamięci wszelkie podróże łączyły się z wielkimi trudami. Teraz siedział w luksusowym przedziale i nie mógł napatrzeć się do syta mijanemu krajobrazowi górskiemu. Od czasu do czasu próbował czytać swój brewiarz, jednakże po kilku zdaniach odkładał go na bok. Jako dziecko zawsze wsłuchiwał się w rytm stukotu kół i tworzył słowa do taktu. Teraz prawie nie wyczuwał żadnego rytmu, podskakiwanie wagonu i stukot ustąpiło miejsca łagodnym uderzeniom o styki szyn. Mimowolnie brat Benno szukał słów pasujących do tego przyjemnego kołysania. Nagle w jego głowie zaczęło stukać jak młotkiem: „Łukasz kłamie, Łukasz kłamie, Łukasz kłamie”. I chociaż za wszelką cenę starał się wyrzucić te słowa ze swego mózgu i znaleźć inne, powracały one bez przerwy jak nie kończąca się tortura.

Podczas gdy pociąg jak robak zwijał się jadąc na południe na przemian wzdłuż stromych zboczy i koryta szumiącej, spienionej rzeki, Benno zaczął myśleć o Michelangelo, tym trzymającym się na uboczu dziwaku, który stworzył wielkość sztuki nie mówiąc na ten temat ani słowa, a wręcz przeciwnie, ukrywał swoją działalność i bawił się w chowanego z ludźmi, tak że po dzień dzisiejszy wiele pozostaje dla nas zagadką. Michelangelo, mówiący o sobie żartobliwie, iż wysał miłość do kamienia z mlekiem matki, Francesca bowiem jego matka, mająca dziewiętnaście lat w chwili jego urodzenia, przekazała chłopca na wychowanie krępej, silnej mamce, żonie kamieniarza. Michelangelo, dziecko renesansu, nigdy nie podporządkował się zasadom tego renesansu i stworzył własny, ekstatyczny świat, czerpiący z antyku, neoplatonizmu i Dantego nieskończoną siłą wyobraźni.

Był dzieckiem nie lubianym, często bitym po przedwczesnej śmierci matki. Jego ojciec, Lodovico, niespokojnego ducha radny miejski, z wielką niechęcią oddał go do szkoły, a potem na naukę zawodu. Tę ostatnią pobierał u braci Domenica i Davida Ghirlandajo, najbardziej znanych i cenionych mistrzów miasta Florencji. Szorstki dziwak nigdy nie przewyciężył w sobie braku miłości matki, zapewne więc z tego powodu kobiety zawsze były w jego twórczości świętymi i boginkami. Podobnie jak Benno, Michelangelo prowadził życie mnicha, oczywiście nie na skutek moralnego przymusu, a raczej skupienia i wysublimowanej miłości, przy czym wzorem dlań była Beatrycze Dantego. Z tego też

powodu stworzone przez niego figury Piety, Madonny i Sybilli były niesłychanie delikatne. Wielkie znaczenie miała dla Michelangela własna przeszłość, a także przeszłość przodków. Widać to było po jego arystokratycznej dumie, wizje ojca zaś można rozpoznać w większości namalowanych i wyrzeźbionych przezeń postaci męskich.

Michelangelo liczył czternaście lat, kiedy zamienił ołówek i pędzel na dłuto, ku radości Lorenza de Medici, który w aureoli wspaniałości stał na czele państwa florenckiego i przyjął chłopca do siebie. Kiedyś, w czasach młodości Michelangela, wydarzyło się owo Nieprzewidziane, co odbiło się na całym jego późniejszym życiu: podczas kłótnki jego kolega, Torrigiani, uderzył go pięścią w twarz i złamał kość nosową, co pozostawiło widoczne ślady. Od tego dnia jego twarz pozostała już na zawsze zniekształcona. Jakież ból, wykraczający zapewne daleko poza sferę fizyczną, musiało sprawić to wydarzenie takiemu wielbicielowi piękna, jakim był Michelangelo Buonarroti!

O takich właśnie rzeczach rozmyślał brat Benno, podczas gdy pociąg pośpieszny gnał na południe; myślał o dziewiętnastolatku słuchającym w katedrze florenckiej nawołującego do pokuty podczas swych kazań dominikańskiego mnicha Savonaroli, piętnującego luksus, w jakim żyli możni panowie, i pychę prałatów, co już samo w sobie było występkiem przeciwko wierze. Grubiański na ambonie, Savonarola nie bał się publicznie potępiać korupcji panującej w państwie i Kościele, a także teologii, która podówczas całkowicie utraciła swe znaczenie. Mały, chudy, o obliczu ascety, ciskał z ambony apokaliptyczne wizje, siejąc strach wśród swoich słuchaczy, którzy szli za nim tysiącami. Były one całkowicie wiarygodne w kraju bez przerwy nawiedzanym wojnami i wstrząsanym kolejnymi spiskami przeciwko rządzącym. Savonarola mówił w swych kazaniach o boskim gniewie i upadku Florencji: *Ecce ego abducam aquas super terram**. Młody Michelangelo musiał słuchać tego wszystkiego z przerażeniem, a obrazy boskiego gniewu i wód potopu zalewających ziemię pojawiły się lata później na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej z taką natarczywością, z jaką mówił o nich proroczo przeor dominikanów.

W istocie Michelangelo pozostał do końca samoukiem; uczył się na istniejących już dziełach, podziwiał antyczne rzeźby w ogrodach pałacu Medicich, prace Donatella i Ghibertiego, o którym mówił, że swoją sztuką wyważył drzwi do raj. Coraz bardziej zaniedbywał swego mistrza, Ghirlandaja. Pierwsze dzieła Michelangela jako rzeźbiarza zaginęły, ale sławną stała się jego Pieta, piękna niczym grecka bogini rzeźba Madonny o rysach młodej dziewczyny z Jezusem na kolanach, wykonana na zlecenie kardynała San Dionigi w kararyjskim marmurze z delikatnym wyczuciem rąk złotnika. Zapytany o rozkwitającą, dziewczęcą urodę Madonny – jej wiek mógł odpowiadać wiekowi matki Michelangela w chwili jej śmierci – artysta stwierdził, iż niewinna kobieta się nie starzeje, jest o wiele młodsza od bezwstydną. A o ileż piękniejsza i czysta musi być dziewica, do której duszy nie zbłądziło nawet najmniejsze grzeszne pożądanie. Nie powinno więc dziwić,

* Oto ja sprowadzę wody potopu na ziemię

że Michelangelo przedstawił Świętą Dziewicę o wiele młodszą od Syna, wbrew wymogom związanym z normalnym procesem starzenia się człowieka. Ten dwudziestolatek odczuwał taką dumę ze stworzonego przez siebie dzieła, że po raz pierwszy i jedyny w życiu uwiecznił na nim swe nazwisko.

Artysta jest odbiciem swej epoki i otoczenia. Po powrocie do Florencji Michelangelo zastał całkowicie zmienioną sytuację: liczba zwolenników Savonaroli wzrastała z dnia na dzień, pokutne procesje przeciągały co chwilę przez miasto i dołączało do nich coraz więcej ludzi. Dżuma i głód zabierały co dzień niezliczone ofiary, a pośród tego wszystkiego słychać było wysoki głos Savonaroli nawołującego do pokuty i obyczajnego życia. Siebie samego Savonarola nazywał „biczem bożym”, ale w oczach większości swoich zwolenników dominikanin był prorokiem.

Trzykrotnie ostrzegano go z Rzymu, aby zaprzestał wygłaszania z ambony surowych oskarżeń przeciwko Kościołowi i papieżowi, w końcu Aleksander Borgia obłożył go ekskomuniką; wydarzenie to jednak spowodowało, iż nawołujący do pokuty dominikanin zaczął używać jeszcze surowszych i bardziej krytycznych słów. Papieska bulla nie była dla niego powodem, dla którego miałby zamilknąć, wręcz przeciwnie, od tej chwili zaczął piętnować także upadek obyczajów na papieskim dworze, klnąc się przy tym na własne sumienie. Fra Girolamo oskarżał papieża o symonię, sprzedawanie kościelnych urzędów i został w końcu aresztowany za staraniem swojego przeciwnika. Torturami zmuszono go do złożenia zeznań, które natychmiast odwołał, zaledwie zaprzestano męczarni. Nie udało mu się jednak w ten sposób uniknąć procesu przed trybunałem Inkwizycji. Papież chciał go najpierw sprowadzić do Rzymu, potem jednak wysłał swojego przedstawiciela do Florencji, który wydał wyrok śmierci. W dniu Wniebowstąpienia roku 1498 Savonarola został spalony na stosie na placu przed siedzibą władz Florencji.

Michelangela nie było pośród gapiów u stóp płonącego stosu; przebywał wtedy w Rzymie. Ale jeżeli nawet nie przeżył tego ponurego widowiska na własne oczy, to jako wrażliwy artysta musiał odczuć ten pierwiastek zła tkwiący w człowieku, nie powstrzymującego nawet tych najpobożniej szych z pobożnych od grzechu. Ale to pobożni i najpobożniejsi byli właśnie tymi, którzy dawali Michelangelo pracę i chleb; w ten sposób powstała w psychice artysty rozterka.

Michelangelo tworzył więcej jako rzeźbiarz aniżeli malarz. Mizernym efektem jego malarstwa w owych latach były trzy panoramy z Madonną. Nie wiemy, czy obawiał się kunsztu Leonarda, Perugina i Rafaela, nie należy się więc dziwić, że po raz kolejny papież Juliusz II wezwał Michelangela do Rzymu, aby wykorzystać jego talent rzeźbiarza. Papa Giulio był bardziej wojownikiem aniżeli pasterzem, politykiem niż kapłanem, bardziej dziki niż łagodny, i co zupełnie nie pasowało do obrazu tego człowieka: kochał sztukę tak jak swój miecz i podziwiał dzieła wielkich artystów. To właśnie jeden z nich zwrócił uwagę Juliusza na młodego florentyńczyka. Nie wiedząc właściwie dlaczego, papież wysłał Michelangelo sto

skudów jako pieniądze na koszty podróży. Chciał go najpierw poznać i dopiero później wpadł na pomysł zbudowania grobowca, własnego pomnika w bazylice św. Piotra. Jednakże współpraca między papieżem a Michelangelo zamieniła się wkrótce w ciąg kłótni; równowagę między nimi zapewniały jedynie obojętność Najwyższego Pasterza i upór artysty. Ten spór osiągnął swoje apogeum, gdy Michelangelo oświadczył, iż jeżeli pozostanie dłużej w Rzymie, będzie się musiał zająć budowaniem grobowca nie dla starego papieża, ale dla siebie, a potem z wypełnioną gniewem duszą opuścił Rzym.

Musiał zaciągnąć długi, aby spłacić materiał i robotników, Condivi zaś, jeden z jego uczniów, opowiadał później o „tragedii grobowca”. Sam artysta skomentował to mówiąc: „Lepiej by było, abym w swej młodości nauczył się robić zapałki, wtedy bowiem nie popadłbym teraz w taką rozpacz”. Papież natomiast, będąc w złym nastroju, złośliwie stwierdził, że co prawda znane mu są maniere tego rodzaju ludzi, ale kiedy Michelangelo powróci, nie ujdzie kary. Florentyńczycy całkiem poważnie obawiali się, że z powodu rzeźbiarza papież rozpocznie nową wojnę. Michelangelo jednak myślał wtedy zupełnie serio o ucieczce do Konstantynopola, aby dożyć śmierci pod opieką sułtana. Pracy było w Turcji wystarczająco dużo; sułtan planował wtedy budowę mostu nad Złotym Rogiem łączącego Konstantynopol z Perą. W końcu jednak wyszli sobie naprzeciw i papież spotkał się z Michelangelo w połowie drogi do Bolonii, którą Juliusz II zdobył właśnie z pomocą pięciuset żołnierzy. Jego Świątobliwość zamówił tam czterometrowej wysokości posąg z brązu, który udał się dopiero za drugim odlewem. Wiemy o nim tylko tyle, że został zniszczony już w trzy lata później przez powracającą rodzinę władców Bolonii, Bentivoglich. Resztki posągu wykorzystano do odlewu armatnich luf.

Po powrocie do Rzymu florentyńczyk nadal zajmował się grobowcem, aczkolwiek papież usiłował go odwieść od tego. Z czterdziestu zaplanowanych figur Michelangelo udało się stworzyć dopiero Mojżesza; marmur składowany za św. Piotrem, gdzie Michelangelo również mieszkał, został skradziony. Pewnego dnia papież zaskoczył pogrążonego w rozpacz rzeźbiarza nowym zleceniem: wymalowaniem Kaplicy Sykstyńskiej, budowali wzniesionej na polecenie jego wuja, bezecnego Sykstusa IV, który poświęcił ją osobiście przed dwudziestu pięciu laty. Michelangelo nie chciał podjąć się tego zadania, ale w końcu musiał ulec papieżowi.

Już podczas prac projektowych obaj pokłócili się na nowo i tylko na skutek nieustępliwości i bezwzględności Michelangela rozstrojony nerwowo papież poddał się i pozwolił tworzyć florentyńczykowi według swego uznania, byle tylko malował. Michelangelo zdecydował się opowiedzieć na sklepieniu historię Stworzenia Świata i Starego Testamentu, ale w jakże samowolny, dziwny sposób!

O tym właśnie rozmyślał brat Benno w czasie swojej podróży, podczas gdy koła pociągu rytmicznie powtarzały: „Łukasz kłamie, Łukasz kłamie...”

19. W poniedziałek po Reminiscere

Tego to właśnie dnia, po długim namyśle, Jellinek odwiedził monsignore Williama Sticklera, kamerdynera papieża, i opowiedział mu o paczce z kłopotliwą zawartością, a także o tym, że przekazał mu ją jakiś nieznajomy; prawdopodobnie był to ten sam mężczyzna, który później wtargnął do jego mieszkania, aby ostrzec przed dalszym dochodzeniem w sprawie sykstyńskiej inskrypcji.

Monsignore wysłuchał opowieści Jellinka w milczeniu, a potem bez słowa wziął do ręki słuchawkę telefonu i wykręcił jakiś numer.

– W sprawie Jellinka, Eminenza – powiedział – nastąpiła dziwna, godna uwagi zmiana. Powinien Wasza Eminencja sam wysłuchać jego historii.

Wkrótce potem w mieszkaniu Sticklera pojawił się kardynał Bellini i Jellinek powtórzył mu swoją opowieść o tym, w jaki sposób, bez swego udziału, znalazł się w posiadaniu papieskich pantofli i okularów.

– Dlaczego Wasza Eminencja mówi o tym dopiero teraz? – zapytał Bellini.

– Takie wyznanie jest możliwe tylko w przypadku poczucia winy. Tajemnicza zawartość tej paczki, jaka znalazła się w moim posiadaniu, nie wywołała zaś we mnie podobnego wrażenia. Dowodem na to może być fakt, iż nie ukryłem nawet tej paczki, kiedy monsignore Stickler przyszedł do mnie na szachy. Gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie o znaczeniu jej zawartości, to przecież schowałbym ją, a nie pozostawił na wierzchu! Proszę także nie zapomnieć o jednym: kiedy zmarł papież Gianpaolo, nie należałem jeszcze do Kurii.

– Po czyjej stronie ksiądz stoi? – zapytał wprost kardynał Giuseppe Bellini.

– Po czyjej stronie? Jak mam to rozumieć?

– Jak ksiądz zapewne zauważył, księżę kardynale, Kuria nie stanowi jedności i nie każdy jest przychylny drugiemu. To całkiem naturalne w takim zbiorowisku ludzi różnych narodowości i pochodzenia. Nie musi ksiądz odpowiadać na to pytanie teraz, ale chciałbym zapytać Waszą Eminencję tylko o jedno: chyba mogę uważać księdza za przyjaciela?

Jellinek skinął głową.

– Papież Gianpaolo – kontynuował kardynał Bellini – padł ofiarą spisku. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. A zniknięcie różnych rzeczy, niech mi Wasza Eminencja wierzy,

jest tylko jedną z poszlak.

– Znam te pogłoski – odparł Jellinek – ale muszę przyznać, że do tej pory odnosiłem się do nich sceptycznie. Nieoczekiwana śmierć papieża może być powodem wielu spekulacji.

– A ta dziwna paczka?

– Ten fakt rzeczywiście zmusza mnie do zmiany stanowiska, bez wątpienia bowiem jest za nią ukryty jakiś wyraźny cel. Wychodząc z założenia, że Gianpaolo został naprawdę zamordowany, należy potraktować zawartość tej paczki jako groźbę, a ponieważ nie wywarła ona na mnie żadnego wrażenia, wysłano do mnie posłańca, który powtórzył ją ustnie – i zwracając się do Sticklera Jellinek zapytał: – Co to były za dokumenty, które zniknęły z sypialni papieża, monsignore?

– Kamerdyner papieża jest zobowiązany do milczenia – wpadł mu w słowo Bellini. – Ale nie jest tajemnicą, że dokumenty te zawierały nazwiska członków Kurii.

– Rozumiem – odparł Jellinek.

– Jest ksiądz odważnym człowiekiem, Eminenza – powiedział po chwili zastanowienia Bellini. – Nie wiem, jak zachowałbym się na księdza miejscu. Sądzę, że byłbym raczej Piotrem aniżeli Pawłem, i na Boga, być Piotrem w takiej sytuacji nie jest żadną hańbą.

Na tym zakończyła się rozmowa i kardynałowie rozeszli się. Także i teraz Jellinek nie wiedział, czy może ufać Belliniemu. Nie miał również w dalszym ciągu pojęcia, do jakiej partii czy ugrupowania w Kurii należał Bellini, kim byli jego przeciwnicy i przyjaciele. Zdecydował się więc być nieufnym wobec każdego i wszystkich razem.

Noc po przybyciu do Rzymu brat Benno spędził w tanim pensjonacie na Via Aurelia. Następnego dnia poszedł do oratorium na Awentynie. Opat Odilo przyjął obcego zakonnika z ową uprzedzającą grzecznością, jaka cechowała klasztor już od wieków, i zaproponował bratu Benno, aby nocował w nim w czasie swego pobytu w Rzymie.

– To tylko kilka dni – powiedział brat Benno, przyjmując z wdzięcznością propozycję opata, i opowiedział gospodarzowi że zna oratorium ze swoich wcześniejszych wizyt w Rzymie.

– Było to jednak już bardzo dawno temu; podczas wojny zajmowałem się pewnymi księgami znajdującymi się w tutejszej bibliotece.

– Kiedy to było dokładnie, bracie w Chrystusie?

– Pod koniec wojny, kiedy Niemcy weszli już do Rzymu.

Opat przeraził się słysząc te słowa.

– To był nader niechlubny koniec – kontynuował brat Benno – nie lubię myśleć o tamtych czasach; w ostatnich tygodniach wojny powołano mnie do wojska. Sztuka i moje badania...

– A teraz wróciłeś, aby znowu kontynuować badania.

– Tak – odparł brat Benno – na starość człowiek często powraca do rzeczy, których w młodości nie doprowadził do końca.

– To prawda! – powiedział opat i dodał: – Jak przypuszczam, bracie w Chrystusie, będziesz chciał posłużyć się znowu biblioteką naszego oratorium?

– Tak jest w istocie, ojczy opacie.

– Obawiam się tylko, że od tego czasu biblioteka bardzo się zmieniła.

– Nie będzie mi to przeszkadzało. Na pewno się zorientuję.

Pewność, z jaką mówił obcy zakonnik, wywołała nieufność opata Odilo. W miarę upływu dziesiątków lat każda biblioteka zmienia swoje oblicze. W jaki sposób obcy mógł wiedzieć, jak wygląda dzisiaj księgozbiór na Awentynie? Jak mógł z taką pewnością twierdzić, że potrafi się w niej zorientować? Kiedy w milczeniu wchodzili po schodach do biblioteki, opata ogarnęły wątpliwości, czy dobrze uczynił, przyjmując obcego zakonnika z otwartymi ramionami.

Dotarwszy na górę opat przykazał bibliotecznym *scrittori* uprzejme traktowanie obcego brata, który przywitał każdego z nich uściskiem dłoni, a potem zabrał się do pracy.

Wieczorem, po modlitwie, opat Odilo udał się do najbardziej oddalonej części oratorium, gdzie w piwnicy narożnej wieży leżała niezliczona ilość starych dokumentów. Jednakże to nie akta interesowały opata, ale stos zбитych z surowych desek skrzyń. Policzywszy je i sprawdziwszy, czy są wszystkie zamknięte, opat wyszedł z piwnicy nie dotykając niczego.

20. *We wtorek po Reminiscere*

Późnym przedpołudniem tego dnia w hotelu „Exelsior”, którego wejścia strzegą jeszcze i dzisiaj ubrani w staromodne liberie odźwierni, doszło do spotkania siedmiu mężczyzn w nierzucających się w oczy szarych garniturach. Mijając wyłożone pluszem i obwieszone lustrami korytarze, panowie ci skierowali się w stronę jednego z wielu salonów przeznaczonych na konferencje i inne tego rodzaju spotkania. Na drzwiach salonu nie było żadnej tabliczki informującej o rodzaju i charakterze obrad, ale właśnie owa tajemniczość wskazywała, że idzie w tym przypadku o nader ważne spotkanie.

Owymi nie rzucającymi się w oczy panami byli prezesi i wiceprezesi Banku Włoskiego, Continental Illinois National Bank & Trust Company of Chicago, Chase Manhattan New York, Credit Suisse z Genewy, Hambros Bank z Londynu i Banca Unione z Rzymu. Phil Canisius z Istituto per le Opere Religiose, który świadomie zrezygnował z białej kapłańskiej koloratki i ubrany był tak samo jak inni w szary garnitur, rozglądał się wokół ze zmieszaniem, pozostali panowie bowiem zażądali wyjaśnień. Całe to spotkanie, jak się mogliśmy potem dowiedzieć, miało następujący przebieg:

– Jedyne, co mogę panom dzisiaj powiedzieć – stwierdził na wstępie Canisius – to tylko tyle, że dla nazwiska Abulafia, jakie pojawiło się na sklepieniu kaplicy, nie ma absolutnie żadnego wyjaśnienia!

– Co tam Abulafia! – sapnął gniewnie Jim Blackfoot, wiceprezes Chase Manhattan. – Nie interesuje nas zupełnie wasz dziwaczny napis. Interesuje nas za to, co macie zamiar zrobić, aby położyć kres dalszym dyskusjom i podejrzanym konszachtom w Watykanie!

– Moja firma – wtrącił Urs Brodmann z Credit Suisse – nie przykłada najmniejszej wagi do tego, by trafić na pierwsze strony gazet!

– Ależ moi panowie! – powiedział uspokajająco Canisius. – O tym w ogóle nie może być mowy. Na razie całą sprawą zajmują się jeszcze naukowcy. Próbuje wyjaśnić znaczenie nazwiska Abulafii, które Michelangelo wypisał na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Więcej nic.

– Powiedziałbym, że to wystarczy – odparł Antonio Adelman z Banca Unione, jeden z najbardziej poważanych bankierów rzymskich, którego słowo miało w kręgach finansjery

dużą wagę. – Nie ma nic bardziej wrażliwego od rynku papierów wartościowych. W każdym razie zarejestrowaliśmy już pierwsze odwołania transakcji. Niech więc ksiądz coś zrobi i niech ksiądz to zrobi tak szybko i dyskretnie, jak to tylko możliwe!

Phil Canisius udał obrażonego tym sformułowaniem. Mimo iż w zasadzie był tego samego zdania co pozostali bankierzy, próbował ich uspokoić, stwierdzając, iż jeżeli odkrycie jakiegokolwiek inskrypcji ma prowadzić do wahań na giełdach, to należałoby pozbawić naukowców jakichkolwiek możliwości prowadzenia dalszych badań.

– Powtarzam raz jeszcze – odezwał się Blackfoot – nie idzie tu o napis, bez względu na to, czy jest dziełem Michelangela, Rafaela, da Vinci czy kogokolwiek innego, ale tylko i jedynie o zaufanie do interesów łączących nasze banki, które nie są pozbawione pewnej pikanterii, o czym chyba nie muszę księdzu przypominać, Eminenza Canisius. Jak do tej pory, IOR uważany był za miejsce gwarantujące całkowite zachowanie tajemnicy. Obawiam się, że może to ulec zmianie, jeżeli cały świat będzie poszukiwał rozwiązania tajemnicy tego napisu.

– Proszę sobie tylko przypomnieć nieoczekiwaną śmierć ostatniego papieża i związane z nią pogłoski o jego zamordowaniu – przytaknął mu Douglas Tenner z Hambros Bank. – Musiały minąć trzy lata, aby rynek się uspokoił. Nie, Canisius, podstawą naszych interesów jest wiara w trwałość Watykanu, to dziwne przedstawienie zaś nie najlepiej temu służy. Jeżeli pan rozumie, co mam na myśli.

– Zbyt długo rozmawiamy, pomijając sedno sprawy – uniósł się Neil Proudman; był wiceprezesem Continental Illinois i znał Canisiusa od wielu lat. – IOR jest najlepszym z adresów, jeśli idzie o pranie pieniędzy, i wszyscy, jak tutaj jesteśmy, chętnie słuchamy, co ksiądz pierze, ale wiemy też, że jest to interes nielegalny. Jeśli się o tym dowie opinia publiczna, nie będzie to, użyjmy tego sformułowania, zbyt korzystne dla naszych interesów. Zostałem upoważniony, aby przekazać księdzu, iż jeżeli w ciągu krótkiego czasu sytuacja w Watykanie się nie wróci do normy, nasza grupa poczuje się zmuszona zaprzestać prowadzenia dalszych interesów z wami.

Pozostali z zebranych nie chcieli co prawda posuwać się aż tak daleko, ale zgłosili podobne zastrzeżenia.

W czasie kiedy prezesi banków obradowali w hotelu „Exelsior”, kardynał Joseph Jellinek przebywał w Tajnym Archiwum Watykanu i szukał informacji związanych z Abrahamem Abulafią. Za tym nazwiskiem, czego był całkowicie pewny, ukrywało się coś więcej aniżeli dokumenty świadczące, że mamy do czynienia z kabalistą i heretykiem, jednakże śledztwo to przypominało szukanie igły w stogu siana. Z pożądliwą ciekawością Jellinek przebijał się przez niezliczone *buste* i odcyfrowywał z piekącymi oczyma rękopisy. Obca woń przeszłości działała na niego jak trucizna i mimo iż dzieliły go od tych dokumentów i akt wieki, ludzie, których spotykał na pergaminowych kartach, stali się dla niego terazniejszością.

Przed wszystkim coraz bliższy stawał mu się Michelangelo, tak że w miarę upływu czasu kardynał zaczął już głośno z nim rozmawiać i odpowiadać na retoryczne pytania, jakie

tamtę zadawał w swoich listach. Stopniowo też, aczkolwiek z oporami, przyzwyczajał się do nieokrzesanego tonu, przekleństw i potoków obelg, jakimi za każdym razem florentyńczyk obrzucał papieża i Kościół. Poszukiwanie klucza do nazwiska Abulafii zamieniało się z wolna w przygodę, było nieomal podróżą do nieznanego kraju, wypełnioną zaskakującymi spotkaniami i zwiedzaniem dziwnych miejsc. Niektóre z dokumentów Jellinek oglądał pełen ciekawości, tracił jednak szybko orientację i był szczęśliwy, odkrywając inne ślady. Pewnych ludzi, których spotkał, omijał z daleka, za to innymi zajmował się nader dokładnie. Krótko mówiąc, kardynał był odurzony swoją pracą i żadna siła na świecie, nawet perspektywa odkrycia rzeczy w najwyższym stopniu przykrych, nie byłaby w stanie stłumić żądzę czynu, był bowiem świadom, iż tylko on, jako człowiek posiadający dostęp do *Riserva*, może rozwiązać tajemnicę Abulafii.

Bardzo późno, mogło już być około północy, kardynał Jellinek wszedł do Sala di merce i wykonał piętnasty ruch, przesuując swoją damę z c5 na d4. Był ciekaw, co się teraz wydarzy.

21. W środę drugiego tygodnia Wielkiego Postu

Następnego dnia, w nadziei zinterpretowania przedstawionych na freskach postaci i wydarzeń, aby w ten sposób natrafić być może na ślad sposobu rozwiązania tajemnicy, kardynał Jellinek zaprosił na wizję lokalną profesora Parentiego, głównego konserwatora, Bruno Fedrizziego i dyrektora generalnego Dyrekcji Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich, profesora Pavanetto.

– Interpretacji tych fresków usiłowało już dokonać całe pokolenie historyków sztuki – machnął z rezygnacją ręką Parenti – i każdy z nich dochodził do innego wyniku, nie potrafiąc przy tym dostarczyć dowodu na prawidłowość swoich wyjaśnień.

Cała czwórka wyciągnęła szyje, wpatrując się w sklepienie kaplicy.

– A więc również i pan ma swoją własną interpretację całego fresku – powiedział Jellinek.

– Oczywiście – odparł Parenti – ale tak jak pozostałe, jest ona tylko subiektywna.

– Czy Michelangelo był człowiekiem wierzącym, profesore? – zapytał nagle kardynał, po czym spieszenie dodał: – To pytanie może być w tym miejscu dla pana zaskakujące.

– Wasza Eminencjo – Parenti spojrzał na Jellinka – to pytanie jest dla mnie mniej zaskakujące aniżeli moja odpowiedź Waszej Eminencji, która brzmi: nie! W sensie nauk Świętego Kościoła Michelangelo był złym chrześcijaninem. Nie dlatego, że nienawidził papieży. Wydaje mi się, że coś bardzo odmieniło jego życie i sposób myślenia i skierowało go na inne tory.

– Mówi się – przyszedł Parentiemu z pomocą professore Pavanetto – że był zwolennikiem neoplatonizmu i w młodych latach utrzymywał stosunki z Ficino!

– Ficino? – wtrącił się Fedrizzi. – Kto to jest Ficino?

– Marsilio Ficino – wyjaśnił Parenti – był humanistą i filozofem wykładającym na ufundowanej przez Medicich Akademii Platońskiej. Wszystkie swoje filozoficzne rozważania i idee opierał na Platonie, skąd też jego teorie określa się jako neoplatonizm.

– Był więc heretykiem?

– Ficino był księdzem – wzruszył ramionami Parenti. – Oskarżono go o herezję, ale został uniewinniony. Twierdził, iż dusza ludzka pochodzi od Boga i dąży do zjednoczenia ze swoim

praźródłem. Dla wielu doktorów Kościoła była to wtedy herezja.

– Ale człowiek, który tak dokładnie zna słowa Biblii, nie może być heretykiem – wtrącił Pavanetto.

– To mylny wniosek – odparł Parenti. – Historia udowodniła przecie, że największymi wrogami Kościoła byli zawsze znawcy Biblii. Nie muszę chyba wymieniać ich nazwisk.

– Zapomnijmy na chwilę o odkrytej inskrypcji – powiedział Jellinek zwracając się do profesora Parentiego. – W jaki sposób wyjaśniłby pan laikowi poszczególne sceny z fresku Michelangela?

– No dobrze – odparł Parenti. – Spróbuję zacząć od końca i trzymać się na razie używanej przez wszystkich interpretacji. Wiemy z listów artysty i papieża, że Michelangelo nie ugiął się pod żądaniami Juliusza II i że w końcu papież pozostawił Michelangelo wolną rękę w kształtowaniu scen fresku. Są eksperci, którzy poważnie wątpią, czy Michelangelo Buonarroti jest odpowiedzialny za tę ikonografię, czy też przypadkiem nie kryje się za tym projektem ktoś z teologów.

– Kto mógłby wchodzić w grę w tym przypadku? – zapytał z powagą Jellinek.

– Do dnia dzisiejszego pytanie to pozostaje bez odpowiedzi, Wasza Eminencjo.

– A jak miałby wyglądać tego rodzaju projekt teologiczny?

– Jeden z brytyjskich badaczy na przykład przypuszcza, że zestawienie proroków i Sybilli ma związek z dwunastoma kanonami apostolskiego wyznania wiary, ponieważ niektóre z nich zgadzają się z ich naukami, sposobem przedstawiania czy wreszcie życiorysem. Zachariaszowi odpowiadałaby na przykład zasada: *Credo in Deum Patrem omnipotentem creatorem coeli et terrae*, Joelowi: *et in Jesum Christum, Filium eius unicum, Dominum nostrum*, Izajaszowi: *qui conceptus est de Spiritu Sancto, natus ex Maria Virgine*, Ezechielowi: *passus sub Pontio Pilato, crucifixus, mortuus et sepultus, descendit ad infernos*, Danielowi: *tertia die resurrexit a mortuis*, Jeremiaszowi: *ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Dei Patris omnipotentis*, Jonaszowi: *inde venturus est iudicare vivos et mortuos*, Sybilli Delfickiej: *credo in Spiritum Sanctum*, Erytrejskiej: *Sanctam Ecclesiam catholicam, sarictorum communionem*, Sybilli z Cumae: *remissionem peccatorum*, Perskiej: *corporis resurrectionem*, Libijskiej: *et vitam aeternam**.

– Cóż za zuchwała interpretacja! – powiedział Jellinek, podczas gdy pozostali zamyślili się. – Przede wszystkim należy ona do gatunku tych, przy pomocy których można dowieść wszystkiego i zarazem niczego.

– I tak jest w rzeczywistości – odparł Parenti. – Jeżeli zanalizujemy tekst i sceny z fresku, znajdziemy zaskakujące podobieństwa.

– Na przykład? – zapytał Fedrizzi.

– W księdze Daniela, uosabiającego tu zmartwychwstanie, w rozdziale dwunastym napisano dosłownie: „Lecz ty idź swoją drogą, aż przyjdzie koniec; i spocziesz, i

* Wierzę w Boga Wszechmogącego...

powstanieś do swojego losu u kresu dni!” A u Izajasza, symbolizującego narodziny Chrystusa, można przeczytać w rozdziale dziewiątym: „Albowiem dziecię narodziło się nam, syn jest nam dany i spocznie w łonie na jego ramieniu”. Jonasz z kolei, przedstawiający Sąd Ostateczny, opisuje w rozdziale trzecim swej księgi boski sąd nad Niniwą. Także jeśli idzie o pozostałych proroków, można stwierdzić podobne zgodności. Jednakże interpretacja ta budzi duże wątpliwości ze względu na sposób przedstawienia Sybilli. Jeżeli jeszcze Pytii z Delf można przyporządkować wszechwiedzę Ducha Świętego, to pozostałe wymagają już pewnego rodzaju akrobatyki myślowej, o co nie podejrzewałbym Michelangela.

– Czyżby nie posądzał pan Michelangela o taką inteligencję? – odezwał się oburzony Pavanetto.

– Nie idzie mi o zdolności – odparł Parenti – ile o chęć.

– Ale czyż to właśnie nie Michelangelo posługiwał się wielokrotnie tego rodzaju dziwną tajemniczością? – zapytał Jellinek.

– To prawda – odpowiedział Parenti. – Michelangelo był wszystkim, tylko nie człowiekiem, którego można by posądzać o beznamietność; żył w swoim własnym, trudnym do ogarnięcia świecie i nie ma żadnych wątpliwości, że ten artysta obchodził się z Biblią, a dokładniej ze Starym Testamentem, w sposób nader dowolny i arbitralny. Nadał niektórym wydarzeniom nadmierną wagę, ignorując całkowicie inne, jak na przykład budowę wieży Babel, czyli motyw, który u innych malarzy występuje bardzo często.

– Mord popełniony przez Kaina! – wtrącił się Pavanetto.

– Tak, tej sceny także brakuje, mimo iż to wydarzenie jest bardzo ważne dla Kaina i jego plemienia.

– Myślę – stwierdził Jellinek – że powinniśmy oddzielić sposób traktowania Biblii przez Michelangela od tego, w jaki czynią to teolodzy; tylko tak możemy w ogóle zbliżyć się do poznania treści fresków. Tak, im więcej zajmuję się tymi scenami, tym bardziej uświadamiam sobie, iż Michelangelo zabrał się do pracy nad swym dziełem z celową naiwnością. Co pan o tym sądzi, profesore?

– Może sformułuję to w ten sposób: dokonana przez Michelangela interpretacja starotestamentowej historii Stworzenia Świata i Zbawienia wywodzi się z ducha, a nie litery. Spójrzmy choćby na wstępie na stworzenie Świata – Parenti wskazał na przednią część sklepienia – zanim Bóg zaczął odpoczywać siódmego dnia, stworzył osiem rzeczy. U Michelangela jest ich dziewięć. Dla niego stworzenie Adama i Ewy, o których w Biblii mówi się tylko, że Bóg stworzył kobietę i mężczyznę, to dwa odrębne wydarzenia, nie uwarunkowane na dodatek względami artystycznymi. I tak siedem dni Stworzenia Michelangelo namalował na pięciu tylko freskach. Spójrzmy na pierwszy z nich, oddzielenie światła od ciemności przez Boga Ojca; już w tym miejscu pojawia się pierwsza zagadka.

– Mam nadzieję – przerwał mu kardynał Jellinek – że wyjaśni nam pan, dlaczego Bóg Ojciec ma kobiece piersi!

– Proszę o wybaczenie, Wasza Eminencjo, ale nie potrafię; po dzień dzisiejszy nie znaleziono sensownego wyjaśnienia tego faktu. Bardziej zrozumiała jest natomiast druga scena, stworzenie Słońca, Księżyca i Ziemi, aczkolwiek i w tym przypadku istnieją różnice zdań. Bóg, szeroko rozłożywszy ramiona, nadlatuje z szybkością burzy; jak się wydaje, malując tę scenę Michelangelo opierał się na Izajaszu, który szczególnie podkreślał znaczenie ramienia Pana, *bracchium Domini*^{*}, jako przeprowadzającą swoją wolę potęgę. Podczas gdy Boska prawica dotyka tarczy słonecznej, florentyńczyk zdaje się stroić sobie figle ze stworzenia Ziemi i roślin, każąc ukrytemu gdzieś w tle Bogu latać wokół słońca. Prawdopodobnie jednak Michelangelo chciał poprzez tę nader ryzykowną scenę przypomnieć fragment z księgi Mojżeszowej, w którym Mojżesz prosi Boga, aby ukazał mu swoją wspaniałość, Bóg zaś pozwolił mu spojrzeć jedynie na swoje plecy.

– *Videbis posteriora mea*^{*}! – mruknął Jellinek, dodając, jakby to było najzupełniej oczywiste, numerację tego fragmentu: Exodus, 33, 23.

Parenti skinął głową potwierdzająco i kontynuował swoje wyjaśnienia:

– Uчени nie mogą się pogodzić, jeśli idzie o interpretację postaci dzieci wyglądających z fałd szaty Boga. Jedni twierdzą, że idzie tu o zapowiedź pojawienia się Jezusa i Jana, inni zaś sądzą, iż są to anioły, które, jak napisano w Psalmach, chwalą jego dzieło. Na trzecim fresku Bóg Ojciec unosi się ponad wodami w towarzystwie aniołków. To zapewne najbardziej jednoznaczna i najłatwiejsza do objaśnienia scena. Czwarty fresk ukazuje stworzenie Adama; chyba najśłynniejsza ze scen całego malowidła: Bóg daje życie leżącemu na ziemi mężczyźnie, dotykając jego bezwładnego palca wskazującego, spod boskiego ramienia wygląda ożywiona już kobieta. Istnieją również inne, nawet bardziej prawdopodobne teorie, że w przypadku tej młodej dziewczyny idzie o Zofię, narzeczoną Salomona.

– Sławi swe szlachetne pochodzenie, gdy obcuje z Bogiem i miłuje ją Władca wszechrzeczy – zacytował Jellinek z pamięci fragment tekstu – Jest bowiem wtajemniczona w wiedzę Boga i może wybierać spośród dzieł Jego. A jeśli warto pożądać w życiu bogactwa, to cóż jest cenniejszego nad mądrość, która wszystko sprawia?

– *Bravo, bravissimo!* – wykrzyknął z uznaniem Pavanetto. – Wydaje mi się, że Wasza Eminencja zna Stary Testament na pamięć!

Jellinek machnął ręką, broniąc się przed komplementami.

– Jak widać – kontynuował swoje wyjaśnienia Riccardo Parenti – niektóre sceny namalowane przez Michelangela pozwalają na prostą, jednoznaczną interpretację, zawierając jednocześnie inną, o wiele bardziej tajemniczą, co zapewne utrudni nam wyjaśnienie znaczenia nazwiska Abulafia. Piąty fresk, stworzenia Ewy, potwierdza w zasadzie raczej teorię, według której to Zofia, a nie Ewa wygląda z fałd szaty Boga, ta Ewa bowiem jest zupełnie inna: po kobiecemu okrągła, z długimi włosami, podczas gdy postać występująca na

* ramię Pana

* zobaczysz moje plecy

poprzednim fresku ma delikatną figurę i nosi krótkie włosy. Szczególną uwagę w tej scenie zwraca fakt, iż wbrew Biblii Bóg nie dotyka tej kobiety, raj zaś, który przez wszystkich artystów przedstawiany jest jako ogród pełen bujnie kwitnących roślin, drzew owocowych i zwierząt, wygląda tu jak wymarła pustynia. Nawet drzewo, o które opiera się śpiący Adam, jest tylko obcięty w połowie wysokości pniem; można by zadać sobie pytanie, czy Michelangelo nie chciał przypadkiem w ten sposób ukazać własnego, pozbawionego radości raju. W scenie grzechu świat jest w każdym razie monotony i pusty. Środek obrazu tworzy wąż owinięty wokół Drzewa Poznania i w przeciwieństwie do Biblii, Adam i Ewa sięgają razem po zakazany owoc, a na wysokości ukazują się odziany w czerwone szaty archanioł i mieczem wypędza ludzi z raju. Porównując postaci Adama ze sceny Stworzenia i Wypędzenia widać wyraźnie wielką sztukę Michelangela: tam jest on promieniejącym, podobnym Bogu Adamem, tu natomiast załamany człowiekiem.

– Czy wiadomo, dlaczego Michelangelo nie namalował postaci Kaina i Abla? – zapytał Jellinek.

– Nie – odparł Parenti – także i tutaj mamy do czynienia ze swoistego rodzaju sympatiami i niechęcią do pewnych postaci. Za to na przykład Noe pojawia się aż trzy razy: podczas składania ofiary, w scenie potopu oraz pijaństwa. Co dziwniejsze, Michelangelo myli nawet chronologię wydarzeń, składanie ofiary przedstawione zostało bowiem przed potopem. Jeśli idzie zaś o detale, składanie ofiary jest najbardziej wiernie odtworzoną sceną całego fresku na sklepieniu kaplicy. Opiera się ona na następującym fragmencie tekstu: „Wtedy zbudował Noe ołtarz Panu i wziął z każdego bydła czystego i z każdego ptactwa czystego, i złożył je na ofiarę”. Widzimy Noego z wyciągniętą w kierunku nieba prawicą, żona Noego mówi coś do męża, na pierwszym planie z prawej strony widnieje jakiś chłopiec, który zabitemu baranowi wyciął serce, drugi znosi drewno, trzeci zaś roznieca ogień. Bez wątplenia wszystko to miało miejsce po potopie, ale dla Michelangela kataklizm dopiero nastąpi.

– Nie wiem dlaczego – odezwał się Fedrizzi z oczami utkwionymi w sklepieniu – ale ten fresk wywiera na mnie największe wrażenie.

– Jest on na pewno najbardziej wzruszający – odpowiedział Parenti – ukazuje bowiem cały szereg różnych ludzkich losów.

– Ale raczej w dowolny sposób – dodał Jellinek.

– Dowolny? W jakim stopniu?

– A więc scena ta przedstawia uratowanie się Noego z potopu jedynie na dalszym planie, że tak powiem, jako nieistotną drobnostkę. Głównym motywem fresku jest zniszczenie ludzkości, o którym czyta się w Piśmie: „Położę kres wszelkiemu ciału, bo przez nie ziemia pełna jest nieprawości; zniszczę je wraz z ziemią”.

– A piąty fresk, professore? Jaki sens ukryty jest w scenie pijaństwa?

– Mamy tu znowu do czynienia z jedną z tajemnic Michelangela. Artysta opiera się w tym fresku na krótkim fragmencie tekstu z dziewiątego rozdziału księgi Genesis: „Noe pierwszy

założył winnicę, potem upił się i leżał nagi, odurzony winem”. Michelangelo podchwycił tę scenę i ukazał po lewej stronie fresku Noego podczas pracy w winnicy. Na pierwszym planie jest on już pijany, obok niego stoi dzban i czara z winem, a całkiem po prawej stronie Cham, ojciec plemienia Kanaanu, wyśmiewa nagość ojca, podczas gdy synowie Sem i Jafet przykrywają go, odwracając głowy. Prawdopodobnie Michelangelo widział w tej scenie pierwowzór błędu, winy i uwikłania człowieka w sprzecznościach.

Obecni z zakłopotaniem spuścili głowy.

– Czy uważa pan za możliwe – zapytał kardynał Jellinek zwracając się do Parentiego – że w namalowanych przez Michelangela scenach ze Starego Testamentu ukryty jest klucz do tajemniczej inskrypcji?

Profesor nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Co to znaczy: uważam za możliwe! – powiedział w końcu unosząc głowę ku sklepieniu.
– W przypadku Michelangela wszystko jest możliwe. Według wszelkiego prawdopodobieństwa i własnego wycucia szukałbym jednakże rozwiązania wśród proroków i Sybilli, nie tylko dlatego, że pięcioro z nich związanych jest z owym dziwnym słowem „Abulafia”, ale także dlatego, że ich dwunastokrotne pojawienie się na sklepieniu jest tak dominujące, iż...

– Wiem, co chce pan powiedzieć – przerwał mu Pavanetto. – Prorocy i Sybille są dla obserwatora ważniejsi aniżeli pozornie tylko przypadkowo porzrzucone na fresku postaci ze Starego Testamentu.

Pozostali również zgodzili się z koncepcją Pavanetta.

– Proszę zwrócić uwagę na wybór proroków. Michelangelo namalował Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela, Zachariasza, Jonasza, Joela i Daniela, pomijając za to innych, mających większe znaczenie, jak Mojżesz, Jozue, Samuel, Natan i Eliasz. To zaskakujące; wprost nasuwa się pytanie o powody takiego wyboru. Czy jest to czysta samowola, czy też ukrywa się za tym jakaś inna, ważna przyczyna?

– Proroctwo o nadejściu Mesjasza! – wykrzyknął Jellinek. – W przeciwieństwie do innych, prorocy namalowani przez Michelangela przepowiedzieli nadejście Mesjasza.

– A Jonasz? – uśmiechnął się Parenti. – Czy dotyczyło to także Jonasza?

– Nie – odparł Jellinek.

– A więc teoria księdza kardynała jest fałszywa. W jaki sposób chce Wasza Eminencja uzasadnić obecność Jonasza? Sądzę, że jedynym wyjaśnieniem tego specyficznego wyboru może być fakt, iż Michelangelo dał pierwszeństwo proroczym pismom przed proroczym słowem, że wybrał proroków, którzy pozostawili po sobie własne księgi z przepowiedniami albo też w tych księgach występują.

– Sybille?

– Sybille są bez wątpienia postaciami niebiblijnymi, a ich obecność jest jedną z największych zagadek fresków na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Michelangelo nigdy nie

powiedział na ten temat ani słowa. Można by rzec, że są żeńskimi prorokami, ale podczas gdy one są przesiąknięte duchem ziemskim, proroków inspiruje duch kosmiczny. Odzywa się tu bez wątpienia neapolitańskie wykształcenie Michelangela. Wspólnie jednakże, prorocy i Sybille, są duchami występującymi w tle wydarzeń. Wasza Eminencja na pewno potrafi wskazać nam miejsce, w którym Paweł pisze o tym!

Jellinek skinął potwierdzająco głową i zacytował fragment z Pierwszego Listu Pawła do Koryntian:

„A co do proroków, to niech mówią dwaj albo trzej, a inni niech osądzają. Lecz jeśli by ktoś inny z siedzących otrzymał objawienie, pierwszy niech milczy. Możecie bowiem kolejno wszyscy prorokować, aby się wszyscy czegoś nauczyli i wszyscy zachęty doznali. A duchy proroków są poddane prorokom...”

– Tak pisze Paweł. Jeżeli porównamy teraz dwanaście postaci proroków i Sybilli, okaże się, że tylko Jonasz, Jeremiasz, Daniel i Ezechiel wyposażeni są w atrybuty, które pozwalają rozpoznać ich po imieniu. Gdyby Michelangelo nie opatrzył pozostałych tabliczkami z nazwiskiem, byłoby bardzo trudni do zidentyfikowania. Jonasz jest łatwy do rozpoznania po wielorybie i krzewie rącznika, Jeremiasz po swojej żałobie i rozpacz, jaka odnosi się do jego własnych słów: „Nigdy nie siadam do zabawy w gronie wesołym, siadam samotnie pod ciężarem Twojej ręki, gdyż zawziętością mnie napełniłeś. Czemu moja boleść trwa bez końca, a moja rana jest nieuleczalna i nie chce się goić?” Daniela można rozpoznać po dwóch księgach. Jak sam mówi, odpisuje fragmenty z księgi Jeremiasza. Ezechiel ma na głowie swoistego rodzaju turban, o którym zapisano w Biblii: „Lecz ty nie biadaj ani nie płacz, niech ani jedna łza u ciebie się nie pojawi. Zawiąż sobie zwój na głowie, na nogi włóż sandały...” Pozostali zaś przedstawieni są, jeśli idzie o wygląd i postawę, w sposób bardzo swobodny.

Potem profesor przeszedł do objaśniania nagich postaci męskich unoszących się ponad głowami proroków i Sybilli, tak zwanych ignudi, wywołujących u wielu widzów zdziwienie.

– Ignudi są aniołami – powiedział Parenti. – Oto jak ich opisuje Stary Testament: płci męskiej, pozbawionymi skrzydeł, silnymi i pięknymi. Ich zmysłową nagość Michelangelo oparł najwyraźniej na fragmencie z Genesis, w którym pisze się o dwóch aniołach nocujących w domu Lota i mężczyznach z Sodomy, którzy pożądaliby pięknych młodzieńców. Występowanie aniołów parami Michelangelo przejął z kolei z opisu Arki Przymierza z drugiej księgi Mojżesza. Treść wymienionych z *fondi* panoramicznych fresków, z których jeden uległ zniszczeniu, została z dużym prawdopodobieństwem już wyjaśniona – stwierdził profesor, dodając, iż idzie tu o alegorie Dziesięciu Przykazań.

W końcu Parenti wskazał na trójkątne wyloty sklepienia ponad oknami.

– Przedstawiają one bez wątpienia – powiedział – drzewo genealogiczne wybranego narodu, poczynając od Abrahama, Izaaka i Jakuba aż po Józefa, w sumie czterdzieści osób. I taka jest, z grubsza biorąc, treść fresków na sklepieniu sykstyńskim.

Słuchacze milczeli, zastanawiając się nad usłyszczanymi przed chwilą słowami.

– O czym ksiądz myśli, Eminenza? – zapytał Pavanetto.

– Zastanawiam się, czy Stary Testament, bo Michelangelo tylko nim się zajmował, czy więc Stary Testament został przez niego sfałszowany, czy też zinterpretowany w sposób iście dowolny. A może chciał on swoim sposobem przedstawienia osiągnąć jakiś inny cel?

– Mnie natomiast – odparł Pavanetto – kiedy już wysłuchaliśmy tych objaśnień, krąży po głowie całkiem inne pytanie: Czy Michelangelo był rzeczywiście tak świetnym znawcą Biblii, czy też brał korepetycje u jakiegoś teologa?

– Nic na ten temat nie wiemy – odpowiedział Parenti.

– To wrażenie jest złudne – przerwał mu Jellinek – bo jeżeli pominiemy na chwilę Genesis, której w szkole uczy się każde dziecko, Michelangelo zajmował się tylko prorokami Izajaszem, Jeremiaszem i Ezechielem, znał poza tym Psalmy. Natomiast z przekazów historycznych wie on jedynie o kilku detalach z ksiąg Machabeuszów. W sumie jest to tylko drobna część Starego Testamentu.

– Sądzę – stwierdził Parenti – iż z różnic w stylu widocznych na freskach można wyciągnąć wniosek, że Michelangelo dopiero w trakcie pracy nad malowidłem zaczął intensywniej zajmować się Biblią. Trzeba też wiedzieć, że artysta malował wbrew znanej nam chronologii, a więc zaczął od pijaństwa Noego i od tej sceny posuwał się dalej do przodu. Wniosek ten może potwierdzać już sam sposób przedstawienia Boga Ojca. Proszę spojrzeć na najpierw namalowanego przez Michelangela Boga Ojca w scenie stworzenia Ewy i porównać go z Bogiem ze sceny stworzenia Adama, albo kolejnych. Zobaczycie wtedy nowe, inne sposoby przedstawienia Boga. To samo dotyczy proroków i Sybilli, z których pierwsze co prawda nie są brzydsze, ale powstałe później charakteryzują się większą ilością biblijnych szczegółów, jak gdyby Michelangelo dowiedział się o tym właśnie czytając Biblię.

– A tajemnicza inskrypcja? – zapytał pełen napięcia Jellinek.

– Napis musiał być zaplanowany od początku – odpowiedział główny konserwator, Fedrizzi – chociażby ze względów formalnych związanych z rozstawieniem liter na całej długości fresku. Poza tym, jak już o tym wcześniej mówiłem, inskrypcja nie jest dodatkiem wykonanym później, ponieważ użyta doń farba ma ten sam skład jak ta, jaką malowano freski.

– A więc Michelangelo – Jellinek spojrział zakłopotany na posadzkę – już od samego początku nosił się z myślą umieszczenia na sklepieniu jakiejś tajemnicy. To oznacza, że inskrypcja nie powstała w odruchu nagłej wściekłości lub chwilowej zmiany nastroju.

– Nie – odparł Fedrizzi. – Moja ekspertyza dowodzi czegoś wręcz przeciwnego.

22. Również w środę drugiego tygodnia Wielkiego Postu

Wiele odkryć w historii ludzkości zawdzięczamy nie tyle mózgowi ludzkiemu co zwykłemu przypadkowi, i nie inaczej zdarzyło się w tym wypadku, którym zainteresowali się najróżniejsi ludzie z przeróżnych powodów. Zdarzyło się, że Augustyn opowiedział opatowi swego klasztoru na Awentynie o wzburzeniu, jakie inskrypcja sykstyńska za sprawą florentyńczyka spowodowała w Kurii.

– Nie wiem – zakończył swoje opowiadanie Augustyn – jaki magiczny czar wywiera Michelangelo na potomność, ale od chwili odkrycia tego napisu ożyły duchy przeszłości.

– Mój ślub, bracie – powiedział opat, niski starzec o łysej czaszce, imieniem Odilo, po wysłuchaniu słów współbrata – nakazuje mi uczciwość, ale nakłada także obowiązek opieki nad tym klaszorem. Teraz mam wątpliwości, któremu z tych ślubów powinienem przyznać pierwszeństwo. Jeżeli będę mówił prawdę i opowiem ci wszystko, co wiem, to ta prawda będzie straszliwa. Gdybym zaś milczał, wbrew swemu przekonaniu, będzie to milczenie korzystne dla klasztoru, a może nawet Kościoła. Dźwigam na sobie ciężkie brzemię. Co mam uczynić, bracie Augustynie?

– Każdy musi rozstrzygnąć we własnym sumieniu, o czym ma mówić, a o czym milczeć – stwierdził Augustyn nie rozumiejąc sensu słów opata.

– Posłuchaj, bracie – zaczął opat – w piwnicach tego klasztoru leżą dokumenty, które plamią czyste sumienie naszego zakonu, a nawet Kościoła. Boję się, że mogą wypłynąć porwane wirem tych poszukiwań, i dlatego też, bracie, chcę ci powiedzieć prawdę. Pójdź ze mną!

Augustyn zszedł z opatem po wąskich kamiennych schodach narożnej wieży. Chłód, jaki powiał im z naprzeciwka, początkowo był miły w upale panującym tej wiosny; jednakże im głębiej schodzili, tym wilgotniejsze i duszniejsze było powietrze. Przed wąskimi ostrołukowymi drzwiami z żelaznej blachy opat Odilo wyciągnął klucz z kieszeni habitu. Otwierane drzwi zaskrzypiały sucho, tak jak drzwi, które nie były długo otwierane. Lewą ręką opat namacał kontakt i zapalił światło. Zwykle, nagie żarówki rzucały rozproszony blask na, zda się, nie kończące pomieszczenie ze stojącymi pod ścianami drewnianymi regałami, skrzyniami i szafami zawierającymi księgi i segregatory z dokumentami. Wszystko sprawiało

wrażenie wielkiego chaosu.

– Czy byłeś tu kiedyś, bracie? – zapytał opat i ruszył przodem, mijając wywrócony regał z księgami.

– Nie – odpowiedział Augustyn – nie wiedziałem w ogóle, że ta piwnica istnieje. Co się tu przechowuje?

Opat zatrzymał się, wziął do ręki jeden z foliałów, zdmuchnął grubą warstwę kurzu z oprawy i otworzył go.

– Spójrz tutaj! – powiedział i zaczął czytać: – W dniu Matki Boskiej Gromnicznej roku Pańskiego tysiąc sześćset siedemdziesiątego siódmego Confoederatio Oratorii S. Philippi Nari zrzeszyła 89 księży i 240 braci bez złożonych ślubów, którzy postanowili postępować według zasad Ewangelii i poświęcić się nauce i pobożnemu dziełu duszpasterstwa. Do wyżywienia jest przez rok 329 dusz, a uczynić to należy środkami, jakie uzyskane będą z własnego gospodarstwa, pobożnych darów i otrzymanego po ośmiokroć zapisu spadkowego...

– To buchalteria klasztoru! – wykrzyknął ojciec Augustyn.

– Słusznie – odparł opat – prowadzona od założenia Oratorium przez Filippo Neri w roku 1575 do końca ostatniej wojny. Od tamtego czasu mamy już dla klasztornej księgowości nowe pomieszczenia.

Opat Odilo podszedł do stosu zbitych z surowych desek skrzyń. Ich wieka były zabite gwoździami. Odilo wyjął scyzoryk i po krótkiej chwili udało mu się podważyć pierwszą z pokryw.

– To co teraz zobaczysz – powiedział zajmując się dwoma kolejnymi wiekami – nie należy akurat do chwalebnych czynów naszego zakonu, a także katolickiego Kościoła – a potem z siłą, o jaką nikt nie podejrzewałby tego niskiego człowieka, wyłamał pierwsze wieko.

– Jezus Maria! – wyrwało się Augustynowi. W skrzyni leżały rzucone bezładnie na stos, jak imitacje, sztabki złota, biżuteria i szlachetne kamienie. – Czy to wszystko prawdziwe? – zapytał ostrożnie.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa, tak – odparł opat i zabrał się do drugiego wieka. – Wszystkie skrzynie, które tu widzisz, bracie, są tego pełne.

– Ale przecież to są miliony!

– Dziesiątki milionów, bracie. Tyle milionów, że niemożliwe jest sprzedanie tych rzeczy bez zwrócenia uwagi.

Odilo otworzył w tym czasie drugą skrzynię i Augustyn, oczekujący dalszych skarbów, doznał rozczarowania.

– To tylko papiery osobiste, paszporty i dokumenty!

Odilo w milczeniu podsunął zakonnikowi szary paszport. Dopiero teraz ojciec Augustyn rozpoznał na jego okładce swastykę. Także i pozostałe dokumenty nosiły pieczętki z tym znakiem.

– Co to ma oznaczać? – Augustyn zaczął grzebać w dokumentach, których mogło być w

skrzyni kilkaset sztuk.

– Słyszałeś kiedy o „szlaku klasztornym”, bracie?

– Nie, a co to takiego?

– Skoro pytasz, to sędzę, że tajna organizacja ODESSA też jest ci pojęciem obcym?

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Pod koniec ostatniej wojny rozpoczęła się w Europie wielka wędrówka. Wielu ludzi, którzy wyemigrowali przed nazistami, powracało do ojczyzny, z kolei zaś duża liczba narodowych socjalistów uciekała za granicę. Ale europejskie granice były zamknięte i wszędzie poszukiwano starych nazistów. Wtedy to powstała ODESSA; ODESSA jest skrótem od „Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen”. Kiedy część nazistów zorientowała się, że Trzecia Rzesza jest już zgubiona, zaczęli oni zbierać pieniądze oraz dzieła sztuki i po kolei przetrzucać je do innych krajów, z których mieli zamiar uciekać dalej. Do kas Watykanu wpłynęło wtedy dużo pieniędzy. Nie twierdzę, iż od początku wiadano, z jakich źródeł pochodzą i na jakie cele będą przeznaczone, ale kiedy w Kurii zorientowano się, o co idzie, było już za późno. Od tej chwili Kuria wraz z ODESSĄ były wspólnie zainteresowane w utrzymaniu tajemnicy. Sztuczka jaką wymyślili starzy naziści, była genialna, ale niemożliwa do przeprowadzenia bez zgody Kurii. Najpierw ich ludzie wstępowali do klasztorów. Zależnie od tego, gdzie się znajdowali, były to Niemcy, Austria, Francja lub Włochy. W tych klasztorach jednakże przebywali tylko kilka dni, potem udawali się, przeważnie wyposażeni w list polecający od opata, do następnego klasztoru, a stamtąd, po krótkim czasie, znowu do innego. W ten sposób stopniowo zacierali za sobą ślady. W końcu wszyscy lądowali w...

– Proszę pozwolić wypowiedzieć mi swoje podejrzenie! – przerwał mu ojciec Augustyn.

– W końcu wszyscy lądowali, przebrani za braci zakonnych, w tym tutaj Oratorium.

– Tak było dokładnie.

– Mój Boże. A co się stało potem z tymi ludźmi?

– Watykan wystawiał im fałszywe dokumenty, potwierdzał ich przynależność do zakonu, dawał nowe nazwiska i nowe adresy, co z dzisiejszego punktu widzenia zawiera w sobie pewną ironię, były to bowiem adresy biskupich ordynariatów we Wiedniu, Monachium czy Mediolanie. Ale cóż innego Watykan mógł uczynić? Kuria była szczęśliwa, że fałszywi zakonnicy chcą wyjechać za granicę, przeważnie do Ameryki Południowej; tak więc pozbywano się ich w ten właśnie sposób. Całą akcją sterował niejaki monsignore Tondini i jego młody pomocnik, Pio Segoni. Tondini kierował wówczas Watykańskim Urzędem Emigracyjnym, zwanym potem także Międzynarodową Katolicką Komisją Emigracyjną. Segoni pośredniczył między osiadłymi na mieliźnie „zakonnikami” a władzami watykańskimi i inkasował za to pieniądze oraz przedmioty wartościowe.

– Pio Segoni; czy ojciec rzeczywiście powiedział Pio Segoni?

Opat skinął głową.

– Z tego też powodu przyprowadziłem cię tutaj na dół. Nikt nie uwierzyłby, iż Oratorium

było końcową stacją tak zwanego „szlaku klasztorowego” i że siedział tu człowiek, który pod przykrywką chrześcijańskiej miłości bliźniego zabierał nazistom pieniądze i złoto. Naturalnie, sam ojciec Pio nie wzbogacił się przy tym, a w każdym razie tak sędzę, ale jego postępowanie nie przysparzało akurat chwały Bogu.

Kurz i stęchłe powietrze zaczęły wywierać już swój wpływ na płuca obu zakonników. Augustyn z trudem łapał powietrze.

– Zadaję sobie tylko pytanie – powiedział w końcu, starając się jak najmniej otwierać usta – zadaję sobie pytanie, dlaczego ojciec pokazał mi to wszystko.

– Zapewne jestem jedynym człowiekiem – odparł opat – który wie o zgromadzonych w tej piwnicy paszportach i skarbach. Wiedza ta została mi przekazana przez mojego poprzednika pod warunkiem zachowania najgłębszej tajemnicy. Jestem już bardzo starym człowiekiem, Augustynie, i tak jak ja musiałem do tej pory dźwigać to brzemie, teraz ty będziesz tym, który je ode mnie przejmie. Wiem, bracie w Chrystusie, że potrafisz milczeć, a także iż wiesz najwięcej o dokumentach pochodzących z tej nieszczęsnej epoki, wszystkie bowiem przechowywane są w Archiwum Watykańskim. Obawiam się, że w trakcie badań nad zagadką inskrypcji sykstyńskiej sam natkniesz się na tę tajemnicę, albo ktoś ci w tym pomoże. Teraz, kiedy już ją znasz, będziesz musiał żyć ze swoją wiedzą.

23. W piątek drugiego tygodnia Wielkiego Postu

Consilium, jakie zebrało się w piątek drugiego tygodnia Wielkiego Postu, zajęło się głównie pseudoepigraficznym charakterem podstawowych dzieł kabalistycznych i ich punktami stykającymi z naukami Kościoła katolickiego. Dyskusja nie doprowadziła jednak do żadnych wniosków, jakich można by było użyć do wyjaśnienia znaczenia nazwiska Abulafii, które zostało wypisane na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Za to padre Augustyn przedstawił zebrany dokument z czasów pontyfikatu Mikołaja III, w którym mowa była o tym, że podczas pobytu Abrahama Abulafii w klasztorze franciszkanów odebrano mu tajne pisma, będące pamfletem skierowanym przeciwko chrześcijańskiej wierze. Poszukiwania tego pamfletu nie przyniosły jednak wyników; został on bowiem prawdopodobnie spalony.

Informacja ta do głębi wzburzyła członków consilium. Przez wiele godzin dyskutowano nad tym, jaką treść zawierał rękopis żydowskiego mistyka, podsekretarz Kongregacji Wiary, Mario Lopez, poddał pod rozwagę, iż jeżeli Michelangelo rzeczywiście opierał się na tym dokumencie, to musiał on istnieć jeszcze w XVI wieku. Od tamtego czasu nie było bowiem chyba żadnego powodu, aby go niszczyć. W każdym razie nazwisko Abulafii nie pojawiło się już więcej w annałach Watykanu. Consilium przełożyło więc swoje obrady na czas nieokreślony, do chwili przedstawienia nowych wyników badań.

Tego wieczoru, po długiej przerwie, Jellinek i monsignore Stickler spotykali się wieczorem na szachy w mieszkaniu kardynała, ale zarówno jeden, jak i drugi nie myśleli zbyt o grze.

– Gardez! – powiedział Stickler raczej mimochodem, stawiając swoją wieżę na drodze białej damy Jellinka. Stało się to dokładnie po dziewięciu posunięciach. Kardynał był zmuszony przejść do defensywy.

– Sądzę – powiedział w końcu – że cały czas myślimy o tym samym.

– Tak – odparł Stickler – na to wygląda.

– Czy Wasza Wielebność – Jellinek zawahał się na moment – jest życzliwy Belliniemu?

– Co to znaczy, życzliwy. Jestem po jego stronie, jeśli o to idzie Waszej Eminencji, i ma to swoje przyczyny.

Kardynał spojrzął na prałata.

– Wasza Eminencja wie dobrze – kontynuował Stickler – że Watykan jest małym tworem państwowym z rządem i partiami, które się wzajemnie zwalczają lub tworzą koalicję. Są w Watykanie ludzie potężni, i tacy, co posiadają mniejszą władzę, wygodni i niewygodni, sympatyczni i niesympatyczni, przede wszystkim jednakże są ludzie niebezpieczni oraz nieszkodliwi. Byłoby błędem sądzić, że w Watykanie panuje tylko pobożność. Służyłem trzem papieżom, więc wiem, o czym mówię. Od pobożności do grzesznego szaleństwa jest tylko jeden mały krok i zbyt łatwo zapomina się, że Kuria składa się z ludzi, do tego nie świętych.

– Co Bellini ma wspólnego z tą sprawą? – zapytał obcesowo Jellinek.

– Ufam Waszej Eminencji – odezwał się monsignore po chwili milczenia. – Muszę nawet ufać, choćby z tej przyczyny, że jak się wydaje, mamy tych samych wrogów. Bellini stoi na czele grupy, która jest przekonana, że Gianpaolo nie umarł śmiercią naturalną, i wbrew najwyższemu zaleceniu z sekretariatu kardynała Sekretarza Stanu w dalszym ciągu prowadzi śledztwo w tej sprawie. Paczuska z należącymi do papieża pantoflami i okularami była na pewno pomyślana jako poważne ostrzeżenie, a nawet groźba mająca na celu zaprzestanie poszukiwań przez Waszą Eminencję. Możemy ją również uznać za dowód, iż w przypadku śmierci poprzedniego papieża nie wszystko było w porządku.

– Czy ksiądz zna nazwiska ludzi biorących udział w tym spisku? Jaką mogli mieć korzyść usuwając papieża?

Monsignore William Siekier na znak, iż uważa partię za zakończoną, zdjął swego króla z szachownicy, a potem spojrzał kardynałowi prosto w oczy.

– Proszę o zachowanie tajemnicy, Eminenza, ale ponieważ siedzimy w tej samej łodzi, powiem księdzu wszystko, co wiem.

– Cascone? – zapytał Jellinek.

Monsignore skinął głową.

– Dokument, który zniknął w tak tajemniczy sposób po śmierci Gianpaola, zawierał dokładne zalecenia dotyczące reorganizacji Kurii. Różnego rodzaju urzędy miały być obsadzone na nowo, inne ulec likwidacji. Osobami, które najdotkliwiej miały odczuć owe zmiany, byli: kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, dyrektor Istituto per le Opere Religiose, Phil Canisius, i Frantisek Kolletzki, podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że gdyby Gianpaolo nie umarł następnej nocy, tych trzech nie byłoby już na swych stanowiskach.

– Ale czy kardynała Sekretarza Stanu po prostu można, ot tak sobie, odwołać?

– Nie istnieje żadne prawo ani przepis, który by tego zabraniał, mimo iż nie zdarzyło się to od niepamiętnych czasów.

– Muszę przyznać, że zawsze uważałem Casconego i Canisiusa za rywali.

– I są nimi w rzeczywistości. W pewnym sensie obaj rywalizują ze sobą, są obcy sobie ludźmi. Cascone to bardzo wykształcony człowiek, który zwykł celebrować swój status;

Canisius jest natomiast z pochodzenia chłopem, i takim pozostał do dnia dzisiejszego. Urodził się w pobliżu Chicago i zawsze chciał zrobić karierę. Udało mu się co prawda otrzymać tytuł biskupa w Kurii, ale nawet ta godność to dla niego za wiele. Kiedy przejmował IOR, była to mało znacząca instytucja, ale Canisius uczynił z niej dzięki swemu talentowi bardzo szanowany instytut finansowy, mając zawsze zamiar odegrać w przyszłości dużą rolę w świecie wielkiej finansjery. Canisius ma instynkt pieniądza; sprzedałby nawet tiarę papieża Ameryce, gdyby mu na to pozwolono. Interesy uczyniły Canisiusa jednym z najpotężniejszych ludzi w Kurii, naturalnie ku niezadowoleniu kardynała Sekretarza Stanu, który uosabia świecką potęgę Kościoła. Sądzę, że w głębi duszy ci dwaj nienawidzą się, ale ich wspólnym interesem jest zachowanie tajemnicy. Czy Wasza Eminencja mnie rozumie?

– Rozumiem. A więc Bellini jest zwaśniony z Cascone, Kolletzkim i Canisiusem?

– To nie jest takie proste do wyjaśnienia. Bellini był tylko pierwszym, który w Kurii zważył w naturalną śmierć Gianpaola i otwarcie o tym mówił. Z tego powodu Cascone, Kolletzki i Canisius unikają kardynała Belliniego. Przede wszystkim unikają mnie, przeczuwają bowiem, że znam treść zaginionych papierów i wiem, że mieli być zwolnieni ze stanowisk. Wydaje mi się, że byli bardzo niezadowoleni, gdy Jego Świątobliwość wybrał mnie na swojego kamerdynera.

– Czy Jego Świątobliwość zna tę historię?

– Jestem zobowiązany do milczenia, Eminencja, także i wobec Waszej Eminencji.

– Nie musi ksiądz odpowiadać, mogę się sam domyślać.

24. *Nazajutrz po Oculi*

Nazajutrz po Oculi kardynał Jellinek dokonał w Tajnym Archiwum Watykanu niesamowitego odkrycia.

Z powodów, jakie dla niego samego były niezrozumiałe, nie odwiedzał już działu archiwum, w którym przed trzema tygodniami spotkał tajemniczego gościa, mimo iż od tego czasu gryzła go i dręczyła myśl, że przeoczył tam coś, jakiś kamyk nie pasujący do całego obrazu, ale mogący okazać się podstawą tej układanki. Jednakże ostatnia rozmowa z monsignore Sticklerem dodała mu odwagi. Powiedział sobie, że nogi, jakie widział w bibliotece, rzeczywiście były nogami nieproszonego gościa, a nie ducha. W podobny sposób wytłumaczył sobie, że tajemniczy posłaniec, który doręczył mu paczkę z okularami i czerwonymi pantoflami, był także po prostu ziemskim zjawiskiem. Również i halucynacje, jakim uległ w bibliotece, wydały mu się potem raczej skutkami nerwowego napięcia aniżeli działaniem pozaziemskiej instancji.

I tak, miotając się między racjonalnym wyjaśnieniem i irracjonalnym lękiem, udał się cicho, ale pewnym krokiem do bibliotecznej jaskini.

Prastara, oprawna w skórę księga wpadła mu w oko początkowo tylko dlatego, że na wprost wystawała z regału, tak jak gdyby ktoś odłożył ją w najwyższym pośpiechu. Jednakże kiedy wziął ją do ręki, zobaczył, teraz już w świetle dziennym, te same słowa wypisane tłoczonymi literami, których złoto zeszło już lub poczerniało po części na skutek upływu czasu, jakie ujrzał w swej wizji: LIBER HIEREMIAS.

Nie było, Na Boga, żadnego powodu, aby przechowywać tę księgę w Tajnym Archiwum! Jellinek znał niemal na pamięć jej początek: „Słowa Jeremiasza, syna Childkiasza z rodu kapłańskiego w Anatot, w ziemi Beniamina, którego doszło słowo Pana w czasach króla judzkiego Jozjasza, syna Amona, w trzynastym roku jego panowania...” Jednakże ku swemu zaskoczeniu kardynał stwierdził, że treść tej księgi była zupełnie inna. Pod pierwszą kartą „Księgi Jeremiasza” znajdowała się druga, opatrzona tytułem: „Księga Znaków”, bez podania nazwiska autora. Pierwsza strona foliału była podarta; brakowało jej górnej części. Jednakże słowa, jakie się na niej znajdowały, bardzo przypominały słowa Jeremiasza, aczkolwiek mimo to brzmiały zupełnie inaczej: „Powiedziałem: Tu jestem, a wtedy On ukazał mi

prawdziwą drogę, obudził mnie z mego snu i wpłynął na mnie, abym napisał coś nowego. Nie przeżyłem dotąd nic podobnego, i wzmocniwszy swoją wolę odważyłem się wznieść ponad moje zdolności pojmowania. Nazwali mnie heretykiem i niewiernym, bo zdecydowałem się służyć Bogu w prawdzie, nie jak ci, którzy błędzą w ciemnościach. Pograżeni w otchłani byli oni i im podobni, zachwyceni tym, że mogą uwikłać mnie w ich pychę i knowania. Ale Bóg sprawił, iż nie zamieniłem drogi prawdy na drogę fałszu”.

Były to dziwnie prorocze słowa, nie będące jednak słowami Jeremiasza, który na ten sam temat powiedział: „Dotarły do mnie słowa Pana: Wybrałem cię sobie, zanim cię utworzyłem w łonie matki, zanim się urodziłeś, poświęciłem cię, na proroka narodów przeznaczyłem cię”.

Jeżeli to odkrycie mogło się jeszcze wydawać nie związane ze sprawą, to następne już całkowicie wzburzyło kardynała; pomiędzy wytartymi, zniszczonymi przez czytanie stronami książki leżał list, podpisany „Pio Segoni OSB”. Minęła chwila, zanim Jellinek, nie przeczytawszy jeszcze listu, uświadomił sobie znaczenie tej kartki. Ojciec Pio! To ojciec Pio musiał być tym nieznanym, którego podczas Septuagesimy zaskoczył w Tajnym Archiwum. Drzwi otworzył sobie zapewne zapasowym kluczem, który przechowywał jako zwierzchnik Archiwów Watykańskich. Kardynała ogarnęło przerażenie.

Zaczął czytać list: „Ktokolwiek odkryje ten ślad w tym właśnie miejscu, powinien wiedzieć, że znalazł się na tropie rozwiązania tajemnicy. Powinien także wiedzieć, o ile szczerze oddany jest wierze Świętego Kościoła, Matki Naszej, że ma jeszcze czas, aby zawrócić i zaprzestać wszelkich dalszych dochodzeń, zanim nie będzie za późno. Mnie, Pio Segoniemu, Bóg nasz Pan, nałożył ciężkie brzemie życia z tą świadomością. Nie potrafię tego. Niech Wszzechmogący mi wybaczy. Pio Segoni OSB”.

Jellinek włożył list z powrotem do książki, zamknął ją i pobiegł w stronę drzwi, trzymając swe odkrycie kurczowo obiema rękami.

– Augustynie! – zawołał. – Niech brat tu szybko przyjdzie!

Augustyn pojawił się, wyłaniając z jakiegoś zakamarka archiwum. Kardynał bez słowa położył oprawną w skórę księgę na pulpicie przed Augustynem, otworzył ją i podał archiwariuszowi list. Zakonnik przeczytał go.

– Święta Matko Boża! – powiedział bezdźwięcznym głosem.

– List był ukryty w tej księdze – odezwał się Jellinek. – Co Pio miał wspólnego z inskrypcją sykstyńską?

– A co robi Księga Jeremiasza w Tajnym Archiwum? – odpowiedział pytaniem Augustyn rzucając okiem na sygnaturę.

– Księga Jeremiasza nie jest Księgą Jeremiasza. Ten dziwny tom zawiera jedynie jej stronę tytułową. Zobacz sam, bracie!

– „Księga Znaków”? – zapytał Augustyn odwróciwszy pierwszą stronę, a potem spojrzał na Jellinka.

– Czy ten tytuł coś ci mówi, bracie?

– Ależ oczywiście, Eminenza. „Księga Znaków” po hebrajsku nosi tytuł „Sefer ha'Oth” i została napisana przez Abulafię w roku 1288. Musiała powstać po tym dziwnym, niedoszłym spotkaniu z papieżem Mikołajem III.

– W kieszeni zmarłego ojca Pio znajdowała się karteczka z sygnaturą papieża Mikołaja. Widziałem ją na własne oczy.

– To nie czyni sprawy bardzo przejrzystą – Augustyn pogładził księgę dłonią, a potem objął strony kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, pozwalając im swobodnie między nimi przepływać.

– Jeżeli rzeczywiście jest to ta księga, cała sprawa staje się dla mnie podwójnie zagadkowa – powiedział kardynał. – Prawdopodobnie istnieje wiele kopii „Księgi Znaków”; uważam również i tę za jedną z nich, co oczywiście może być ustalone jedynie poprzez dokładne porównanie z poszczególnymi egzemplarzami. Nie wiem jednakże, czy rzeczywiście posunie nas to dalej w naszych poszukiwaniach.

– Ale fakt, iż ojciec Pio widział w tej właśnie księdze klucz do rozwiązania tajemnicy inskrypcji sykstyńskiej, musi mieć jakiś sens!

– Ale jaki? Gdzie może leżeć to rozwiązanie? – kardynał zasłonił twarz dłońmi. – Michelangelo był szatanem – syknął – prawdziwym diabłem!

– Eminencjo – zaczął ostrożnie Augustyn. – W naszych poszukiwaniach, jak mi się wydaje, dotarliśmy do miejsca, z którego możemy je dalej kontynuować, ale także ich zaprzestać. Może powinniśmy zastosować się do rady zmarłego zakonnika, zostawić całą rzecz w spokoju i ogłosić, że wypisując na sklepieniu nazwisko Abrahama Abulafii, znanego kabalisty, florentyńczyk chciał ośmieszyć Kościół, zemścić się za niesprawiedliwości, jakich doznał od papieża.

– Byłaby to fałszywa droga, bracie w Chrystusie – wpadł mu w słowo Jellinek – możesz bowiem być pewny, że jeżeli porzucimy nasze dociekania, inni je natychmiast rozpoczną, szukając rzeczywistego rozwiązania tajemnicy, i któregoś dnia cała prawda wyjdzie na światło dzienne.

Augustyn skinął głową. Jednocześnie zadawał sobie w duchu pytanie, czy powinien powiedzieć o tajemnicy, jaką odsłonił mu w piwnicach Oratorium opat Odilo. Czyżby istniało jakieś powiązanie między tymi dwoma tajemnicami? Ale już w następnej chwili porzucił tę myśl; związek między Michelem a nazistami wydał mu się całkowicie absurdalny.

– Wątpisz w moje słowa, bracie? – zapytał Jellinek.

– O nie, w żadnym wypadku – odparł Augustyn – ale ogarnia mnie lęk, gdy pomyślę o przyszłości.

25. Którego dnia pomiędzy Oculi a Leatare

Zdawać by się mogło, iż świat zatrzymał się w bibliotece Oratorium. Prawie nic się w niej nie zmieniło i brat Benno był pewien, że także i w przyszłości się nie zmieni. Brat Benno sprawiał wrażenie bardzo zajętego, szukał w kartotekach różnych sygnatur, przeglądał książki i robił notatki. W końcu z absolutną pewnością celu podszedł do jednego z regałów i zatrzymał się przed nim.

– Bracie w Chrystusie – zawołał do jednego z bibliotekarzy – widzę w tym miejscu pewną zmianę. Jak się wydaje, umieszczono tu jakiś nowy dział.

– Nic o tym nie wiem – odparł zapytany. – W każdym razie nie przypominam sobie, aby dokonywano w tej bibliotece jakichkolwiek zmian, a jestem tu już ponad dziesięć lat.

– Bracie – powiedział uśmiechając się Benno. – Pracowałem tu przed czterdziestu laty i wtedy leżało w tym miejscu *buste* z dokumentami o Michelangelo. To były bardzo interesujące akta.

– *Buste* z dokumentami o Michelangelo? – zakonnik zawołał drugiego bibliotekarza, ten zaś trzeciego, w końcu trzech mnichów stało potrząsając głowami przed regałem, na którym stały teraz zbiory kazań z XVIII wieku. Któryś z braci wyciągnął z regału jedną z ksiąg i przeczytał nie kończący się tytuł: *Theologia Moralis Universa ad mentem praecipuorum Theologorum et Canonistarum per Casus Practicis exposita a Reverendissimo ac Amplissimo D. Leonadro Jansen, Ordinis Praemonstratensis*.

– Nie – powiedział w końcu – nigdy nie widziałem w tym miejscu akt o Michelangelo.

Podczas wieczornego posiłku gość siedział, jak to było w klasztorным zwyczaju, u boku opata. Odilo zapytał go o postępy w pracy, a także o to, czy znalazł już to, czego szukał.

– Mam pewne trudności – odparł Benno – w zorientowaniu się w działach, mimo iż dokładnie pamiętam cały system klasztornej biblioteki. To czego szukam, nie znajduje się jednak na swoim miejscu, a nawet, jak się wydaje, gdzieś zaginęło.

Słowa gościa zaciekały opata.

– To dla mnie zaszczyt – odparł lekko skłaniając głowę – że mogę być pomocny badaczowi, ale interesuje mnie, czego właściwie szukasz, bracie?

– Wtedy, przed czterdziestu laty – odpowiedział Benno – podczas mojego pierwszego

pobytu w Rzymie zajmowałem się niektórymi problemami związanymi z freskami na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. W tym klasztorze były przechowywane ważne dokumenty z okresu powstania tego malowidła.

Opat potrząsnął zaskoczony głową i dał wyraz swemu zdziwieniu pytając, dlaczego właśnie te dokumenty miałyby być przechowywane w Oratorium.

– Wyjaśnienie jest proste i jasne – odpowiedział Benno. – Ascanio Condivi, uczeń i zaufany Michelangela, chciał uchronić przed oczami obcych liczne dokumenty i listy swego mistrza, a ponieważ był zaprzyjaźniony z ówczesnym opatem Oratorium, uznał to miejsce za najpewniejsze dla ich przechowania.

Opat zamilkł i pogrążył się w zamyśleniu.

– Przypominam sobie niejasno – powiedział po dłuższej chwili – że już przed laty jakiś ksiądz pytał mnie o *buste* z dokumentami Michelangela.

Benno odsunął od siebie talerz i spojrzał na opata. Zaczął nagle sprawiać wrażenie bardzo podnieconego. Zasypał swego gospodarza pytaniami, czy przypomina sobie, kim był tamten ksiądz i skąd przybył.

– To było bardzo dawno temu – powtórzył opat Odilo – jeszcze za czasów przedostatniego, nie, ostatniego papieża. Musisz zrozumieć, bracie w Chrystusie, że nie przywiązywałem wtedy do tej sprawy żadnego znaczenia. Ale o ile sobie dobrze przypominam, ów ksiądz powiedział, że to *buste* potrzebne jest w Watykanie. Więcej nic nie pamiętam.

Podczas gdy dwóch zakonników zbierało talerze, opat Odilo zapytał Benna z wahaniem, czy teraz, kiedy nie znalazł tego, co szukał, wróci do domu, ale brat Benno poprosił go, aby jeszcze przez kilka dni mógł korzystać z gościnności Oratorium.

Opat zgodził się, ale brat Benno czuł, że jego obecność nie była mu na rękę i że najchętniej pozbyłby się go już dzisiaj aniżeli dopiero za kilka dni.

26. *Nazajutrz po Laetare i następnego ranka*

Kardynał Jellinek po raz kolejny czytał list, jaki przed chwilą otrzymał: „Eminenza. Zamieszanie związane z odkryciem sykstyńskim skłania mnie do oświadczenia, iż być może będę mógł udzielić wskazówki, która Księdzu pomoże. Proszę do mnie zadzwonić. Antonio Adelman, presidente”.

Czegóż chciał od niego ten bankier? W jaki sposób mógł dopomóc w rozwiązaniu problemu? Ale w tej sytuacji kardynał musiał się chwytać każdej nadziei. Miał wrażenie, iż drepcze w miejscu. Czasami wydawało mu się, że stoi przed ścianą mgły, blisko celu, którego nie może zobaczyć. Jego myśli ciągle kręciły się wkoło; czuł, że jest na tropie rozwiązania, ale nie posuwał się ani o krok do przodu. Księga, którą znalazł, była niewątpliwie fascynująca, ale co to wszystko miało wspólnego z Michelangelo?

Jellinek polecił sekretarzowi, aby sprowadził samochód, mówiąc, że chce pojechać na Wzgórza Albańskie. Być może będzie to czas stracony, pomyślał, ale nadzieja karmi się cierpliwością. Sekretarz wrócił po chwili, radząc, aby kardynał nie opuszczał Oficjum głównym wyjściem, przed którym zgromadziła się cała banda dziennikarzy. Kardynał kazał więc, aby niebieski fiat podjechał pod tylną bramę, ale na próżno, jak się za chwilę okazało. Kiedy wyszedł na ulicę, został natychmiast otoczony przez tuzin reporterów, przekrzykujących się głośno i podtykających mu pod nos mikrofony.

- Dlaczego Watykan nie ogłosił żadnego komentarza na temat odkrycia?
- Czy można fotografować inskrypcję?
- Czy jest ona jakimś tajnym szyfrem?
- Co skłoniło Michelangela do takiego kroku?
- Czy Michelangelo był wrogiem Kościoła?
- Co się stanie z freskami?
- Czy prace konserwatorskie będą kontynuowane?

Kardynał usiłował przebić się przez tłum, powtarzając bez przerwy, iż nie ma nic do powiedzenia, nie ogłosił żadnego komentarza i że kompetentnym do odpowiedzi na wszelkie pytania jest Biuro Prasowe Watykanu. Sekretarzowi z trudem udało się zamknąć drzwi samochodu za Jellinkiem. Kardynał jadąc słyszał jeszcze za sobą okrzyki dziennikarzy: – I

tak dowiemy się wszystkiego. Nie utrzyma ksiądz niczego w tajemnicy, Eminenza. Nawet *specialissimo modo*.

Umówił się z bankierem po południu, w Nemi. Ta malownicza miejscowość leży wysoko ponad brzegami jeziora o tej samej nazwie na Wzgórzach Albańskich. Lokal, jaki wybrali na spotkanie, nazywał się „Specchio di Diana”. W zacisznej salce na pierwszym piętrze, gdzie w oszklonej szafce przechowywano księgę pamiątkową – uwiecznił się w niej nawet Johann Wolfgang Goethe – spotkali się po raz pierwszy w życiu kardynał i bankier. Do tej pory znali się jedynie ze słyszenia.

Antonio Adelman, prezes Banca Unione z Rzymu, był mężczyzną w wieku ponad sześćdziesięciu lat, przedwcześnie posiwiiałym, o delikatnych rysach i czujnym, inteligentnym spojrzeniu.

– Zapewne Wasza Eminencja zdziwił się – zaczął od razu bankier – że poprosiłem o to spotkanie, ale od chwili, kiedy dowiedziałem się o problemie, jakim się Eminencja zajmuje, ciągle myślę, czy moje informacje nie mogłyby być przynajmniej jednym z kamyków pasujących do mozaiki będącej rozwiązaniem tej zagadki.

Kelner w długim białym fartuchu przyniósł im w wysokich karafkach wino pochodzące z okolic Nemi.

– Znajdzie pan we mnie uważnego słuchacza – odparł Jellinek – mimo, a może właśnie dlatego, że zastanawiam się, akurat jakiego rodzaju informacji może mi pan udzielić. Słucham pana!

– O ile ksiądz jeszcze tego nie wie – zaczął nieporadnie bankier – jestem Żydem, historia zaś, którą chcę opowiedzieć, dotyczy tylko i wyłącznie tego faktu.

– A co to ma wspólnego z Michelangelo, signore?

– Ach, to długa i zagmatwana historia. Muszę zacząć od początku.

Obaj mężczyźni trącili się kieliszkami.

– Jak Wasza Eminencja wie, po upadku Mussoliniego i podpisaniu zawieszenia broni z aliantami, we wrześniu roku 1943 Niemcy zajęli Rzym. Jednocześnie Amerykanie wylądowali na południu kraju koło Salerno. W Rzymie zapanował strach, nie wiadomo było bowiem, co się dalej wydarzy; przede wszystkim bało się osiem tysięcy Żydów mieszkających w mieście. Byłem wtedy młodym chłopcem i uczyłem się zawodu w banku mojego ojca. Moi rodzice obawiali się, że rzymskich Żydów może spotkać taki sam los jak Żydów praskich i dlatego mój ojciec powiedział, że jeżeli uda się nam przetrzymać pierwsze trzy dni, to będziemy mieli szansę. Wieczorem 10 września, nigdy nie zapomnę tego dnia, wysłiznęliśmy się, mój ojciec, matka i ja, z naszego mieszkania do garażu jednego z aryjskich przyjaciół ojca i ukryliśmy w starym samochodzie dostawczym. Nocą nadsluchiwaliliśmy odgłosów każdego kroku, każdego szmeru, ciągle w strachu, że zostaniemy odkryci. Po trzech dniach odważyłem się wyjść po raz pierwszy z naszej kryjówki; zmusił mnie do tego głód. Dowiedziałem się, że za cenę jednej tony złota naziści pozostawią Żydów w spokoju.

– Słyszałem o tym – powiedział Jellinek. – Podobno udało im się zebrać jedynie połowę i próbowali resztę pożyczyć od papieża.

– Zebranie tej ilości złota wcale nie było takie łatwe, większość bogatych Żydów bowiem zdążyła już uciec. Jeden z naszych współwyznawców zwrócił się do zaprzyjaźnionego opata Oratorium na Awentynie i poprosił o pomoc w pożyczeniu w Watykanie brakującego złota. Papież zgodził się oddać potrzebną ilość złota do naszej dyspozycji jako depozyt. 28 września podjechalśmy kilkunastoma prywatnymi samochodami pod centralę gestapo na Via Tasso i oddaliśmy złoto. Po spełnieniu tego żądania rzymscy Żydzi poczuli się bezpieczni. Była to jednak złudna nadzieja. Niemcy zaczęli przeprowadzać rewizje, rabowali z naszych synagog dzieła sztuki, a przy tym wpadła im w ręce jedyna kartoteka adresowa żydowskiej gminy w Rzymie. W niewiele dni potem, około drugiej w nocy, usłyszałem głośnie pukanie do drzwi naszego mieszkania. Nasz sąsiad zawołał, że Niemcy przyjechali pod dom samochodem ciężarowym. Ponownie uciekliśmy do garażu, który już raz posłużył nam za kryjówkę. Wytrzymał w nim dwa dni, trzeciego mój ojciec wyszedł z kryjówki, chciał bowiem zabrać z mieszkania kilka ważnych rzeczy. Nie wrócił już nigdy. Potem dowiedziałem się, że następnego dnia, z dworca kolejowego Tiburtina, odjechał w stronę Rzeszy pociąg z tysiącem Żydów.

Jellinek milczał zmieszany.

– Rzym – kontynuował swą opowieść Adelman – jest wielkim, pełnym chaosu miastem, więc większość członków naszej gminy zdołała się ukryć w różnych klasztorach i kościołach, niektórzy zaś znaleźli nawet schronienie w Watykanie. Ja sam przeżyłem te ciężkie dni wraz z matką w Oratorium na Awentynie. Teraz zapyta mnie Wasza Eminencja oczywiście, co to ma wszystko wspólnego z tajemniczą inskrypcją na sykstyńskim sklepieniu. Ale ta historia nie jest pozbawiona pewnej ironii: właśnie w tym Oratorium, w którym podczas władzy nazistów Żydzi znaleźli schronienie, ukryli się, kiedy minęły już te upiorne czasy, dawni członkowie SS. Dowiedziałem się o tym naturalnie dopiero później. Dla organizacji byłych członków SS, ODESSY, Oratorium na Awentynie było miejscem startu do akcji emigracyjnej esesmanów.

– Nie wierzę w to! – zawołał kardynał Jellinek. – Po prostu nie mogę uwierzyć!

– Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, księżo kardynale, ale tak było naprawdę. Cała ta akcja odbywała się za najwyższym przyzwoleniem, o czym było wiadomo nawet w Watykanie.

– Czy pan wie właściwie, co pan mówi? – Jellinek był wzburzony. – Twierdzi pan z całą powagą, że Kościół katolicki, za wiedzą papieża, pomagał nazistowskim przestępcom wojennym w ucieczce za granicę?

– Nie dobrowolnie, Eminencja, nie z dobrej woli. I w ten sposób zbliżyliśmy się do naszego tematu. Krążyła wtedy po Rzymie pogłoska, że naziści mieli w ręce coś bardzo ważnego przeciwko Kościołowi, coś tak strasznego, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko ugiąć się przed żądaniami ODESSY. Właśnie w związku z tym argumentem nazistów padło

nazwisko Michelangela. Jak mówiono, cała sprawa miała coś wspólnego z Buonarrotim.

Kardynał w milczeniu wpatrywał się nieruchomo w stojący przed nim na stole kieliszek. Był jak sparaliżowany tym, co usłyszał. Przez kilka chwil obaj mężczyźni milczeli.

– Jeżeli dobrze pana zrozumiałem – odezwał się w końcu drżącym, bełkotliwym głosem Jellinek – ...oznaczałoby to... nie potrafię sobie tego po prostu wyobrazić... mój Boże, jeżeli ma pan rację, to oznaczałoby to, że nasiłci posłużyli się Michelangelem. Na Boga, Michelangelo nie żyje już przecież od czterystu lat! W jaki sposób mógł więc posłużyć jako powód do szantażu? Jakich szkód mógłby przysporzyć Kościołowi?

– Dokładnie tak to można traktować – odparł Adelman i opowiadał dalej: – Musi ksiądz zrozumieć, Eminenza, że kiedy dowiedziałem się o całej sprawie, minęło już dwadzieścia lat od tamtych dni i aczkolwiek wydała mi się ona wręcz potworna, nie interesowałem się nią zbyt. Postanowiłem definitywnie zapomnieć o przeszłości. Nie chciałem także, aby mi przypomniano o tych nieszczęsnych czasach, ale teraz, kiedy dowiedziałem się o inskrypcji Michelangela, przypomniałem sobie tę historię, jaką w wiele lat później opowiedział mi opat Oratorium, i pomyślałem, że być może pomoże ona Waszej Eminencji. Oczywiście, nie robię tego tak całkiem bezinteresownie; jestem finansistą, prowadzę interesy z bankiem watykańskim i chcę, aby jak najszybciej znaleziono rozwiązanie tego problemu, interesy bowiem potrzebują spokoju. Niespokojne czasy nie sprzyjają tego rodzaju działalności, jeżeli Wasza Eminencja rozumie, co mam na myśli.

– Rozumiem – powiedział kardynał w roztargnieniu – niespokojne czasy nie są dobre dla prowadzenia interesów.

Po tej rozmowie Jellinek nie był już zdolny do rozsądnego myślenia. Pożegnali się i kardynał usiadł na tylnym siedzeniu swego ciemnoniebieskiego fiata.

– Do domu – powiedział do kierowcy. Nie był w stanie w czasie jazdy zamienić z nim choćby jednego słowa.

Zmierzchało już i leżące przed nimi na szerokiej równinie Wieczne Miasto zaczynało migotać tysiącami światełek. Jellinek patrzył przez szybę i myślał o ostrzeżeniu ojca Pio, aby zaprzestać dalszego dochodzenia, zanim nie będzie za późno. Jednakże już za chwilę ogarnęła go wściekłość na własne tchórzostwo. Zacisnął pięści, aż zaboląły go palce. Musiał znaleźć rozwiązanie tej tajemnicy. Chciał tego.

W tym samym czasie ojciec Augustyn siedział w Archiwum Watykańskim nad dziwną Księgą Jeremiasza, ukrywającą w swych okładkach „Księgę Znaków” Abulafii. Przyjrząwszy się sygnaturze, potrząsnął głową. Była ona o wiele młodsza od samej księgi; jak się wydawało, mogła być umieszczona w bibliotece nawet po zakończeniu II wojny światowej. Ale co sama księga robiła w Tajnym Archiwum? Augustyn z trudem odcyfrowywał drobne pismo łacińskiego przekładu.

„Ja, nieznany, nic nie znaczący, zbadałem me serce, pytając o drogi duchowych

poszukiwań, i odkryłem przy tym trzy rodzaje poznania: powszechnie znany, filozoficzny i kabalistyczny. Powszechnie znana droga używana jest przez ascetów, którzy stosują wszelkie możliwe sztuczki, aby wyrzucić ze swych dusz wszystkie obrazy znanego im świata. Jeżeli jeden z obrazów uduchowionego świata pojawi się w ich duszy, ich imaginacje potęgują się tak bardzo, że potrafią czynić prorocтва, popadając przy tym w stan transu.

Rodzaj filozoficzny opiera się na zdobyciu wiedzy, której używa się w analogiach do nauk przyrodniczych i w końcu w teologii, aby oznaczyć centrum. W ten sposób szukający prawdy dochodzi do wniosku, że pewne przepowiedziane rzeczy wypełniły się już, i wierzy, iż przyczyną tego jest poszerzenie i pogłębienie ludzkiego rozumu. W rzeczywistości są to litery, które uchwycone przez jego myśli i fantazję, wpływają na niego swym ruchem. Jeżeli jednak postawię sobie owo trudne pytanie: dlaczego wymawiamy te litery, poruszamy nimi i próbujemy za ich pomocą osiągnąć jakiś skutek, to odpowiedź znajdziemy przy trzecim rodzaju, wymagającym spirytualizacji. Chcę więc opowiedzieć w tym miejscu, co dowiedziałem się, idąc tą drogą”.

Augustyn chciwie pochłaniał czyste słowa. Jego oczy, stronica za stronicą, przesuwały się wzdłuż linijek drobnego, trudnego do odcyfrowania pisma. Zapomniał przy tym całkowicie o przyczynie, jaka leżała u podstaw jego poszukiwań.

„Bóg mi świadkiem – pisał Abulafia – iż już przedtem znalazłem siłę w żydowskiej wierze i w tym, czego nauczyłem się z Tory i Talmudu. Ale to, co przyswoili mi moi nauczyciele na drodze filozoficznej, nie wystarczyło mi, dopóki nie spotkałem człowieka Bożego, pochodzącego z grona mędrców, kabalisty posiadającego odwieczną wiedzę przeszłości, która jest jednocześnie budująca i straszliwa, w zależności od wiary, jaką każdy posiada. Nauczył mnie on permutacji i kombinacji liter, i mistyki liczb, i rozkazał mi, abym się nimi zajmował. Pewnego razu pokazał mi księgi składające się z niezrozumiałych kombinacji liter i mistycznych liczb, jakie mógł zrozumieć tylko człowiek wtajemniczony, a których nigdy nie pojmie zwykły śmiertelnik, ponieważ nie są one i tak dla niego przeznaczone. Nieco później pożałował swego czynu i chęci doprowadzenia mnie do wyższego stopnia ekstazy, nazwał się nierozumnym i głupim i próbował mnie opuścić. Ale on pociągał mnie tysiącami swoich tajemnic, więc szedłem za nim dniami i nocami i stwierdziłem, że zachodzą we mnie dziwne zmiany. Jak pies sypiałem pod jego drzwiami, aż zlitował się nade mną i rozpoczął poważną rozmowę, podczas której dowiedziałem się, iż muszę przejść przez trzy próby, aby mógł mi przekazać najwyższą ze wszystkich nauk. Już same te próby, groził mi, wmagają absolutnej tajemnicy, były to swego rodzaju próby ognia, o których zmilczę. Nie chcę jednak milczeć o rzeczach, które dotyczą papieża i Kościoła, i postanowiłem ukazać to, co leży na samym dnie, i ogłosić, że Łukasz ewangelista kłamie. Nie mogę powiedzieć jednak, czy czyni to w niegodnym celu, czy też wbrew swemu przekonaniu. Jednakże należy w tym miejscu *expressis verbis* ogłosić...”

Augustyn przewrócił stronicę, ale zauważył, że brakuje następnej kartki. Po chwili

doszedł do wniosku, że została ona wyrwana. Przewracał stronicę za stronicą w nadziei znalezienia brakującej kartki, ale dotarł do końca księgi i zrozumiał, że ktoś kiedyś świadomie ją uszkodził, pozbawiając zawartej na niej tajemnicy.

Zakonnik przetarł czoło i oczy, jak gdyby chciał w ten sposób zmyć ze swej twarzy zmęczenie. Potem wstał i zaczął wolno przechadzać się przed pulpitem. Jego kroki rozlegały się echem w pustym archiwum. Z dłońmi ukrytymi w rękawach habitu, rekapitulował to, co przeczytał. Wiele rzeczy było dlań niezrozumiałych; długo zastanawiał się nad fragmentem tekstu, w którym napisano, że ewangelista Łukasz kłamie. Co miał na myśli Abulafia pisząc te słowa?

Łukasz był jednym z pierwszych nawróconych chrześcijan, współtowarzyszem Pawła apostoła, którego czyny uwiecznił później w swojej historii apostołów. Jednakże nie był pierwszym, który pisał ewangelię. Pierwszym, jak to się okazało, był Marek, którego relacja została spisana około roku 60 po narodzinach Chrystusa. Posłużyła ona potem jako źródło zarówno Łukaszowi, jak i Mateuszowi, podczas gdy napisana jako ostatnia ewangelia Jana prawie nie miała z pozostałymi punktów wspólnych.

Wszystkie ewangelie jednakże relacjonowały, aczkolwiek w sposób zróżnicowany, tę samą historię życia i śmierci Jezusa oraz objawienie się zmartwychwstałego Pana. Na czym opierał się Abulafia, nazywając kłamcą akurat Łukasza? Ojciec Augustyn utknął w tym punkcie swoich rozmyślań.

Aby zbliżyć się do rozwiązania, zakonnik widział tylko jedną możliwość: należało odnaleźć drugi egzemplarz „Księgi Znaków”, z którego nie wydarto brakującej stronicy. Ale gdzie powinien go szukać? Nakłady księzek w owych czasach były tak niskie, że często zachowywał się tylko jeden jedyny egzemplarz, a do tego taka kabalistyczna księga jak ta nie była zazwyczaj, bez zastrzeżeń włączana do bibliotek zawierających dzieła religijne.

Następnego dnia rano Jellinek spotkał się z ojcem Augustynem. Kardynał nie miał zakonnikowi do powiedzenia nic nowego, był natomiast zdziwiony brakiem stronicy zawierającej tak ważne i być może decydujące dla nich informacje. Obaj natomiast nie byli w stanie zrozumieć, co łączy te wszystkie fakty.

– Czasami – stwierdził Jellinek – wydaje mi się, że jesteśmy już blisko rozwiązania tajemnicy Michelangela, ale już w następnej chwili zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek uda się nam wyjaśnić przyczyny tej klątwy.

27. W dniu Św. Józefa

Wczesnym ranem tego dnia brat Benno udał się do ogołoczonego z wszelkich ozdób Biura Pielgrzymów, mieszczącego się w kolumnadach Watykanu. Siedzący przy okienku ksiądz zaproponował mu przyjdzie w środę, tego bowiem dnia odbywa się audiencja generalna, ale podczas niej nie ma możliwości przeprowadzenia osobistej rozmowy z Jego Świątobliwością, przy czym nie robi się żadnych wyjątków dla duchownych czy zakonników.

– Ale ja muszę rozmawiać z Jego Świątobliwością! – zawołał rozgniewany brat Benno. – To rzecz najwyższej wagi.

– W takim razie proszę ją przedstawić na piśmie!

– Na piśmie? To niemożliwe – odpowiedział Benno. – Ta sprawa może być przedstawiona tylko samemu papieżowi!

Ksiądz zmierzył wzrokiem od stóp do głów swojego vis à vis, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Benno dodał: – Idzie o odkrycie w Kaplicy Sykstyńskiej.

– Ta sprawa leży w kompetencji professore Pavanetta, zwierzchnika Dyrekcji Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich, a także kardynała Jellinka, który prowadzi dochodzenie.

– Niech ksiądz posłucha! – zaczął od nowa brat Benno. – Muszę rozmawiać z Jego Świątobliwością i jest to sprawa wielkiej wagi. Przed laty mogłem rozmawiać bez trudności z papieżem Gianpaolo; wystarczył tylko jeden telefon. Czy dzisiaj ma to być aż takim problemem?

– Zamelduję brata w sekretariacie Kongregacji Wiary. Może kardynał Jellinek zgodzi się brata przyjąć. Wtedy będzie brat mógł przedstawić mu swoje życzenia.

– Życzenia? – brat Benno roześmiał się gorzko.

Sekretarz kardynała kazał czekać bratu Benno do przyszłego tygodnia. Był to najwcześniejszy termin, w jakim mógł się spotkać z kardynałem.

Benno zaś upierał się bez przerwy przy wadze swoich informacji.

– Ach, wie brat – odparł sekretarz – ostatnio o terminy spotkań z kardynałem prosi stale wielu historyków sztuki, każdy z nich sądzi, że ma w kieszeni rozwiązanie problemu, a w rzeczywistości nie opowiada nic nowego. Większość chce przy pomocy swoich teorii osiągnąć korzyść, ujrzeć swe nazwisko w gazetach. Proszę nie brać mi moich słów za złe,

bracie Benno. A jeśli idzie o termin... może w przyszłym tygodniu.

Brat Benno podziękował uprzejmie i opuścił Święte Oficjum tą samą drogą, jaką przyszedł.

28. W poniedziałek po Judica

W poniedziałek po Judica członkowie consilium spotkali się na swym kolejnym posiedzeniu. Na wielkim okrągłym stole leżała w oprawie „Księgi Jeremiasza” – „Księga Znaków”.

Po otwarciu posiedzenia i wezwaniu Ducha Świętego zebrani Eminentissimi i Reverendissimi kardynałowie i biskupi, czcigodni prałaci i zakonnicy zasypali kardynała Jellinka pytaniami, gdzie znaleziono „Księgę Znaków”. Kardynał opowiadał, że jego uwagę w Tajnym Archiwum zwróciła księga, która nie pasowała do pozostałych, nie podlegała bowiem żadnemu utajnieniu. Była to właśnie „Księga Jeremiasza”. Po dokładniejszym obejrzeniu okazało się jednak, że z „Księgi Jeremiasza” pozostała tylko okładka i kilka stronnic, oprawa zaś ukrywa w sobie dzieło napisane piórem kabalisty Abrahama Abulafii.

– Czy tego właśnie Abulafii, którego nazwisko zostało uwiecznione na sklepieniu sykstyńskim? – przerwał Jellinkowi kardynał Giuseppe Bellini.

– Tak, właśnie tego Abulafii, którego rozkazał spalić papież Mikołaj III.

– A więc wcale nie zginął.

Wszyscy obecni zaczęli głośno ze sobą rozmawiać, a Pio Luigi Zalba z zakonu Służebników Marii pośpiesznie przeżegnał się kilka razy. Jellinek bezradnie patrzył na zamieszanie panujące w sali.

– Jak wam to wyjaśnić, bracia w Chrystusie – zaczął nieporadnie. – Według wszelkiego prawdopodobieństwa najważniejsza strona księgi zniknęła, brakuje jej. Została po prostu wyrwana.

W tym momencie kardynał Bellini zaczął krzyczeć, iż uważa całą sprawę za ukartowaną z góry grę.

– Któryś z członków consilium od dawna już zna rozwiązanie tajemnicy. Jeżeli to rozwiązanie jest nawet tak straszne i niekorzystne dla wiary i powinno być zatajone przed wiernymi, to członkowie tego consilium mają prawo dowiedzieć się o kulisach całej sprawy!

– Jeżeli chcesz, bracie w Chrystusie – odparł gwałtownie Jellinek – dać w ten sposób do zrozumienia, że to ja usunąłem tę stronę, to chciałbym przeciw temu jak najostrzej zaprotestować. Jako prefektowi tego consilium na niczym mi bardziej nie zależy aniżeli na

wyjaśnieniu tej sprawy. Poza tym, jakież mógłbym mieć interes w zatuszowaniu prawdziwego rozwiązania tajemnicy?

Kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, wezwał Belliniego do powściągliwości, poddając jednocześnie pod rozwagę pytanie, czy brakująca stronica „Księgi Znaków” może w ogóle mieć jakieś większe znaczenie i być pomocna rozwiązaniu problemu.

– Ostatnim razem padre Augustyn przedłożył nam pergamin, z którego treści wynikało, iż Żydowi Abulafii odebrano tajne pismo. Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że tajemnica Michelangela dotyczy właśnie owego pamfletu i czy nie jest równie prawdopodobne, iż to pismo zostało już dawno zniszczone?

– Taka księga jak ta, napisana przez żydowskiego mistyka, na pewno nie istniała w jednym egzemplarzu – wtrącił kardynał Frantisek Kolletzki, podsekretarz Kongregacji Wychowania Katolickiego. – Dla takiego człowieka jak padre Augustyn nie powinno być więc trudno postarać się o inny egzemplarz i ściągnąć go tutaj z którejkolwiek biblioteki na świecie.

– Jak do tej pory – odpowiedział Augustyn – żadna próba odnalezienia księgi nie przyniosła rezultatu. „Księga Znaków” nie występuje w żadnym katalogu.

– Ponieważ jest to księga żydowska! Powinniśmy zasięgnąć informacji w bibliotekach żydowskich!

Nie biorąc udziału w tej dyskusji, kardynał Joseph Jellinek podniósł się ze swego miejsca, wyciągnął z sutanny list i pokazał go wszystkim, trzymając wysoko w górze.

– Zamiast brakującej strony „Księgi Znaków” – powiedział – znalazłem ten list. Został on napisany przez człowieka, którego wszyscy znaliśmy, przez padre Pio Segoniego, niech Bóg ulituje się nad jego duszą.

W sali nagle zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w kartkę trzymaną przez kardynała, który wolno, robiąc krótkie przerwy, przeczytał ostrzeżenie benedyktyna, aby zaprzestać dochodzeń, zanim nie będzie za późno.

– Pio wiedział o wszystkim, on wszystko wiedział! – powiedział cicho kardynał Bellini. – Mój Boże!

Jellinek podał list dalej, aby każdy sam mógł go przeczytać.

– Czy Wasza Eminencja nie zechciałaby nam wyjaśnić, jaka jest treść „Księgi Znaków”?
– odezwał się kardynał Sekretarz Stanu. – Przynajmniej do owej strony, jaka zniknęła w tak tajemniczy sposób.

– Idzie przede wszystkim o kabalistyczną naukę poznania – odparł kardynał Jellinek – ta zaś nie jest ważna dla Świętego Kościoła ani dla dyskutowanej przez nas sprawy. Jednakże pod koniec księgi Abulafia pisze o swoim mistrzu, który po przejściu trzech prób przekazał mu swą przejmującą grozą wiedzę. Zawierała ona również informacje dotyczące papieża i Kościoła, na ostatniej zaś stronie było oświadczenie, że Łukasz, ewangelista, kłamie.

– Łukasz kłamie? – kardynał Kolletzki uderzył dłonią w stół.

- Tak twierdzi Abulafia.
- Czy księga zawiera jakieś bliższe szczegóły, wskazówki?
- Na następnej stronie. A tej właśnie brakuje.

W sali zapanowało długie milczenie. W końcu głos zabrał kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone.

– Kto nam właściwie powiedział, bracia w Chrystusie, że wyjaśnienie znajduje się akurat na brakującej stronie. A jeżeli nawet, to co przemawia za tym, iż jest to związane z napisem Michelangela dotyczącym Abulafii? Wydaje mi się, że padliśmy ofiarą jakiegoś figla spletanego nam przez florentyńczyka.

– Ale jakkolwiek byłoby – powiedział padre Augustyn – ten figiel, jak go raczył określić Wasza Eminencja, był wystarczającym powodem dla padre Pio, aby odebrać sobie życie.

W końcu zebrani, Ich Eminencje kardynałowie, Przewielebni biskupi i prałaci przełożyli swe obrady na czas nieokreślony – do chwili odnalezienia kopii „Księgi Znaków”.

Późnym wieczorem Cascone i Canisius spotkali się w watykańskim Sekretariacie Stanu.

– Wiedziałem o tym od początku – powiedział Cascone – a ty wątpiłeś, że ta śmieszna inskrypcja może być dla nas niebezpieczna. Wszelkie dochodzenia zawsze miały fatalne skutki dla Kurii. Przypomnij sobie tylko Gianpaola!

Canisius skrzywił się, jak gdyby poczuł ból już na samo brzmienie tego imienia.

– Gdyby Gianpaolo – zaczął od nowa kardynał Sekretarz Stanu – nie zaczął nagle grzebać w jakichś tajnych aktach, mógłby żyć do dnia dzisiejszego. Jeśli rzeczywiście doszłoby do tego nieszczęsnego soboru, konsekwencje byłyby nie do pomyślenia. Gianpaolo doprowadziłby do głębokiego kryzysu wiary w Kościele. Nie, trudno sobie to nawet wyobrazić!

Canisius skinął potakująco głową. Założywszy ręce na plecach przechadzał się przed Casconem, który usiadł na obitym czerwonym materiałem barokowym krześle.

– Już sam temat tego soboru – powiedział – miałby straszliwe konsekwencje dla Kościoła. Sobór dyskutujący na temat fundamentalnej zasady wiary! Nie do pomyślenia! To szczęście, że swoich planów nie zdołał już ogłosić oficjalnie.

– Co za szczęście? – powtórzył jak echo Cascone i pochylając przeżegnał się.

Nagle Canisius zatrzymał się.

– Sykstyńskie consilium musi zakończyć swe prace tak szybko, jak to tylko możliwe – powiedział. – Sytuacja podobna jest do tej, jak w przypadku Gianpaola. Nagle wszyscy zaczynają węszyć. Nie podoba mi się ten Jellinek, a jeszcze bardziej padre Augustyn.

– Gdybym przeczuwał, jakie konsekwencje pociągnie za sobą zajęcie się tą sprawą, bądź pewny, że kazałbym zdrapać te litery.

– Nie wolno ci było z powrotem sprowadzać do Watykanu tego Augustyna!

– Zwolniłem go – obrzył się Cascone – kiedy dowiedziałem się, że zbiera materiały o

wszystkich papieżach, którzy rządili przez krótki tylko czas, a między innymi dokumenty o Gianpaolo. Ale potem doszło do samobójstwa Pio Segoniego i musiałem go sprowadzić z powrotem. Swoją niechęcią do niego wywołałbym tylko podejrzenia.

– W aktualnej sytuacji widzę tylko jedną możliwość: powinieneś rozwiązać consilium *ex officio*. Wypełniło już ono swoje zadanie. Michelangelo wypisując na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej nazwisko heretyka, chciał się zemścić; takie wyjaśnienie musi wystarczyć opinii publicznej. Kościół ani Kuria nie poniosą przy tym żadnych szkód.

Kardynał Sekretarz Stanu, Giuliano Cascone, przyrzekł Canisiusowi, że zastosuje się do jego życzenia.

29. W dniu Zwiastowania Najświętszej Marii Panny

– Kazałeś mnie wezwać, ojczy opacie?

– Tak – odpowiedział opat Odilo, zapraszając Augustyna do swej prywatnej biblioteki i pośpiesznie zamykając za nim drzwi. – Chciałbym jeszcze raz z tobą porozmawiać.

– O rzeczach leżących w piwnicy?

– Właśnie o nich – opat Odilo podsunął Augustynowi krzesło. – Teraz, kiedy znasz już całą sprawę, musisz martwić się o to, aby nie wyszła ona na jaw. Dochodzenie związane ze śmiercią padre Pio niepokoi mnie coraz bardziej; siłą rzeczy może ono doprowadzić do odkrycia naszej tajemnicy. Na pewno zauważyłeś już, że mamy gościa w naszym Oratorium!

– Tego niemieckiego benedyktyna? Dlaczego go przyjąłeś, ojczy opacie?

– To chrześcijański obowiązek, bracie. Na ile wystarcza miejsca, przyjmuję w gościnę każdego członka naszego zakonu. Skąd mogłem wiedzieć, że chce prowadzić jakieś dziwne badania? Twierdzi, że szuka *buste* z dokumentami o Michelangelo. Przysiągłem mu na Najświętszą Dziewicę Marię, że nie ma w naszym Oratorium żadnych materiałów na ten temat, nawet jeżeli dawniej tu były. Ale czuję, że brat Benno mi nie wierzy, tak jak ja nie ufam bratu Benno. Dysponujesz wystarczającą wiedzą, aby dowiedzieć się, czy naprawdę jest naukowcem i czy w rzeczywistości nie szuka czegoś całkiem innego.

Augustyn skinął głową.

Następnego dnia archiwariusz usiadł po wieczornym posiłku obok Benna. Tak jak się umówili, opat Odilo pozostawił ich samych.

Augustyn od razu zapytał, czy mógłby być w jakiś sposób pomocny w pracy brata Benno.

– Szukam *buste* z materiałami o Michelangelo – powiedział Benno, tak jak to wyjaśnił przedtem opatowi. – Przed wielu laty osobiście miałem je w rękach. Czy te materiały, w minionym okresie zostały może przeniesione do Archiwum Watykańskiego?

– Nic nie wiem na ten temat – potrząsnął głową Augustyn. – Proszę mi powiedzieć, bracie, jakiego rodzaju były to materiały, w jakim kierunku szły twoje badania?

– Musisz wiedzieć, bracie w Chrystusie – Benno odetchnął głęboko – iż nie nosiłem jeszcze wtedy habitu, byłem młodym historykiem sztuki. Niemożliwa wówczas do wyleczenia drogą operacyjną wada wzroku, zmuszająca mnie do noszenia mocnych szkielec,

uchroniła mnie przed służbą w Wehrmachcie. Dzięki niemieckiemu stypendium mogłem więc pracować i prowadzić tutaj badania przez prawie całą wojnę. Oddałem się wtedy całą duszą badaniom nad Michelangelem, najbardziej zagadkowym ze wszystkich geniuszy, i z tego też powodu zająłem się freskami na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Wierz mi, bracie w Chrystusie, że przebywałem w kaplicy tak często i odchylałem mą głowę tak bardzo do tyłu, że w końcu zacząłem miewać podobne kurcze, co Michelangelo, kiedy malował freski na sklepieniu. W bibliotece Oratorium znajdowały się wtedy listy Michelangela, w najwyższym stopniu interesujący materiał, jaki niekiedy dostarczał mi informacji na temat znaczenia jego malarstwa i stanu ducha.

– Na krótko przed śmiercią Michelangelo spalił wszystkie swoje listy i rysunki. To rzecz znana w kręgach historyków sztuki, bracie.

– To prawda, ale nie do końca. Michelangelo spalił wszystko, co wydawało mu się nieważne. Jednakże swojemu uczniowi i przyjacielowi, Ascanio Condiviemu, pozostawił zamkniętą żelazną skrzynię, w której, jak mówiono, znajdował się tylko jego testament – brat Benno uśmiechnął się z przymusem i potrząsnął głową. – Ale to nie odpowiada prawdzie, bracie Augustynie. Na własne oczy widziałem listy pochodzące z tej skrzyni, a znajdowały się one tutaj, w tym Oratorium. Były to listy, w których Michelangelo przede wszystkim rozprawił się z problemami wiary. Przestudiowałem te materiały i dokonałem zadziwiających odkryć, które znalazły potwierdzenie na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Wielki Boże, cóż to były za burzliwe czasy! Krążyła wówczas pogłoska, jakoby Niemcy chcieli zająć Watykan, zabezpieczyć wszystkie dzieła sztuki i dokumenty, a papieża i Kurie przenieść na bezpieczną wtedy jeszcze północ półwyspu. Hitler, jak mówiono, nie chciał, aby papież wpadł w ręce aliantów i znalazł się w ten sposób pod ich wpływem. Papież miał być przewieziony do Niemiec albo Liechtensteinu. Naziści zbierali już ekipę ekspertów sztuki, którzy mieli zająć się zaplanowaniem i wykonaniem akcji przetransportowania dzieł sztuki, ekspertów znających oprócz języka włoskiego także łacinę i grekę. Na jednej z takich list znajdowało się również i moje nazwisko. Papież Pius XII, kiedy usłyszał o tym planie, powiedział, że dobrowolnie nie opuści Watykanu. Jeżeli Niemcy będą go chcieli wywieźć, to tylko przemocą; nie chciał też oddać ani jednego dzieła sztuki. Wtedy Watykan był już strzeżony przez gestapo, niektórzy z jej ludzi zaś byli wraz z oddziałem SS zakwaterowani w tym Oratorium. Dla zabicia czasu prowadziłem wtedy wykłady dla żołnierzy i muszę powiedzieć, że miałem w nich bardzo uważnych słuchaczy. Pewnego wieczoru mówiłem o Michelangelo, opowiadając o swoich odkryciach, o jego nienawiści do papieży i kabalistycznych skłonnościach. Z entuzjazmem młodego badacza opowiedziałem także o dokumentach, jakie znalazłem, a także o tym, że mogą być one niebezpieczne dla Kościoła, przyrzekając pokazać oryginały podczas kolejnego odczytu. Już wieczorem zauważyłem nadzwyczajne zainteresowanie tych ludzi moimi pracami, następnego rana, był jeszcze świt, zostałem obudzony przez umundurowanego mężczyznę, który wręczył mi rozkaz powołania

do Wehrmachtu. Miejsce zgłoszenia się do służby: ojczyzna. Zaskoczony, musiałem spakować swoje rzeczy. Chciałem jeszcze raz zajrzeć do biblioteki, ale była zamknięta, a stojący przy drzwiach obersturmbannführer SS nie pozwolił mi wejść, mówiąc, że nie mam tam już czego szukać. Nie mogłem nawet odłożyć na miejsce oryginału jednego z listów Michelangela, który zabrałem do skopiowania.

– A kiedy – ojciec Augustyn potrząsnął głową – zdecydowałeś się przywdziać habit, bracie?

– W niecałe pół roku później. Zostałem zasypany podczas jednego z bombardowań. Po trzech dniach, kiedy zaczynało już brakować powietrza i ujrzałem przed oczyma śmierć, ślubowałem wstąpić do zakonu, jeżeli wyjdę z tego żywy. W kilka godzin potem zostałem odkopany.

– I co teraz?

– Teraz muszę porozmawiać z papieżem, a ojciec musi mi w tym pomóc.

– Posłuchaj, bracie w Chrystusie, papież w ogóle nie zajmuje się tą sprawą. Nie przyjmie cię i nie będzie dyskutował na ten temat. Porozmawiaj z kardynałem Jellinkiem!

– Jellinkiem? U kardynała Jellinka również kazano mi czekać na termin audiencji.

– Kardynał Jellinek kieruje consilium zajmującym się tym problemem. Ufam mu, a on ufa mnie. Nie będzie mi trudno umówić was ze sobą. Zrobię to dla ciebie; bądź do dyspozycji.

30. W Wielki Poniedziałek

Jellinek przyjął brata Benno w swoim biurze w Świętym Oficjum. Kardynał ubrany był w prostą ciemną sutannę lamowaną purpurą; na twarzy miał wyraz głębokiej powagi. Jego czoło zaznaczone było dwoma głębokimi zmarszczkami, a siwe włosy pod czerwoną piuską dokładnie szesane na boki jak u świadomego swych obowiązków urzędnika. Usta ponad wyraźnie podzieloną na pół brodą były wąskie i zaciśnięte. Patrząc na tę twarz, trudno było zgadnąć, jakie myśli kierują tym człowiekiem. Postawa kardynała siedzącego za wielkim, antycznym biurkiem miała na celu wzbudzenie lęku u każdego nieproszonego gościa.

– Ojciec Augustyn opowiadał mi o tobie – Jellinek podał rękę bratu Benno. – Musisz zrozumieć rezerwę Kurii w przypadku tej sprawy. Po pierwsze, idzie tu o bardzo delikatny problem; z drugiej strony setki ludzi sądzą, że potrafi coś wnieść do sprawy. Początkowo wysłuchiwałem wszystkich argumentów, ale żaden z nich nie przyczynił się do znalezienia rozwiązania; stąd też, jak rozumiesz, i nasza powściągliwość.

Brat Benno skinął głową, siedząc sztywno wyprostowany naprzeciw kardynała.

– Dźwigam na sercu brzemię, które od lat grozi mi zmiążdżeniem. Sądziłem, że potrafię żyć z moją wiedzą w oddalonym od świata klasztorze. Wierzyłem, że jestem tak mocny, iż nie będę musiał zdradzić tego, co wiem, żadnemu chrześcijaninowi. Tajemnica ta, jak lawina, pociągnęłaby za sobą nowe nieszczęścia. Jednakże później usłyszałem o odkryciu w Kaplicy Sykstyńskiej i prowadzonych badaniach. Powiedziałem sobie wtedy: być może ci się uda pomóc w ograniczeniu rozmiaru szkód, jeżeli groźbę Michelangela objaśnisz odpowiednim ludziom. Usiłowałem rozmawiać z papieżem, nie dlatego, aby robić z siebie ważnego człowieka, ale ze względu na wagę tego, co wiem.

– Papież – przerwał mu Jellinek – nie zajmuje się tą sprawą. Dlatego musisz zadowolić się moją osobą. Kieruję *ex officio* consilium, które zostało powołane w tym celu. Powiedz mi, bracie, z całą odpowiedzialnością, czy potrafisz wyjaśnić znaczenie nazwiska Abulafii, które florentyńczyk Michelangelo zaszyfrował w swoim gigantycznym fresku na sklepieniu sykstyńskim?

Brat Benno zwlekał chwilę z odpowiedzią. W tym momencie przez głowę przelatywało mu tysiące myśli, zobaczył całe swoje życie, które wydało mu się teraz pełne fatalnych

przypadków.

– Tak – powiedział po chwili.

Jellinek zerwał się z miejsca i wyszedł zza biurka. Podszedł zupełnie blisko do brata Benno i ciągle jeszcze stojąc, pochylił się ku siedzącemu zakonnikowi.

– Powtórz to jeszcze raz, bracie w Chrystusie! – powiedział cichym, niemal pełnym groźby głosem.

– Tak – odparł brat Benno. – Znam te powiązania, i mają one na dodatek swój powód!

– A więc opowiadaj, bracie. Opowiadaj!

I brat Benno opowiedział kardynałowi o swoim życiu, tak jak przedtem opowiedział o nim ojcu Augustynowi, o swoim dzieciństwie w bardzo zamożnym, mieszczańskim domu, kłopotach ze wzrokiem, jakie miał już od najmłodszych lat i które zmusiły go do noszenia okularów. Z tego też powodu stał się outsiderem i zadowolenie znajdował jedynie osiągając doskonałe wyniki w nauce. Był, można by tak powiedzieć, maminsynkiem i po przedwczesnej śmierci ojca, zgodnie z życzeniem matki, poświęcił się sztuce. W ten sposób dotarł do Rzymu, aby prowadzić badania nad Michelangelem, i wkrótce natknął się na bibliotekę w Oratorium na Awentynie, w której przechowywano dokumenty ze spuścizny po florentyńczyku. Wśród akt znajdował się list Michelangela do Condiviego, w którym artysta powoływał się na Abulafię i „Księgę Znaków”. Początkowo Benno nie przykładał żadnej wagi do tego listu, ale ta wskazówka wzbudziła jednak któregoś dnia jego ciekawość i zaczął szukać „Księgi Znaków”. W końcu znalazł jeden egzemplarz księgi w bibliotece Oratorium.

– Czy Wasza Eminencja zna tę księgę?

– Naturalnie – odpowiedział Jellinek – tylko... nie widzę żadnego związku między nią a inskrypcją w Kaplicy Sykstyńskiej.

– Czy Wasza Eminencja czytał „Księgę Znaków”?

– Tak – odparł kardynał z wahaniem.

– Całą?

– Z wyjątkiem ostatniej strony, bracie.

– Ale to właśnie o nią chodzi! Dlaczego Wasza Eminencja opuścił ostatnią stronę?

– Brakuje jej w wydaniu, jakie miałem do dyspozycji. Ktoś ją wyrwał!

– Na tej stronie, Eminenza – brat Benno spojrzął na kardynała – znajduje się, jak sądzę, klucz do tajemnicy, albo przynajmniej bardzo ważna wskazówka dotycząca tego problemu. Ukrywa ona gorzką prawdę dla Kościoła.

– Powiedz wreszcie, bracie, co jest na tej stronie!

– Abulafia pisze, iż dowiedział się od swego mistrza wstrząsającej prawdy dotyczącej wiary i Kościoła i wyjawiał ją w swym „Traktacie o milczeniu”. To właśnie „Traktat o milczeniu” Abulafia chciał przekazać papieżowi Mikołajowi III, ale w dziwny sposób szpicle inkwizycji przekazali papieżowi treść tego dzieła, zanim jeszcze doszło do spotkania. Papież Mikołaj uznał jego treść za tak niebezpieczną, że użył wszystkich środków, aby znaleźć się w

jego posiadaniu. Zanim jednakże udało mu się aresztować Abulafię u bram miasta i wejść w posiadanie traktatu, papież umarł. Mimo to Abulafię aresztowano, przewieziono do Oratorium na Awentynie, gdzie zabrano mu traktat i ukryto w bibliotece. Abulafia był więziony ze względu na to, iż mógłby opowiedzieć komuś treść dzieła. Tak właśnie pisze o tym ów kabalista, skarżąc się dalej w „Księdze Znaków”, iż Kuria składa się z ludzi, którzy ponad wszystko cenią tylko własną potęgę i władzę. Jego „Traktat o milczeniu” zawiera dowód wstrząsającej prawdy, która może zmienić święte kanony i światopogląd Kościoła, a nawet powinna stać się przyczyną reformy wiary. Z tego też powodu, tak pisze Abulafia, Kościół zmusił go do milczenia. Kuria odmawia dyskusji nad jego dowodem i ukrywa tę potworną prawdę przed oczami wiernych, ale nie z poczucia odpowiedzialności wobec nich czy wiary, lecz z chęci utrzymania władzy. Kościół, jak pisze Abulafia, to kolos stojący na glinianych nogach. Dowodu tego zaś należy szukać w „Traktacie o milczeniu”.

– Czy znalazłeś „Traktat o milczeniu”?

– Tak, znalazłem go razem z dokumentami dotyczącymi Michelangela. Najwyraźniej nikt nie przykładał specjalnej wagi do tego dzieła.

– Czynisz, bracie w Chrystusie, bardzo niebezpieczne aluzje! Czy nie zechciałbyś w końcu zdradzić mi, co napisane jest w tym „Traktacie o milczeniu”?

– „Traktat o milczeniu”, księże kardynale, został napisany w języku hebrajskim. Wasza Eminencja sam wie, jak trudno odcyfrować takie rękopisy. Dotarłem jedynie do połowy dokumentu, ale i tak to, co przeczytałem, było wystarczająco okropne, by pozbawić mnie spokoju ducha. Abulafia pisze o tym, co przekazał mu jego mistrz; a więc iż Pismo Święte nie jest zgodne z prawdą, ewangelia św. Łukasza opiera się na fałszywych założeniach. Abulafia twierdzi, że Łukasz kłamie...

– Łukasz kłamie?! – przerwał mu kardynał. – Na ten temat też już dyskutowaliśmy. Ale dlaczego Łukasz? Cóż jest takiego szczególnego w ewangelii Łukasza?

– Przez wiele lat zajmowałem się tym problemem – powiedział ostrożnie brat Benno, jakby obawiając się doradzać w sprawach ewangelii kardynałowi i strażnikowi czystości wiary na dodatek. – Jak Wasza Eminencja wie, wczesne ewangelie odpowiadają sobie w znacznym stopniu, jeśli idzie o czyny Jezusa, opierając się na Marku, który opisuje ziemskie życie Zbawiciela. Jego relacja kończy się jednak nad otwartym grobem; ostatnia część dotycząca zmartwychwstania i wniebowstąpienia Chrystusa jest późniejszym uzupełnieniem, jakie powstało w czasach, kiedy pozostałe ewangelie zostały już napisane.

– A więc sądzisz, iż Łukasz...

– Tak, Łukasz jest tym, który jako pierwszy opisał pojawienie się zmartwychwstałego Chrystusa. Pamięta Wasza Eminencja, że Łukasz był uczniem Pawła, który w pierwszym liście do Koryntian, jeszcze przed Markiem i napisaniem ewangelii, złożył pełne rezerwy wyznanie dotyczące zmartwychwstałego Chrystusa.

– Znam to miejsce – Jellinek uśmiechnął się, przypominając sobie odpowiedni fragment,

jednakże za chwilę zmarszczki na jego czole pogłębiły się. – „Najpierw bowiem podałem wam to, co i ja przejąłem, że Chrystus umarł za grzechy nasze, według Pism, i że został pochowany. I że trzeciego dnia został z martwych wzbudzony, według Pism...” Te słowa zawsze dla mnie dużo znaczyły.

– To ten sam list – kontynuował brat Benno – którego ciąg dalszy brzmi: „A jeśli Chrystus nie został wzbudzony, daremna jest wiara wasza, jesteście jeszcze w swoich grzechach. Zatem i ci, którzy zasnęli w Chrystusie, poginęli... Albowiem jak w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy zostaną ożywieni”. Często zadawałem sobie pytanie, czy tych wielu uczonych, szukających wyjaśnienia fresków Michelangela w Starym Testamencie, nie powinno raczej skoncentrować się na Nowym.

– Masz, bracie, na myśli związek między starym a nowym Adamem, którym jest Chrystus?

– Byłem i ciągle jeszcze jestem historykiem sztuki, o ile człowiek nie może zapomnieć swego zawodu. Dokładnie badałem freski w Kaplicy Sykstyńskiej i ciągle szukałem wyjaśnienia, dlaczego florentyńczyk umieścił na początku swego dzieła scenę pijaństwa Noego i potop, aby potem, poczynając od apokaliptycznego grzechu, dokonać w ciągu tylko pięciu dni całkowitego zniszczenia dzieła Stworzenia Świata i zakończyć je sceną owego strasznego sądu, gdy gniewny Bóg, który sam siebie stworzył, strąca ludzi w otchłanie Styksu. Cóż więc możemy uczynić innego aniżeli Noe, jak bowiem pisze Paweł apostoł: „Jeśli umarli nie bywają wzbudzani, jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy”?

– A więc tajemnica Kaplicy Sykstyńskiej polega na tym, iż Michelangelo, jej twórca, zaprzecza zmartwychwstaniu Chrystusa, a tym samym zmartwychwstaniu ciała? – Jellinek znowu wstał z krzesła. Czuł, że kręci mu się w głowie, i to nie dlatego, iż uświadomił sobie, jak bardzo ta interpretacja pasuje do całości obrazu, jak wyjaśnia niektóre rzeczy, które do tej pory były nie wyjaśnione. Nic więc dziwnego, że florentyńczyk tak bardzo obawiał się śmierci, jeżeli bowiem Chrystus jako pierwszy z uśpionych na wieki nie zmartwychwstał, wtedy także nie byłoby żadnej nadziei dla ludzi, którzy po nim nastali. Wtedy też fundament Świętego Kościoła byłby nie tylko zagrożony w niektórych miejscach korozją, ale w ogóle całą jego budowlę zbudowano by na niebezpiecznych ruchomych piaskach...

– To herezja! – kardynał Joseph Jellinek, prefekt Kongregacji Wiary, niegdyś używającej imienia Świętej Inkwizycji, uderzył pięścią w stół. – Ale Kościół dał sobie radę i z innymi fałszywymi naukami: manicheizmem, arianizmem, herezją katarów. Któż dzisiaj mógłby je jeszcze poważnie traktować?

– Abraham Abulafia – powiedział brat Benno ochryłym głosem – nie powiedział, że wierzy, iż nasz Pan Jezus nie zmartwychwstał trzeciego dnia; on miał na to dowód, a ten dowód znajduje się w „Traktacie o milczeniu”!

– A na czym polega ten dowód?

– Nie doszedłem tak daleko – przyznał się brat Benno. – W połowie pracy zostałem

powołany do Wehrmachtu, a esesmani, dla których prowadziłem jeszcze dzień wcześniej odczyt, uniemożliwili mi wstęp do biblioteki.

– Nigdy dotąd nie słyszałem o tym „Traktacie o milczeniu” – powiedział Jellinek.

– Za to Michelangelo musiał znać zarówno „Księgę Znaków”, jak i „Traktat o milczeniu”. Znał całą historię życia Abrahama Abulafii. W tym liście – brat Benno wyciągnął z kieszeni kartkę – Michelangelo opiera się na Abulafii, i to jest właśnie klucz do sykstyńskiej inskrypcji.

– Proszę mi go dać, bracie. Co to za list?

– Prowadząc badania nad materiałem o Michelangelo wziąłem go i nie mogłem już potem zwrócić, powołano mnie bowiem do Wehrmachtu. Przechowywałem go pieczołowicie przez wszystkie te lata.

– Proszę mi go dać!

– Ale to, co Wasza Eminencja trzyma teraz w rękach, jest kopią. Oryginał przekazałem papieżowi Gianpaolo, kiedy zaczęło mnie dręczyć sumienie. Jestem już starym człowiekiem, Eminencjo, i nie chcę zabierać tej tajemnicy do grobu. Gianpaolo przyjął mnie chętnie, a ja opowiedziałem mu wszystko, tak jak teraz opowiadam to Waszej Eminencji. Papież był skonfundowany, bardzo skonfundowany. Zostawiłem mu list i wróciłem do domu. Moja misja została wypełniona.

– Ale ten list nie jest znany w Kurii!

– Nie wiem, czy list Michelangela pociągnął za sobą jakieś skutki, ale Gianpaolo musiał zapewne nań zareagować, tylko on mógł bowiem wysłać kogoś do Oratorium na Awentynie. Opat Odilo opowiedział mi, iż przed laty jakiś mężczyzna z Watykanu pytał go o materiały dotyczące Michelangela. Opat dokładnie nie pamiętał, kiedy to było. Na moje nalegania powiedział jednak, iż prawdopodobnie miało to miejsce po konklawe, na którym Gianpaolo został wybrany papieżem, a więc mniej więcej w tym czasie, kiedy byłem u niego. Gianpaolo umarł przedwcześnie i nie wiem, czy zaprzestano dalszych dochodzeń, czy też prowadzono je nadal. Artykuły w prasie zmusiły mnie, bym jeszcze raz tu przyjechał.

– Tak – powiedział Jellinek – to dobrze, że tu przyjechałeś, bracie – a potem zaczął czytać drobne, pełne zawijasów pismo:

„Drogi Ascanio. Zadałeś mi pytanie, a ja chcę na nie odpowiedzieć w sposób następujący: Bądź pewien, iż od chwili moich urodzin aż po dzień dzisiejszy nigdy nie przyszło mi do głowy, zarówno jeśli idzie o rzeczy drobne, jak i poważne, aby uczynić coś, co sprzeciwiałoby się Świętemu Kościołowi, Matce Naszej. Od chwili kiedy z Florencji przybyłem do Rzymu, dla wiary wziąłem na swe barki trudy i pracę i zniosłem więcej, aniżeli zniósłby każdy inny zwyczajny chrześcijanin, aby papież nie musieli się nudzić. Rzeźbiarze wykonując swe obowiązki przemocą wymuszają z kamienia formę, jaką artysta widzi okiem swej duszy, i albo się ona udaje, albo nie. Nic więcej ponadto nie można powiedzieć. Malarze za to, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny, mają pewne cechy charakterystyczne,

szczególnie tutaj w Italii, gdzie maluje się lepiej aniżeli gdziekolwiek indziej na świecie. Malarstwo niderlandzkie jest ogólnie określane jako pobożniejsze od włoskiego, ponieważ wyciska ludziom łzy z oczu, podczas gdy nasze pozostawia ich zimnymi. Niderlandczycy mianowicie próbują przekupić obserwatora, ukazując mu urocze i miłe przedmioty, rzeczy, które wpadają w oko; w rzeczywistości jednakże mają niewiele wspólnego z prawdziwą sztuką. Przede wszystkim ganię to malarstwo za to, iż na jednym malowidle umieszczonych jest tyle rzeczy, z których często jedna jedyna mogłaby wypełnić całe dzieło. Zawsze tak malowałem i nie potrzebuję się tego wstydzić, i mówię to przede wszystkim ze względu na Sykstyne, którą wymalowałem w duchu dawnej Grecji, nasza sztuka bowiem jest sztuką dawnych Greków. Zgodzisz się ze mną, że mimo iż sztuka nie należy do żadnego kraju, to pochodzi z niebios. Nie muszę wstydzić się Sykstyne, nawet jeżeli kardynałowie grzmia przeciwko niej i przeklinają nieokiełznaną wolność, nazywając ją dziełem diabła, z jaką moja dusza odważyła się przedstawić malowidła tego, co tworzy cel ostateczny wszystkich uczuć opierających się na wierze. Zarzucają mi, że namalowałem anioły bez ich niebiańskiego przepychu, a świętych pozbawiłem choćby śladu ziemskiego wstydu, a nawet iż obrażając wstydlivość uczyniłem to w sposób teatralny. W swojej gorliwości papież i kardynałowie posunęli się tak daleko, że nie zauważyli najważniejszego, tego co wplotłem we freski na sykstyńskim sklepieniu. Powinieneś o tym wiedzieć, drogi Ascanio, ale jak długo żyjesz, zachować dla siebie, ukamienowaliby mnie bowiem, gdyby znali prawdę. Żaden z tych, którzy oburzali się nagością moich postaci, nie zwrócił uwagi na nadzwyczajną skłonność do czytania moich odzianych po szyję Sybilli i proroków, zajętych księgami i zwojami pergaminów, i sądziłem, że moją tajemnicę będę musiał zabrać ze sobą do grobu, ale wtedy Ty, drogi Ascanio, odkryłeś owych osiem liter i zapytałeś o ich znaczenie. Oto moja odpowiedź: te osiem liter jest moją zemstą. Jesteś, jak i ja, zwolennikiem kabały i znasz mistrza jej największego, Abrahama Abulafię. Dla wszystkich więc, którzy są wtajemniczeni, umieściłem tam na górze łatwe do zauważenia znaki, Abulafia bowiem znał wstrząsającą dla Kościoła prawdę. Był uczciwym, prawym człowiekiem, tak samo jak Savonarola; obu papieże uczynili krzywdę, obaj prześladowani byli jako kacerze, Kościół bowiem nie jest taki, jakim być powinien. Każda prawda, która byłaby niebezpieczna dla Kościoła, będzie prześladowana. Tak było z Abulafią i tak było z Savonarolą. Savonarola został spalony, a Abulafii zrabowano jego księgi. Tego dowiedziałem się od moich przyjaciół. Wbrew interesom nauki przemilczane jest wszystko, czego dowiódł Abulafia. Papieże zachowują się jak panowie tego świata, a Kościół nie zmienił się od czasów Abulafii. Wiesz dobrze, jak mnie traktowali. Ale ja, Michelangelo Buonarroti, zemściłem się na nich tam na górze. Przyjdą następni papieże i jeżeli ich oczy wzniosą się ku sklepieniu Sykstyne i przyjrzą prorokowi Jeremiaszowi, najbardziej prawemu z prawych, wtedy ujrzą jego przygnębienie i zrozumieją pełne rozpaczycy milczenie, Jeremiasz bowiem zna prawdę. I ujrzą wtedy tę wskazówkę, którą ja, Michelangelo, umieściłem tam dla wszystkich w sposób widoczny i

jednocześnie niewidoczny. Bowiem zwój pergaminu u stóp Jeremiasza mówi: Łukasz kłamie. I kiedyś świat dowie się, co mam na myśli. Michelangelo Buonarroti w Rzymie”.

Jellinek milczał. Brat Benno spojrział na kardynała.

– Cóż za szatańska zemsta! – powiedział po długiej, pełnej milczenia pauzie kardynał Jellinek. – Zaprawdę, ta zemsta florentyńczyka jest diaboliczna. Ale co powiedział Abulafia? Gdzie jest ten dowód? Czyżby to było jakieś prastare sprzysiężenie Kościoła skierowane przeciwko światu?

– Już sama ta myśl dręczy mnie po dzień dzisiejszy, księżo kardynale!

– To heretyckie bzdury! Gdzie są *buste*, nad którymi wtedy pracowałeś, bracie; spuścizna po Michelangelo i „Traktat o milczeniu”?

– Pomijając ten list, wszystko pozostawiłem w bibliotece Oratorium. Przejrzałem jej zbiory, ale nie znalazłem ani jednego dokumentu, bibliotekarz zaś nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widział jakieś *buste* z dokumentami o Michelangelo albo cokolwiek z jego spuścizny. Opat Odilo powiedział mi, że również i wysłannik Watykanu, który zgłosił się u niego przed laty, nie znalazł ich i nic nie załatwiwszy, wrócił do siebie.

– To dziwne. Dlaczego te dokumenty zniknęły? I przede wszystkim, dokąd je przeniesiono? – kardynał zamyślił się. Czyż on sam nie znalazł w Tajnym Archiwum dokumentów na temat Michelangela? Czyż sam nie zadawał sobie wówczas pytania, dlaczego jego listy przechowywane są w *Riserva*? Być może były to właśnie dokumenty pochodzące z spuścizny Michelangela, nad którymi pracował przed laty brat Benno. Znowu ogarnęły go wątpliwości, mimo iż nigdy nie widział na oczy listu Michelangela, którego kopię miał teraz w rękach, a także „Traktatu o milczeniu”.

Jellinek poprosił brata Benno, aby bliżej określił, jakie dokumenty i listy znajdowały się w spuściznie Michelangela.

– To było tak dawno temu – odparł Benno – ale o ile dobrze sobie przypominam, cała spuścizna zawierała kilka tuzinów listów; listy do Michelangela i listy od Michelangela, co i tak już samo w sobie było wystarczająco dziwne. Któż bowiem przechowuje swoje własne listy? Ale oprócz tego listu były także i inne, adresowane do Condiviego, listy do papieża, do ojca we Florencji i, oczywiście, listy do Vittorii Colony, jego platonicznej miłości.

Kardynał Jellinek był kompletnie rozbity, kiedy tego wieczoru powrócił do domu, do Palazzo Chigi. Nawet Giovanna, którą spotkał na najwyższym podejściu schodów, nie wzbudziła jego zainteresowania.

– *Buona sera, signora* – powiedział roztargniony i zamknął za sobą drzwi.

Siedząc samotnie w bibliotece, po raz kolejny czytał list Michelangela. Jego treść była przygniatająca; Jezus, nasz Pan, miałby nie powstać z martwych! Nie mógł tego zrozumieć, więc jeszcze raz zrekapitulował informacje: istniała inskrypcja wypisana ręką Michelangela i dziwna kolejność fresków na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Istniała kopia listu Michelangela, którego zaginiony później oryginał przekazano papieżowi Gianpaolo; istniała

napisana przez Abulafię i ukryta w innych okładkach „Księga Znaków”, z której brakowało najważniejszej strony, i istniała spuścizna po Michelangelo, którą z nieznanых powodów przechowywano w Tajnym Archiwum, i w końcu „Traktat o milczeniu”, którego pełnej treści nikt nie znał i nie można go było odnaleźć nawet w tymże Tajnym Archiwum.

Kardynał nie potrafił tego wszystkiego połączyć w dającą się zrozumieć całość; jego zazwyczaj tak logicznie funkcjonujący umysł opierał się przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków. Czy wszystko, o czym się dowiedział, powinien przedstawić consilium kardynałów, biskupów i prałatów? Nie mógł tego uczynić, ta sytuacja niosła ze sobą zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Z tego też powodu kardynał Jellinek zdecydował się najpierw wtajemniczyć ojca Augustyna i z nim przedyskutować tę sprawę.

31. W Wielki Wtorek

Jellinek odnalazł ojca Augustyna w najbardziej oddalonym zakątku Biblioteki Watykańskiej, tam gdzie woń butwiejących ksiąg była najbardziej gryząca, a kurz pozbawiał człowieka możliwości oddychania. Zrelacjonował rozmowę z bratem Benno i opowiedział, że owo *buste* z dokumentami Michelangela, nad którymi pracował Benno, odnalazł w Tajnym Archiwum. Brakowało tylko listu Michelangela i „Traktatu o milczeniu”.

Augustyn był wstrząśnięty. Wstrząśnięty przede wszystkim treścią ostatniej strony z „Księgi Znaków”, na której ewangelia nazwana została kłamstwem.

– Czy ojciec kiedykolwiek słyszał o tym „Traktacie o milczeniu”? – zapytał kardynał.

– Nie potrafię sobie przypomnieć, Eminenza – odparł Augustyn. – Ale proszę chwilę poczekać! – dodał i zniknął między regałami. Przejrzawszy kilka podręczników i katalogów, powrócił po chwili z wiadomością, że w Archiwum Watykańskim taki dokument jest nieznan i z tego powodu nie ma go w rejestrach.

Jellinek wyjął z kieszeni jakąś kartkę i podał ją archiwariuszowi.

– To sygnatura spuścizny Michelangela. Czy może ojciec stwierdzić, kiedy te rzeczy znalazły się w bibliotece?

– W każdym razie dopiero po zakończeniu ostatniej wojny – odparł po chwili Augustyn, przyglądając się kartce z przymrużonymi oczyma.

– Teraz rozumiem, co się wtedy wydarzyło!

– Proszę opowiedzieć, Eminenza!

– Czy ojciec słyszał już kiedyś o ODESS-ie?

– Organizacji byłych nazistów? – Augustyn spojrzał na kardynała.

– Właśnie ją mam na myśli. Rozmawiałem w tych dniach z Antonio Adelmanem, prezesem Banca Unione. Opowiedział mi w związku z inskrypcją Michelangela o pewnym, niezbyt chwalebny dla Kościoła epizodzie.

– A więc Wasza Eminencja wie?

– Wiem, że po zakończeniu ostatniej wojny w Oratorium na Awentynie ukrywano i wyposażano nazistów w fałszywe dokumenty. Wszystko to odbywało się za przyzwoleniem Watykanu.

Augustyn nieruchomo wpatrywał się w Jellinka; nie wiedział, czy powinien milczeć, czy też opowiedzieć o tym, czego się dowiedział.

– Ale co to ma wspólnego z Adelmanem, a przede wszystkim z Michelangelo?

– Adelman jest Żydem. Naziści dobrze dali mu się we znaki, ale przeżył w kryjówce znajdującej się w centrum Rzymu, nie dowierzał bowiem tym przestępcom. Wymusili oni na rzymskich Żydach tonę złota i biżuterii, przyrzekając, iż pozostawią ich w spokoju. Mimo to Adelman nie odważył się opuścić swej kryjówki, i tej ostrożności zawdzięcza dzisiaj swoje życie. Po wojnie słyszał, że naziści w jakiś sposób szantażowali Kościół, aby móc wykorzystać Oratorium jako kryjówkę, przy czym w tym szantażu dużą rolę odegrało nazwisko Michelangela.

– Nie musi Wasza Eminencja mówić dalej, znam tę historię.

– Ojciec zna...?

– Opowiedział mi ją, pod warunkiem zachowania tajemnicy milczenia, opat Odilo, a nawet pokazał to złoto!

– Ono jest jeszcze tutaj?

– Przynajmniej jego część. Nie wiem tego dokładnie.

– Teraz rozumiem przebieg wydarzeń, jakie miały wtedy miejsce – kardynał skinął głową i mówił dalej, trzymając w powietrzu wyciągnięty palec wskazujący: – Kiedy podczas swego odczytu brat Benno opowiadał o Abulafii, naziści nagle zainteresowali się tym tematem. Benno powiedział, iż w spuściznie Michelangela odkrył tajemniczy „Traktat o milczeniu”, który mógł przysporzyć wielkich szkód Kościołowi. Ci panowie wiedzieli już wtedy, że ich panowanie się kończy, więc pojawienie się czegoś, czym mogli szantażować Kościół, było im jak najbardziej na rękę. Wystawili młodemu niemieckiemu uczoneму rozkaz stawienia się w wojsku następnego dnia i w ten sposób weszli w posiadanie dokumentów, nad którymi właśnie pracował. Łudzili się zapewne, że Benno zginie wraz ze swoją wiedzą w czasie działań wojennych.

– Ale brat Benno przeżył.

– Przeżył, ale nie odważył się ujawnić tajemnicy, naziści wykorzystali „Traktat o milczeniu” do szantażowania Kościoła. Stworzenie „szlaku klasztornego” było genialnym pomysłem, Oratorium na Awentynie zaś naturalną i pewną kryjówką, skąd bez przeszkód można było przerzucać nazistów za granicę. Kościół musiał współpracować, jeżeli nie chciał, aby publicznie ogłoszono „Traktat o milczeniu” Abulafii.

Jellinek zastanawiał się przez chwilę. Jeżeli to wszystko miało taki przebieg, po zakończeniu akcji Watykan musiał otrzymać z powrotem materiały, którymi go szantażowano, łącznie z „Traktatem o milczeniu”, jaki bowiem inny mógł być powód przechowywania spuścizny Michelangela w *Riserva*? Gdzie jednakże znajdował się teraz „Traktat o milczeniu”, którego treści ciągle jeszcze nie znali?

– Nie rozumiem jeszcze tylko jednej rzeczy – powiedział Jellinek – a mianowicie

związku całej tej sprawy z ojcem Pio. Pio odnalazł „Księgę Znaków” i musiał coś wiedzieć, albo przynajmniej przeczuwać. To Pio musiał wyrwać ostatnią stronę i położyć na jej miejscu swój list z ostrzeżeniem przed dalszymi poszukiwaniami. Musiał przeczuwać istnienie pergaminu o niszczycielskiej w konsekwencji treści, w przeciwnym wypadku wszystko to nie miałyby żadnego sensu. Ale skąd ojciec Pio mógł to wiedzieć; a przede wszystkim dlaczego popełnił samobójstwo? Ta wiedza nie była przecież żadnym powodem, aby odbierać sobie życie!

Ojciec Augustyn pokiwał głową; on znał prawdziwy powód, a przynajmniej sądził, że go zna, po tym, co opowiedział mu opat w piwnicach Oratorium. Powinien milczeć czy też opowiedzieć kardynałowi, co wie? Wcześniej czy później i tak się o wszystkim dowie; Jellinek nie był człowiekiem, który zatrzymywał się w połowie drogi.

Tak więc Augustyn opowiedział kardynałowi o watykańskim Urzędzie Emigracyjnym, który podjął się zadania przetrwania nazistów jako fałszywych zakonników do Ameryki Południowej, opowiedział o monsignore Tondinim, kierującym całą akcją, i jego pomocniku, Pio Segonim, który nie wstydził się przyjmować złota i biżuterii, w większej części tej samej, jaką naziści wymusili na rzymskich Żydach.

W związku ze swym powołaniem na watykański urząd i z obawy, iż jego poprzednik, o ile pozostanie nadal w archiwum, ujawni zbyt wiele spraw, które z woli pewnych sił powinny raczej pozostać nieznane, Pio został dopadnięty przez swoją przeszłość. Czas leczy wiele ran, ale niekiedy wystarczy samo wspomnienie, aby zostały one ponownie rozdarte. Ojciec Pio znał zupełnie inną, nieprzyjemną dla Kościoła historię, o jakiej mówiły dokumenty znajdujące się w spuściźnie po Michelangelo, historię związaną z jego własnym, dawnym nieszczęsnym życiem, a także zdawał sobie sprawę z hańby, jaka z tego powodu ciążyła na Kościele i mogłaby być ujawniona, gdyby ktoś zaczął się zajmować tymi wydarzeniami.

Jedynе pytanie, jakie się nasuwało w tej sytuacji, brzmiało, czy ojciec Pio znał „Traktat o milczeniu”, czy go odnalazł i być może zniszczył?

32. W Wielką Środę

Przed południem członkowie consilium zebrali się na posiedzeniu nadzwyczajnym. O spotkanie to pilnie poprosił kardynał Sekretarz Stanu. Cascone otworzył konferencję pytaniem, czy ktoś z zebranych ma jakieś nowe informacje na interesujący consilium temat. Zebrani twierdzili, iż rozwiązanie tajemnicy przy pomocy brakującej strony z „Księgi Znaków” leży w gestii kardynała Jellinka. Dopiero gdy okaże się, co Abulafia na niej napisał, będzie można zaryzykować dalsze próby interpretacji. Wszyscy zadawali sobie pytanie, jaki był powód zwołania nadzwyczajnego posiedzenia consilium, i to właśnie teraz, w Wielkim Tygodniu.

– Święta Wielkiej Nocy – powiedział Cascone – są dla Kościoła świętami pokoju. Zadaje sobie pytanie, czy nie należy dać również spokój i tej nieprzyjemnej sprawie, tym bardziej że już tyle czasu minęło a nie odnotowano żadnych postępów. Rozwiązanie zostało znalezione: Michelangelo wypisał na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej nazwisko niemal zapomnianego już kabalisty; odkryto także kabalistyczne skłonności samego malarza. Powtarzam tu tylko rzeczy znane już wszystkim. Czy kardynał Jellinek ma nam coś nowego do zakomunikowania?

Jellinek zaprzeczył; nie znalazł nic, co nie byłoby do tej pory znane. Przewrócił wszystko do góry nogami w Archiwum i *Riserva*, ale nigdzie nie pojawił się dokument, jaki został odebrany Abulafii przez inkwizycję, nie znaleziono także żadnych innych poszlak. Do dnia dzisiejszego nie przyniosły konkretnych efektów również poszukiwania prowadzone w bibliotekach żydowskich, kardynałowi nie udało się zdobyć drugiego egzemplarza „Księgi Znaków”. Utracił już nadzieję, aby wewnątrz watykańskich murów można było znaleźć wskazówkę, która przyczyniłaby się do rozwiązania tajemnicy. Dokumenty te zostały z biegiem czasu zagubione albo zniszczone przez ojca Pio.

– Nie możemy wykluczyć tej ostatniej możliwości – kontynuował Jellinek – pamiętając o liście, jaki pozostawił zmarły. Jedynie pewien zakonnik, po przeczytaniu artykułu w prasie, przekazał mi list Michelangela, w którym pisze on o swej zemście dokonanej przy pomocy fresków na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Artysta powołuje się w tym liście na ów pergamin zarekwirowany przez Świętą Inkwizycję. Pozostałe informacje są już znane zasiadającym w składzie tego czcigodnego consilium.

– To wszystko nie posuwa nas ani na krok do przodu! – odezwał się Cascone. – I nie może, znaleźliśmy już bowiem rozwiązanie całej sprawy. Z wściekłości wywołanej wykonywaniem nie chcianej pracy i gniewu spowodowanego fatalnym traktowaniem przez papieża Michelangelo dał upust swemu niezadowoleniu. Po co więc szukać dalszych wyjaśnień? Zagadka została rozwiązana. Cóż chcemy więcej wiedzieć o człowieku, którego Kościół przez setki lat nie uważał za godnego jakiegokolwiek dokumentacji? Poszukiwanie danych o Abulafii może tylko przysporzyć szkód. Wiemy już i tak wystarczająco wiele. Michelangelo był zwolennikiem kabały. Z tego też powodu zwołałem to nadzwyczajne posiedzenie. Tracimy tylko nasz czas, każdy z tutaj zebranych ma do załatwienia sporo o wiele ważniejszych rzeczy.

– Ależ księże kardynale Sekretarzu Stanu! – wykrzyknął Parenti. – To rozwiązanie mi nie wystarcza! Nie wystarcza ono także nauce!

– Obradujemy nad przypadkiem dotyczącym spraw Kościoła – przerwał mu ostro Cascone – a nie nauki. Nam to wystarczy! Dlatego też stawiam niniejszym wniosek, i usilnie proszę zebranych, by wyrazili nań zgodę, o rozwiązanie consilium i potraktowali sprawy w dalszym ciągu *specialissimo modo*.

– Nigdy się z tym nie zgodzę! – zawołał Parenti.

– Znajdziemy dla pana jakieś rozwiązanie, professore. Kościół ma dobrą pamięć i długie ręce! Niech pan o tym nie zapomina!

Także i Jellinek gwałtownie sprzeciwił się wnioskowi Cascone, twierdząc, iż w tym momencie stanął w miejscu ze swym dochodzeniem, ale z całą pewnością znajduje się na tropie prawdziwego rozwiązania tajemnicy.

– Kardynał Sekretarz Stanu ma rację – wmieszał się do dyskusji Canisius, większość zebranych zaś przytaknęła mu, kiwając głowami. – Także i ja jestem za tym, aby rozwiązać consilium. Wszelkie kolejne dochodzenia mogą przynieść więcej szkód niż pożytku.

W taki więc sposób zakończyło się posiedzenie consilium, na którym większością głosów zdecydowano o jego rozwiązaniu. Jellinek został *ex officio* zwolniony ze swej funkcji przewodniczącego; ustalono również, iż wszystko, o czym mówiono w ramach consilium, należy także i w przyszłości traktować *specialissimo modo*. W ciągu następnych tygodni Parenti powinien przygotować propozycję wyjaśnienia przeznaczonego dla opinii publicznej, a potem zostanie podjęta decyzja, jak postąpić ze znajdującymi się na sklepieniu literami.

Jellinek wyszedł z sali posiedzeń razem z kardynałem Bellinim.

– Niech ksiądz nie będzie tak przygnębiony, księże kardynale.

– Jestem rozczarowany! Cascone był już od dawna przeciwnikiem moich dochodzeń, od początku wolał raczej znaleźć szybkie wyjaśnienie aniżeli prowadzić dokładne badania. Sądziłem, że przynajmniej Wasza Eminencja jest po mojej stronie! Liczyłem na pomoc, ale się pomyliłem. Tak samo jak w przypadku Sticklera!

– Musiałem przyznać rację Cascone, bo rzeczywiście istnieją ważniejsze rzeczy, jakimi

musimy się teraz zająć. Cóż da grzebanie w prastarych sprawach, jeśli najnowsza przeszłość kryje w sobie tyle rzeczy nie wyjaśnionych? Jest jeszcze wiele win, które nie uległy przedawnieniu!

– Być może. Ja tymczasem też zwątpiłem, że do czegoś dotrę. Zbyt wiele śladów okazało się fałszywymi. Ale jestem człowiekiem, który zawsze prowadzi swoją pracę do końca; nie mogę poddać się tak szybko, w przeciwnym wypadku nie byłbym w tym miejscu, gdzie jestem. Wzdragam się zakończyć swoje dochodzenie właśnie teraz, kiedy, być może, rozwiązanie znajduje się na wyciągnięcie ręki.

– Często musimy się poddać, bracie w Chrystusie – sprzeciwił się Bellini. – Życie wymaga od nas koncesji. Czy Wasza Eminencja sądzi, że moja praca przychodzi mi łatwo? Także i ja muszę często rezygnować. Czy Wasza Eminencja przypomina sobie jeszcze rozmowę, jaką przeprowadziliśmy przed kilkoma tygodniami ze Sticklerem? Nadal obstaję przy tym, co wtedy powiedziałem.

– Tym bardziej więc potrzebowałem poparcia Waszej Eminencji przeciwko członkom tamtego obozu.

– Jak już powiedziałem, aby przeżyć, czasami trzeba iść na ustępstwa. A tak przy okazji, czy Wasza Eminencja miał jeszcze podobnie zaskakujące odwiedziny?

– Nie – zaprzeczył Jellinek. – Do tej pory nie wiem, co myśleć o tym ostrzeżeniu. Dlaczego to właśnie ja otrzymałem tę paczuszkę?

– Cały czas zastanawiałem się nad tym. Podejrzewam, Eminencja, że wbrew swej woli dostał się ksiądz w tryby jakiejś tajnej organizacji, ponieważ dochodzenia dotyczące inskrypcji sykstyńskiej zatoczyły szersze kręgi, aniżeli się tego spodziewano na początku. Pewni ludzie obawiają się szeroko zakrojonego śledztwa.

– Stąd więc ta dziwna paczka z pantoflami i okularami papieża!

– Właśnie. Dla kogoś nie wtajemniczonego jej zawartość pozostanie niezrozumiała. Jednakże dla człowieka, który w swych poszukiwaniach dotarł tak daleko, że widzi kulisy całej sprawy, paczka ta jest niedwuznacznym ostrzeżeniem. Żyjesz niebezpiecznie, bracie w Chrystusie, nawet bardzo niebezpiecznie!

Jellinek niepewnie dotykał purpurowych guzików swej sutanny. Nie był człowiekiem, któremu łatwo było napędzić strachu, ale nagle poczuł bicie swego serca i zaczął ciężko oddychać.

– Wasza Eminencja słyszał zapewne – zaczął znowu Bellini – o tajnej loży noszącej nazwę P2. Organizacja ta wcale nie została rozbita. Celem jej członków jest zdobycie władzy, wpływów sięgających poza granice Włoch. Jej ręce sięgają aż do Ameryki Południowej, a członków znaleźć można w najwyższych kręgach rządowych, prokuraturach, przemyśle i bankach. Od dawna krąży już pogłoska, że do tej tajnej loży należą również członkowie Kurii, księża, biskupi i kardynałowie. W przypadku niektórych kardynałów i biskupów – Bellini zrobił krótką pauzę – jestem tego zupełnie pewny. Mówiąc między nami, istnieje również

pewne poziome powiązanie z najwyższymi kręgami wielkiej finansjery. Interesy finansowe naszego biskupiego zarządcy IOR w Watykanie – idzie tu o olbrzymie sumy pieniędzy i tajne umowy – nie zawsze są takie bezproblemowe i wymagają niekiedy największej dyskrecji. Zapewne Wasza Eminencja słyszał już to zdanie: człowiek wchodzi do Watykanu z walizką pełną pieniędzy i natychmiast przestają działać wszystkie ustawy skarbowe! Każde zamieszanie w i wokół Kurii oznacza niebezpieczeństwo dla swobodnej realizacji tego rodzaju interesów. Dochodzenie prowadzone przez Waszą Eminencję zwraca na Kurię zbyt wiele uwagi.

– Już samo członkostwo w jakiejś ortodoksyjnej loży Kościół uznaje za powód do ekskomuniki!

– Jak widać, nikomu to specjalnie nie przeszkadza – wrzucił ramionami Bellini. – W ostatnich latach ten niecny proceder zaczyna w Watykanie coraz bardziej przybierać na sile. P2 posiada prawdziwą siatkę szpiegowską, jej ludzie zbierają materiały o ważnych osobistościach, próbują znaleźć ich słabe strony, by potem je wykorzystywać. Jak się mówi, każdy wstępujący do loży musi na wstępie zdradzić jakąś obciążającą go tajemnicę. Wasza Eminencja jest jeszcze zbyt krótko w Rzymie. Być może jest ksiądz już przez nich obserwowany.

– Budka telefoniczna przed moim domem! – głos Jellinka podniósł się o kilka tonów. – I ta przeklęta baba, Giovanna. To wszystko należy do tej ukartowanej gry!

– Nie rozumiem cię, bracie.

– I nie musisz, księżę kardynale Bellini. Tego nie musi Wasza Eminencja rozumieć!

Obaj kardynałowie pożegnali się i Jellinek długo zastanawiał się nad tym, o czym rozmawiali. Teraz wiedział już wszystko o dziwnych nocnych rozmowach telefonicznych z budki przed swoim domem i nieproszonym gościu. Znał teraz przyczynę życzliwości Giovanny, ale jeżeli nawet nie dotyczyła ona jego osoby, służąc innym celom, to w głębi duszy miał nadzieję, że Giovanna będzie go w dalszym ciągu wypytywać. I z tą nieprzystojną myślą Jellinek poszedł do siebie.

33. W Wielki Czwartek

Wieczorem Jellinek zajrzał na chwilę do Sala di merce, aby zorientować się w stanie partii. Wchodząc nieoczekiwanie natknął się na kardynała Cascone, który roztargniony pozdrowił go krótko, a potem szybko, tak się przynajmniej wydawało Jellinkowi, wyszedł z sali.

W osiemnastym ruchu Jellinek przesunął swego skoczka z e4 na c5, jego przeciwnik zaś odpowiedział wieżą z e6 na g6. Biały skoczek blokował teraz razem z białą królową większość czarnych pionów osłaniających skrzydło ich królowej. Jellinek bardzo się zdziwił tak szybką odpowiedzią swego przeciwnika, który najwyraźniej zwabił go w pułapkę i teraz bezczelnie usiłował dać mu mata. Czy powinien się teraz poddać? Ostatnio nie miał zbyt wiele szczęścia; consilium zostało rozwiązane wbrew jego woli, nie osiągnął także żadnych sukcesów w szachach. Przyglądał się w zamyśleniu kunsztownie rzeźbionym figurom, których piękno i doskonałość wykonania już od dawna go fascynowały. Nie, sytuacja nie była aż tak zła, miał jeszcze pewne wyjście.

Wkrótce uda mu się osiągnąć przewagę na jednym ze skrzydeł swego króla. To przyniesie, to musi spowodować decydujący zwrot w tej partii; być może nawet nieostrożny manewr przeciwnika rozstrzygnie grę na jego korzyść. Kto wie? Zaczął się zastanawiać, czy jego przeciwnikiem jest rzeczywiście Stickler. Ta brawurowa gra zupełnie do niego nie pasowała, nie była charakterystyczna dla ostrożnego taktyka, z którym zwykł był grywać.

Jellinek porzucił jednak tę myśl. W tej chwili miał zupełnie inne problemy; nie posunął się ani o krok w poszukiwaniach „Traktatu o milczeniu”. Mimo iż otworzył setki *buste* i przejrzał wiele ksiąg w nadziei znalezienia go w innych okładkach, poszukiwania nie przyniosły oczekiwanego rezultatu.

Opuszczając Sala di merce spotkał Sticklera.

– Sytuacja nie wygląda dla Waszej Przewielebności najlepiej, bracie w Chrystusie – Jellinek nie mógł sobie odmówić tej uwagi.

– Co Wasza Eminencja ma na myśli? – zapytał w odpowiedzi Stickler.

– Twój kolejny ruch, monsignore!

– Nie rozumiem, księżę kardynale. O czym Wasza Eminencja mówi?

– O naszej partii. Może się ksiądz spokojnie przyznać.

– Bardzo mi przykro, Eminenza. Nie wiem, o czym ksiądz mówi.

– Nie chcesz chyba twierdzić, bracie w Chrystusie, iż to nie ty jesteś owym tajemniczym przeciwnikiem, z którym gram już od wielu tygodni? – Jellinek pociągnął Sticklera przez wysokie drzwi do Sala di merce i wskazał na szachownicę.

– I Wasza Eminencja sądzi, że ja... – zająknął się Stickler. – Muszę księdza rozczarować, Eminenza. To bardzo piękne szachy, ale jeszcze nigdy nimi nie grałem.

Jellinek spojrział zmieszany na papieskiego kamerdynera.

– Poza nimi dwoma w murach Watykanu jest jeszcze wielu doskonałych graczy. Proszę wziąć na przykład Canisiusa.

– Ta strategia nie pasuje do niego – Jellinek potrząsnął głową. – Znam jego sposób rozgrywania partii.

– Albo Frantisek Kolletzki czy kardynał Sekretarz Stanu, Cascone. Wybitny i odważny strateg, który chętnie podstawia nogę swoim przeciwnikom, podobnie jak w życiu, jeżeli wolno mi wyrazić się w ten sposób. Wszyscy wymienieni są mistrzami królewskiej gry i ze względu na bliskość miejsca swego zamieszkania czy pracy mieli często okazję, by tu przyjść.

– A więc od długiego czasu – głęboko odetchnął Jellinek – gram z przeciwnikiem, którego nie znam.

Stickler wzruszył ramionami. Kardynał zamyślił się przez chwilę.

– Właściwie nie dziwi mnie to – powiedział. – Któż zna tutaj swych prawdziwych przeciwników?

– Mnie może ksiądz wierzyć, Eminenza – odparł Stickler. – Sądzę nawet, że mi ksiądz wierzy, ale nie ufa, a to jest różnica. Dlaczego Wasza Eminencja mi nie ufa?

– Ufam księdzu, monsignore – rzekł Jellinek – ale nie jest to odpowiednie miejsce na tego rodzaju rozmowy. Gdzie możemy swobodnie porozmawiać?

– Proszę pójść ze mną – odparł Stickler i obaj ruszyli w drogę do mieszkania kamerdynera.

Stickler zamieszkiwał mały apartament znajdujący się w Pałacu Papieskim. W porównaniu z wystawnym przepychem komnat, w jakich zamieszkiwali kardynałowie, jego apartament sprawiał wrażenie skrajnie skromnego. Ciemne umeblowanie było co prawda stare, ale wcale nie kosztowne. Usiedli na narożnikowej kanapie o wytartych poduszkach i kardynał zaczął opowiadać, że odwiedził go zakonnik imieniem Benno, pochodzący z klasztoru zamieszkanego przez mnichów, którzy złożyli śluby milczenia. Ów Benno opowiedział mu w związku z inskrypcją sykstyńską o zadziwiających sprawach, sprawach nie pozwalających człowiekowi zasnąć.

– Księżę kardynale – poprosił Stickler – proszę jednak może opowiedzieć coś więcej o tej historii.

– Brat Benno – kontynuował Jellinek – dał mi kopię jednego z listów Michelangela;

znajdowały się w nim aluzje do pewnych dokumentów, których nie mogę zdobyć. Bez tych materiałów, jak się obawiam, nie da się w pełni rozwiązać tajemnicy inskrypcji.

– W jaki sposób ten zakonnik wszedł w posiadanie kopii listu?

– Benno prowadził w Rzymie badania nad Michelangelem – odparł Jellinek – i natrafił na ten list w bardzo szczególnych okolicznościach. Potem jakoby oryginał listu Michelangela zawierający tajemnicze aluzje przekazał papieżowi Gianpaolo. Czy może przypomina ksiądz sobie taki przypadek?

Stickler kilkakrotnie powtórzył w zamyśleniu imię Benno.

– Słyszałem już to nazwisko – powiedział w końcu. – Tak, przypominam sobie, że widziałem na biurku Jego Świątobliwości jakiś bardzo stary list. Gianpaolo przebywał w owym czasie nader często w Tajnym Archiwum, można więc przyjąć, że i ten list stamtąd pochodził. Poza tym nie przykładałem do niego żadnej wagi. O ile mogłem się zorientować ze słów Gianpaola, papież, proszę tę informację traktować *specialissimo modo*, przygotowywał nowy sobór.

– Sobór? – przeraził się Jellinek. – Nigdy dotąd nie słyszałem o tego rodzaju planach papieża Jana Pawła I.

– I nie mógł ksiądz – stwierdził Stickler. – Gianpaolo nie miał już czasu, aby podać go do wiadomości publicznej. Poza Casconem i Canisusem, i oczywiście moją skromną osobą, nikt nie miał pojęcia o tym planie – dodał, a w jego słowach zabrzmiała swojego rodzaju duma. – Cascone i Canisius byli jednak jego zagorzałymi przeciwnikami. Często słyszałem, jak starali się przekonać papieża, iż jego plan przyniesie szkodę Kościołowi. Odważali się nawet sprzeciwić Gianpaolo i więcej niż raz doszło między nimi do gwałtownej sprzeczki. Często słyszałem zza zamkniętych drzwi podniesione głosy i rzucane nawzajem sobie oskarżenia, lecz Gianpaolo pozostał nieugięty i obstawał przy tym, aby zwołać sobór. Jednakże zanim zdążył oficjalnie ogłosić swoje zamiary, papież umarł, i to w bardzo dziwnych okolicznościach, co oczywiście jest Waszej Eminencji wiadome.

Jellinek dał wyraz swemu zdziwieniu, iż następca Gianpaola nigdy nie zajął się planami zwołania soboru przez swego poprzednika.

– Nie było to możliwe choćby z tego względu – odpowiedział Stickler – że zniknęły wszystkie notatki i dokumenty na ten temat. Mogę z całą pewnością powiedzieć, że jeszcze wieczorem przed swoją śmiercią Gianpaolo pracował nad tymi dokumentami. Chciał mieć, jak mówił, wolną rękę w reorganizacji Kurii.

– Czy Wasza Przewielebność sądzi, że dokumenty te zostały skradzione?

– Tak – odparł Stickler. – Zakonnica, która rano zastała Gianpaola martwego w łóżku powiedziała, że trzymał w rękach wiele kartek. W oficjalnym komunikacie o śmierci papieża oświadczone natomiast, że Gianpaolo zmarł przy lekturze książki. Zakonnicę zobowiązano do całkowitego milczenia i wysłano do leżącego na uboczu klasztoru. Oficjalnie oczywiście o niczym nie wiem, ale jako kamerdyner byłem poinformowany o każdym kroku papieża.

– Podejrzewam – odezwał się z wahaniem Jellinek – rzecz straszną. Poza tobą, bracie w Chrystusie, tylko dwóch ludzi wiedziało o planie papieża, dwóch zagorzałych przeciwników tego planu, za przyczyną którego mieli utracić swe urzędy. Jego śmierć... i to właśnie w takiej chwili... brakujące dokumenty... jest tylko jeden wniosek, jaki... Cascone i Canisius... to oni musieli... nie, nie odważę się tego powiedzieć na głos.

– Ja też – powiedział Stickler – podejrzewam to samo, ale brakuje mi dowodów, dlatego też nie pozostaje nic innego jak milczeć.

– Niedawno – chrząknął Jellinek – Bellini mówił coś o tajnej łoży. Czy ksiądz o niej słyszał?

– Oczywiście.

– Opowiadał mi, iż także i członkowie Kurii należą do tego nielegalnego stowarzyszenia. Czy sądzi ksiądz, iż ma to związek z wymienionymi nazwiskami?

– Jestem tego nawet pewien. Istnieje lista z nazwiskami członków łoży i doszło do moich uszu, że są na niej obaj wymienieni purpuraci. Prawdopodobnie, za przyczyną dochodzenia prowadzonego przez Waszą Eminencję, zrobiło się im gorąco pod nogami i poprzez jednego z pośredników kazali przesłać ostrzeżenie. Któż inny mógłby użyć jako środka nacisku domowych pantofli i okularów papieża, oprócz tych, którzy byli odpowiedzialni za ich zniknięcie?

– Prawie nie mogę w to wszystko uwierzyć. Historia, jaką ksiądz opowiada, jest zbyt potworna. Ale, by powrócić do soboru, monsignore: jaki miał być jego temat?

– Szło o zmartwychwstanie naszego Pana Jezusa.

– Zmartwychwstanie Chrystusa? A czy listy i dokumenty, jakimi zajmował się wtedy Gianpaolo, także zniknęły w dniu śmierci papieża?

– Początkowo nie – odpowiedział Stickler. – Pamiętam to dlatego, ponieważ do moich obowiązków jako kamerdynera papieża należało także uprzątnięcie biurka Gianpaola. Zajmując się tym, znalazłem kilka starych *buste*, listów i hebrajski pergamin, którego prawie nie można było odczytać. Papież przez wiele nocy siedział nad tym pergaminem i zawsze, kiedy wchodziłem do jego pokoju, czymś go przykrywał.

– Czy może mi ksiądz powiedzieć, o jaki pergamin chodziło?

– Żałuję, Eminenza, ale wtedy nie przywiązywałem do tych rzeczy żadnego znaczenia. Nie wydawały mi się po prostu ważne. Z drugiej strony, Cascone naciskał do pośpiechu: biurko ma być uprzątnięte do wieczora. Musiałem się więc bardzo śpieszyć. Z tego też powodu ostatnie dokumenty, jakimi zajmował się Gianpaolo, pozostawiłem w jego spuściźnie.

– A gdzie znajduje się teraz ta spuścizna?

– W archiwum, gdzie przechowywane są rzeczy osobiste wszystkich papieży.

Jellinek zerwał się na równe nogi.

– Stickler, to jest właśnie rozwiązanie! Z tego powodu nie mogłem znaleźć tych dokumentów w Tajnym Archiwum, do którego należą i skąd zostały zabrane.

34. Od Wielkiej Soboty po Niedzielę Wielkanocną

Nawet Wielki Piątek ze swym świętym misterium o cierpieniu i śmierci naszego Pana nie przyniósł kardynałowi Jellinkowi ani krzty wewnętrznego spokoju i ulgi. Czy odnajdzie „Traktat o milczeniu”? To pytanie bez przerwy budziło go ze snu. Gdybyż Stickler miał rację! Musiał mieć rację, a przynajmniej było to jedyne sensowne rozwiązanie. ODESSA w rewanżu za pomoc w przeprowadzeniu akcji „klasztornego szlaku” zwróciła materiały Watykanowi. Potem były one przechowywane w *Riserva*, z dala od wszelkich nie upoważnionych oczu. I pozostałyby tam, nie tknięte i zapomniane, Tajne Archiwum bowiem jest niczym grób dla rzeczy, które nie są przeznaczone dla opinii publicznej. A ponieważ także i nazwisko Abulafii zostało usunięte z ogólnie dostępnego archiwum, tajemnica ta pozostałaby taką po wsze czasy, gdyby brat Benno nie poinformował papieża Gianpaolo o swoich studiach. Gianpaolo musiał przynieść pisma Abulafii z Tajnego Archiwum i na ich podstawie powziąć plan zwołania soboru.

Cóż takiego, *Domine nostrum*, mógł zawierać „Traktat o milczeniu”, skoro papież poczuł się zmuszony do uczynienia tak daleko idącego kroku? To pewne, iż musiał z tego powodu umrzeć. Zdawać by się mogło, iż tajemniczy pergamin lada moment wychynie na światło dzienne. Najpierw leżał nie zauważony w Oratorium na Awentynie, potem w Tajnym Archiwum, a teraz znalazł miejsce w spuściznie papieża, na którą w normalnych warunkach żaden człowiek nie rzuciłby okiem. Któż mógłby interesować się spuścizną po papieżu, a poza tym kto miałby dostęp do tego działu archiwum?

Jellinek nie chciał czekać do chwili otwarcia archiwum we wtorek po Wielkanocy; musiał zdobyć pewność jeszcze dzisiaj, w Wielką Sobotę. Kazał więc wezwać klucznika i oświadczył mu, że musi przeprowadzić bardzo ważne dochodzenie.

– Proszę mi dać klucze i zostawić samego.

Potem ruszył w stronę bocznych drzwi Watykańskiego Archiwum prowadzących do pomieszczenia, którego progu jeszcze nigdy nie przekroczył. Jego napięcie wzrastało z każdym krokiem. Gdy miał włożyć klucz do zamka, zawahał się na moment. Co go czeka? Jakaż to straszliwa prawda otworzy się przed jego oczyma? Zdecydowany na wszystko pchnął ciężkie drzwi.

Nie znał tej sali i musiał dopiero przyzwyczać się do panującego w niej mroku, który nader skąpo rozpraszały mleczone lampy umieszczone u sufitu. Pomieszczenie wydało mu się podobne do grobowca. Na stojących pod ścianami regałach leżały metalowe kasety i pojemniki. Powietrze w tej sali przesycone było nieokreślonym zapachem; nie była to woń papieru i skóry jak w *Riserva*. Był to zapach czegoś zwietrzałego i stęchłego. Ta sala była grobem służącym do przechowywania osobistego mienia papieży. W każdej z tych blaszanych wanien znajdowały się najbardziej prywatne rzeczy, które niegdyś należały do poszczególnych papieży. Każdy z tych pojemników nosił też tabliczkę z nazwiskiem: Leon X, Pius XII, Jan XXIII i tak dalej, po kolei. I nagle zobaczył nazwisko Jana Pawła I, wytrawione na skromnej miedzianej tabliczce, tak jak inne pozbawionej ozdób. Była ona równie skromna jak ów papież za swego życia.

Jellinek ostrożnie wyciągnął mającą pół metra szerokości i metr długości kasetę i przeniósł ją na stojący z boku stół. Przez chwilę przypatrywał się brązowemu pojemnikowi. Znajdował się już tak blisko rozwiązania całej tajemnicy, a jednak wydało mu się, że opuściła go odwaga, aby otworzyć kasetę. Jeszcze większy zaś był lęk przed Nieznanym. Co znajdzie w środku? Jaka prawda ukaże się jego oczom? Czy wolno mu w ogóle grzebać w spuściźnie papieża? Jeżeli Pan Bóg chciał, aby ten pergamin był ciągle przenoszony i zapominany, to czyż on, Jellinek ma prawo wydobyć go na światło dzienne? Czy może wziąć to na swoje sumienie? Czy wolno mu, bez wtajemniczenia kogoś innego, prowadzić tutaj samemu dalsze dochodzenie? Może powinien poinformować o tym pozostałych członków consilium?

Wszystkie te pytania w jednym momencie przemknęły przez głowę kardynała; po chwili jednak złamał pieczęć zamykającą dostęp do zwykłego, prostego zamka. W środku leżały ułożone w stosy listy, dokumenty i rękopisy, a wśród nich rzeczywiście znajdował się oryginał listu Michelangela do Ascanio Condiviego. Dotykając go, ręce kardynała zaczęły drżeć, czuł bowiem leżący pod nim wytarty, porowaty pergamin. Kiedy go wyjął, natychmiast rozpoznał koślawe hebrajskie litery, poźółkłe i wyblakłe ze starości. Przeczytał tytuł pergaminu – „Traktat o milczeniu”.

Odcyfrowanie słów sprawiało mu dużo trudu. Jellinek ostrożnie zabrał się do czytania: „Mnie, bezimiennemu i mało znaczącemu, nauczyciel mój przekazał następującą wiedzę, którą otrzymał on od swego nauczyciela, a tamten z kolei od swego nauczyciela, za każdym razem, aby przekazywać tę wiedzę dalej temu, kogo uzna za jej godnego i zdolnego czynić, aby jej treść nie zaginęła po wsze czasy”.

Kardynał od razu rozpoznał charakterystyczny styl Abulafii i z trudem czytał dalej.

„Spisałem ten traktat”, pisał Abulafia, „bowiem prześladowany przez inkwizycję wątpię, czy będzie mi dane przekazać ustnie tę tajemnicę dalej. Ponieważ jednak nie może być ona zapomniana, zdecydowałem się na spisanie tego traktatu opartego na wiedzy przekazanej mi przez mego nauczyciela. Każdemu zaś, któremu daleka jest kabała, zakazanym jest pod klątwą Najwyższego, przeczytanie choćby jednej linijki tego traktatu”.

Ta przestroga jeszcze bardziej zaciekała kardynała. Zaczął czytać pergamin, jak mógł najszybciej, chciwie połykając słowa. Czytał o przekazanej wiedzy i sile wiary, długo nie mogąc zorientować się, o co chodzi kabaliście, do chwili aż dotarł do sedna wiadomości zawartej w traktacie, która brzmiała dosłownie tak: „Dowiedziałem się tej tajemnicy dla dobra ludzi, aby nawrócili się na prawdziwą wiarę, uzyskali pełne poznanie i wyrzekli wszystkich fałszywych rodzajów wiary. Jezus, którego my nazywamy śmiertelnym prorokiem, nie powstał z martwych, jak wierzą ci, którzy uważają go za Syna Bożego, ale jego ciało zostało skradzione przez ludzi, którzy są stronnikami naszej nauki, i przewiezione do Safed, w Górnej Galilei, gdzie Szymon ben Jeruchim pochował je we własnym grobie. Uczynili to, aby zapobiec rozpowszechnianiu się kultu związanego ze śmiercią Nazaretańczyka. Nikt zaprawdę nie mógł przeczuwać, że ich dzieło wywoła wręcz odwrotny skutek i że zwolennicy tego proroka czyn ten uznają za powód do twierdzenia, iż Jezus w swym ziemskim wcieleniu wstąpił do nieba”.

W dalszym ciągu pergamin zawierał kompletną listę trzydziestu nazwisk ludzi, którzy przekazywali tę tajemnicę za każdym razem swemu następcy.

Jellinek wypuścił z dłoni pergamin, zerwał się na równe nogi i dusząc się odpiął najwyższy guzik sutanny. Potem znowu opadł na krzesło, chwycił pergamin, przysunął go do oczu i przeczytał półgłosem fragment po raz drugi, jakby dokładniej chciał uprzytomnić sobie te słowa. Zaledwie skończył, przeczytał je głośno po raz trzeci i jak w transie, prawie krzycząc, po raz czwarty. Opadło go paraliżujące przerażenie, wydawało mu się, że się dusi. Obie ręce zaciśnięte w pięści przycisnął do piersi. Pergamin i wszystko, co go otaczało, zaczęło kotłować się przed jego oczami. Na miłość Boską, to nie mogła być prawda! Taka więc była tajemnica, jaką chciał ukryć papież Mikołaj III!!! Taka była więc prawda, której Michelangelo dowiedział się od kabalisty; prawda, której Kuria obawiała się tak bardzo, iż bez oporów poddała się szantażowi nazistów, a papieżowi Gianpaolo uświadomiła konieczność zwołania soboru w sprawach wiary.

Kiedy te myśli przelatywały mu przez głowę, Jellinek upuścił pergamin na blat stołu, jak gdyby trzymał w dłoniach płonące polano. Jego ręce trzęsły się, czuł trzepotanie powiek. Duszący strach kazał mu zerwać się na równe nogi; nie zwracając uwagi na porzucony pergamin wybiegł z sali. Prześladowany ogarniającym go przerażeniem, zataczając się człapał pustymi korytarzami, mijał sale i galerie. Nagle cały przepych, jaki go otaczał, wydał mu się płytki i pusty. Bez celu wałęsał się po opustoszałym Watykanie, nie dostrzegał obrazów Rafaela, Tycjana czy Vasarięgo; utracił całkowicie poczucie czasu, a jego nogi tylko mechanicznie poruszały się do przodu. Jeżeli ten Jezus, co chwilę ta myśl przemykała mu przez głowę, jeżeli ten Jezus nie zmartwychwstał, to wtedy wszystko, co otaczało go w swej wspaniałości, stało pod znakiem zapytania. Jeżeli ten Jezus nie zmartwychwstał, wtedy brakowało najważniejszego kanonu wiary katolickiego Kościoła, wtedy wszystko, czego uczył Kościół, było pozbawione sensu, stawało się jednym wielkim złudzeniem. Jellinek

widział już oczyma wyobraźni dalsze wydarzenia: miliony ludzi, których pozbawiono nadziei, traci nad sobą panowanie, wyzbywając się swoich moralnych zasad. Czy wolno mu było przekazać tę prawdę dalej?

Mijając salę Sybilli i proroków, poszedł kamiennymi schodami w stronę wieży Borgiów i wszedł do Sala di Credo, zawdzięczającą swą nazwę prorokom i apostołom, namalowanym parami nad oknami. W swych dłoniach trzymali pergaminowe zwoje z wersetami z wyznaniem wiary Piotr z Jeremiaszem, Jan z Dawidem, Andrzej z Izajaszem, Jakub z Zachariaszem... Jellinek próbował odmówić Credo, ale gdy mu się to nie udało, pośpieszył dalej.

Zatrzymał się w sali Wszystkich Świętych; gdyby odłożył „Traktat o milczeniu” na swoje miejsce, gdyby ukrył go pośród spuścizny Gianpaola, wtedy odkrycie to znowu byłoby zapomniane, może na kilka lat, a może na wieczność. Ale już w następnej chwili porzucił tę myśl. Czy w ten sposób zniknąłby i problem? Niepokój gnał kardynała dalej. Myślał o proroku Jeremiaszu, któremu Michelangelo dał własną twarz, fizjonomię człowieka wiedzącego o wszystkim i spoglądającego w dół z głęboką rozpaczą zdradzającą ciężar dręczących go myśli. Michelangelo nie namalował u boku Jeremiasza żadnych świętych, ale pogańskie postaci, i uczynił to świadomie. Och, gdybyż nigdy nie otwarł kasety ze spuścizną po Gianpaolo!

Zapadła już noc, noc Wielkanocna. Z Kaplicy Sykstyńskiej dochodziło echo chorałów śpiewanych na chwałę Pana. Kardynał słyszał je; także i on powinien brać udział w tych ceremoniach, ale nie był w stanie tego uczynić. Błądził dalej pustymi korytarzami, wsłuchując się przy tym w niebiańską muzykę dobiegającą z Kaplicy Sykstyńskiej.

W głowie kardynała rozbrzmiewało *mi-se-re-re, voci forzate*^{*} o niebiańskiej czystości; słyszał głosy kastratów atakowane przez metaliczne tenory, pełne smutku basy. Każdy ton wypełniony był duszą, miłością, bólem. Nikt, kto kiedykolwiek słuchał podczas *Triduum sacrum*^{*} antyfon, psalmów, lekcji i responsoriów, kiedy wszystkie świece gasną z wyjątkiem tej jednej na znak, iż teraz Jezus jest opuszczony przez wszystkich, kiedy papież podczas *Antiphone Traditor* pada na kolana przed ołtarzem i wokół panuje przytłaczająca cisza do chwili, kiedy znowu zabrzmie nieśmiało pierwszy werset i stopniowo coraz gwałtowniej, aż do forte, rozlegać się będzie rozpisana na głosy *Christus factus est*, nikt kto kiedykolwiek przeżył *musica sacra*^{*} Gregorio Allegriego, nie potrafi usunąć tych pieśni ze swojej pamięci. Bez podkładu organów i jakichkolwiek towarzyszących instrumentów, *a capella*, naga niczym ciała namalowane przez Michelangela, ta muzyka wzrusza do łez, wzbudza dreszcze, zamieniając je w nieustające pragnienie, wywołuje rozkosz jak Ewa namalowana ręką

* donośnym głosem

* święte trzy dni; triduum wielkanocne jest pierwszą częścią Świąt Wielkiejnocy; zaczyna się w Wielki Czwartek

i trwa do wieczora Wielkiej Soboty

* święta muzyka

florentyńczyka – *miserere* *.

Wcale tego nie pragnąc, kardynał dotarł do Biblioteki Watykańskiej, tam gdzie zaczęła się cała ta historia. Ciężko dysząc podszedł do okna i szeroko je otworzył. Zbyt późno zauważył, iż jest to okno, na którym zakończył swe życie ojciec Pio. I kiedy wdychając głęboko nocne powietrze wsłuchiwał się we wdzierającą się w jego uszy jak żałobne treny muzykę Allegriego, dostał zawrotów głowy. W jego uszach był już tylko szum. Chorał zbliżał się do kulminacyjnego punktu, w którym sławi się naszego Pana Jezusa, wstępującego do nieba. Jellinek pochylił się do przodu, lekko tylko, ale jego ciało nie potrafiło już odzyskać równowagi i wypadło za okno. Spadając poczuł przez chwilę, jak owiewa go chłodny wiatr i ogarnia szczęście, a potem już nic więcej.

Strażnik, który obserwował tę scenę, powiedział później, że kardynał spadając wydał jakiś okrzyk. Nie mógł tego powiedzieć z całą pewnością, ale wyglądało to, jak gdyby kardynał wzywał Jeremiasza.

* zmiłuj się (tu: psalm z Wulgaty)

IV. O GRZECHU MILCZENIA

Tak kończy się historia, jaką opowiedział mi brat Jeremiasz. Spotykaliśmy się w rajskim ogrodzie klasztoru przez pięć dni. Przez pięć dni podobnych do pięciu dni Stworzenia Świata namalowanych ręką florentyńczyka, ukryty w drewnianym domku ogrodnika przysłuchiwałem się jego słowom, nie mając odwagi nigdy przerwać jego opowieści pytaniem. W ciągu tych pięciu dni klasztorny ogród, drewniany domek, a przede wszystkim brodaty mnich stali mi się bardzo bliscy. Także i brat Jeremiasz poczuł do mnie zaufanie. Jeżeli podczas pierwszego dnia mówił jeszcze z rezerwą, zacinając się, to potem, z dnia na dzień, jego słowa stawały się coraz bardziej płynne, a nawet wydawało się, iż zakonnik się spieszy, aby zakończyć swoje opowiadanie, jakby obawiał się, że w pewnej chwili zostaniemy odkryci.

Szóstego dnia ponownie wdrapałem się po kamiennych stopniach ogrodu. Padało, ale deszcz w niczym nie umniejszył piękna tego miejsca. Nasiąknięte wodą główki kwiatów ciężko zwisały ku ziemi. Byłem szczęśliwy, kiedy dotarłem do suchego, drewnianego domku. Postanowiłem solennie, że tego dnia zadam bratu Jeremiaszowi kilka pytań. Ale brat Jeremiasz nie pojawił się tym razem. Ponieważ nie wiedziałem, co mogło przeszkodzić mu w przyjsciu do ogrodu, siedziałem w szopie cały czas samotnie, tylko ze swoimi myślami. Deszcz bębnił o dach. Co powinienem zrobić? Zapytać o niego w klasztorze? Wzbudziłoby to tylko podejrzenia i zaszkodziło bratu Jeremiaszowi.

Tak więc poczekałem do następnego, siódmego dnia. Znowu zaświeciło słońce i mogłem żywić nadzieję, iż zniknęła przeszkoda, jaką był deszcz. Ale zakonnik nie pojawił się także i siódmego dnia. Przypomniałem sobie słowa, które wypowiedział w pewnym momencie, że gdyby to było możliwe, uciekłby; ale w jaki sposób Jeremiasz mógł uciec mając sparaliżowane nogi?

Do moich uszu docierały dochodzące z klasztoru odgłosy pieśni śpiewanych podczas nieszporów. Czy Jeremiasz był pośród śpiewających mnichów? Poczekałem, aż zakończy się msza, i poszedłem prosto do budynku klasztoru. Jeden z zakonników, którego spotkałem w długich korytarzach, na moją prośbę wskazał mi drogę do celi opata. Opat, okazałej postury mężczyzna z pozbawioną włosów czaszką i w okularach bez oprawy, siedział chroniony

podwójnymi drzwiami w wielkim pustym pomieszczeniu z wydeptaną, drewnianą podłogą, obłożony starymi foliarami i zasłonięty sięgającą niemal sufitu jakąś pokojową rośliną.

Z trudem usiłowałem opowiedzieć opatowi o moim spotkaniu z bratem Jeremiaszem. Zanim zdążyłem jednak skończyć mą zawiłą historię, zakonnik przerwał mi i zapytał, dlaczego mu to wszystko opowiadam.. Nie rozumiałem jego pytania.

– Ponieważ wszystko to – powiedziałem – miało miejsce podczas ostatnich siedmiu dni w tym właśnie klasztorze i dlatego, że brat Jeremiasz jest przetrzymywany w nim wbrew swojej woli.

– Brat Jeremiasz? W tym klasztorze nie ma żadnego brata Jeremiasza, a już tym bardziej zakonnika jeżdżącego w wózku inwalidzkim – odparł opat.

Poczułem się jak uderzony obuchem; zacząłem zaklinać opata, aby powiedział mi prawdę. Wiedziałem, że Jeremiasz jest ukrywany przed światem, że traktuje się go jak człowieka, który postradał rozum. Ale Jeremiasz nie był szalony, mogłem przysiąc.

Opat spojrzał na mnie małymi oczami i milczał, potrząsając jedynie głową. Nie poddałem się jednakże; wszystko to pasowało do tej strasznej historii, jaką opowiedział mi tajemniczy zakonnik.

– Wydaje mi się – powiedziałem – że brat Jeremiasz nosi to imię tylko w celu ukrycia swego prawdziwego nazwiska. Przeczuję, iż za bratem Jeremiaszem ukrywa się w rzeczywistości kardynał Jellinek, prefekt Kongregacji Wiary. Kuria doprowadziła go do ostateczności, ale udało mu się przeżyć próbę samobójstwa.

Moje słowa nie wywarły na opacie żadnego wrażenia. W końcu podniósł się, podszedł do regału z książkami i wyjął zeń gazetę. Położył ją przede mną na stole i bez słowa wskazał na artykuł na pierwszej stronie. Gazeta pochodziła sprzed dwóch dni. Artykuł nosił tytuł:

„Inskrypcja sykstyńska fałszerstwem.

Rzym. – Jak wynika z oficjalnego oświadczenia, inskrypcja którą konserwatorzy odkryli na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej w Rzymie, jest fałszerstwem. Jak już donosiliśmy, podczas oczyszczania fresków namalowanych na sklepieniu przez Michelangela konserwatorzy natknęli się na pozbawione sensu litery, które dały powód do różnego rodzaju spekulacji w kręgach watykańskich, a także doprowadziły do powołania specjalnego consilium. Według krążących pogłosek Michelangelo miał jakoby pozostawić w tej zbudowanej za czasów papieża Sykstusa IV (1475-1480) kaplicy jakąś tajemniczą wiadomość. Jak oświadczył wczoraj podczas konferencji prasowej w Rzymie przewodniczący consilium, kardynał Joseph Jellinek, prefekt Kongregacji Wiary, owe niezrozumiałe litery zostały umieszczone na sklepieniu podczas prac konserwatorskich prowadzonych w ubiegłym stuleciu. Z tego też powodu należy wykluczyć jakikolwiek ich związek z malarzem Michelangelo Buonarrotim. W trakcie prac konserwatorskich litery te zostały usunięte. Jako nowy kierownik prac konserwatorskich prowadzonych w Kaplicy Sykstyńskiej został przedstawiony dziennikarzom prof. Antonio Pavanetto, zwierzchnik Dyrekcji Generalnej

Pomników, Muzeów i Galerii Papieskich.”

Umieszczona obok artykułu fotografia ukazywała kardynała Jellinka podczas konferencji prasowej. Nagle zabrakło mi powietrza i zacząłem ciężko dyszeć.

Opat zapytał, czy przypadkiem to wszystko, ów tajemniczy zakonnik i opowiadana przezeń historia, nie przyśniły mi się jedynie. Czasami człowiek często śni o pewnych rzeczach, a potem wydaje mu się, że przeżył je naprawdę.

– O nie! – zawołałem. – Przez pięć dni siedziałem naprzeciwko tego zakonnika i słuchałem jego słów. Mogę opisać każdą zmarszczkę na jego twarzy; odróżnię jego głos od setki innych. To nie był sen, brat Jeremiasz istnieje naprawdę, jest sparaliżowany i bezradny. Codziennie jakiś inny zakonnik wtaczał jego wózek inwalidzki do klasztornego ogrodu. I taka jest, Bóg mi świadkiem, prawda.

– Musiał się pan pomylić – odparł opat. – Jeżeli byłby w tym klasztorze jakiś sparaliżowany braciszek, to musiałbym przecież o tym wiedzieć! A ponieważ nic mi na ten temat nie wiadomo, mogę sądzić, że uległ pan złudzeniu.

Owładnęła mną bezsilna wściekłość; uświadomiłem sobie, że tak samo musiał czuć się brat Jeremiasz. Bez pożegnania opuściłem celę opata i pośpiesznie ruszyłem, długim korytarzem, a potem zszedłem kamiennymi schodami na parter. Przez wąską, wysoką bramę wszedłem do ogrodu, w którym jak każdego dnia cicho pluskała fontanna. Dwaj zakonnicy w szarych, roboczych habitach starali się grabiami usunąć ślady, jakie pozostawiły na wysypanej żwirem ścieżce koła inwalidzkiego wózka.

Od tamtego dnia ciągle zadaję sobie pytanie, czy lepiej mówić, czy też milczeć. Czy powinienem opisać to, co opowiedział mi tajemniczy zakonnik? Mowa może być zapewne grzechem – ale milczenie także.

Wiele z rzeczy, o jakich opowiada ta historia, pozostało w mroku, i zapewne nigdy nie zostaną ujawnione. Do dzisiaj nie znalazłem wyjaśnienia, dlaczego „A”, pierwsza litera nazwiska ABULAFIA, znajdująca się na zwoju pergaminu leżącym u stóp proroka Jeremiasza, nie została usunięta. Kto ma oczy i potrafi się nimi posługiwać, może ją zobaczyć również i dzisiaj... Każdego dnia.